

BOHUMIL HRABAL

OBSŁUGIWAŁEM ANGIELSKIEGO KRÓLA

PRZEŁOŻYŁ JAN STACHOWSKI

Tytuł oryginału

«Obsluhoval jsem anglického krále»

SZKLANKA ORANŻADY

Słuchajcie, co wam teraz powiem.

Kiedy zaczynałem w hotelu „Praga”, złapał mnie szef za lewe ucho, wytargał za nie i mówi: — Jesteś tu za pikolaka i pamiętaj, niczego nie widziałeś, niczego nie słyszałeś. Powtórz. — Więc powiedziałem, że niczego w lokalu nie widziałem i niczego nie słyszałem. A szef wytargał mnie za prawe ucho i krzyczy: — Ale zapamiętaj też sobie, że wszystko musisz widzieć i wszystko słyszeć. Powtórz. — No więc powtórzyłem zdziwiony, że wszystko będę widział i słyszał, i tak to się zaczęło. Co rano o szóstej byliśmy na rewirze, taka niby parada — przychodził pan hotelarz, po jednej stronie dywanu stał ober i kelnerzy, i na końcu ja, taki maleńki, jak na pikolaka przystało, a po drugiej stronie kucharze i pokojówki, podkuchenne i bufetowa. Pan hotelarz przechodził koło nas i sprawdzał, czy mamy czyste gorsy i kołnierze, czy nie powalane fraki i czy nie brakuje guzików, i czy buty są wyczyszczone. I pochylał się, żeby wyniuchać, czyśmy myli nogi, a potem mówił: — Dzień dobry panom, dzień dobry paniom... — I już nikomu nie wolno było rozmawiać. Kelnerzy uczyli mnie, jak zawija się w serwetkę nóż i widelec, a ja czyściłem popielniczki i codziennie musiałem wyszorować kubek na gorące serdelki, bo roznosiłem na stacji gorące serdelki. Nauczył mnie tego ten pikolak, co to już przestał być pikolakiem. Ach, jak on się napraszał, żeby dalej roznosić serdelki! Dziwiło mnie to nawet, ale później zrozumiałem. Nie chciałem robić nic innego, tylko roznosić wzdłuż pociągu gorące serdelki. Ileż to razy dziennie podawałem serdelek za koronę osiemdziesiąt plus rogalik, ale podróżny miał tylko dwadzieścia koron, czasem pięćdziesiątkę, a ja nigdy nie miałem drobnych, chociaż tak naprawdę to miałem, więc sprzedawałem dalej, aż wreszcie podróżny wskakiwał do pociągu i przepychał się do okna, wyciągał rękę, a ja najpierw odkładałem gorące serdelki, potem pobrzękiwałem w kieszeni drobnymi, podróżny krzyczał, że drobne mam sobie zostawić, żebym wydał papierowe, wtedy powoli wymacywałem banknoty w kieszeni, zawiadowca już gwizdał na odjazd, więc wyciągałem powoli banknoty, pociąg ruszał, a ja biegłem wzdłuż niego i kiedy pociąg się rozpędził, podnosiłem rękę i banknoty już-już dotykały palców podróżnego, niektórzy to wychylali się aż tak, że ktoś w przedziale musiał ich trzymać za nogi, jeden to nawet zawadził głową o kran, inny o słup, ale zaraz palce prędko się oddalały, a ja, zasapany, stałem z wyciągniętą ręką, w której pozostały te banknoty... To był mój numer; mało który podróżny wracał po forszę, no i zacząłem mieć swoje pieniądze. Po miesiącu uskładało się tego parę setek, wreszcie dobiłem nawet do tysiąca. No, a rano o szóstej i wieczorem przed snem szef chodził na kontrolę, czy umyłem nogi, i już o dwunastej musiałem być w łóżku. Wreszcie zacząłem nie słyszeć nic, chociaż słyszałem wszystko, i zacząłem nie widzieć i widzieć wszystko wokół siebie. Widziałem ten porządek i dyscyplinę, i radość szefa z tego, że niby wszyscy patrzymy na niego krzywo; nie do pomyślenia było, żeby kasjerka poszła do kina z kelnerem, z miejsca dostawało się za to wymówienie. No i poznałem gości w kuchni, ten stół stałych bywalców; dzień w dzień musiałem czyścić kufle tych facetów, każdy miał swój numer i swój znak, szklanice z jeleniem i z fiołkami, szklanice kanciaste i brzuchate, a nawet kamionkowy dzbanek

z marką HB z samego Monachium. Każdego wieczora przychodziło doborowe towarzystwo: pan rejent, naczelnik stacji i prezes sądu, i weterynarz, i dyrektor szkoły muzycznej, i fabrykant Jina. A ja wszystkim obskakiwałem podając i odbierając palta, a kiedy przyniosłem piwo, każda szklanica musiała trafić we właściwe ręce. Nie mogłem się nadziwić, jak bogaci ludzie przez cały wieczór potrafią rozprawiać na przykład o tym, że za miastem jest kładka, a przy tej kładce trzydzieści lat temu stała topola. Od tego się zaczynało: jeden mówił, że nie kładka, ale że sama topola, drugi, że nie topola i nie kładka, tylko deska z poręczą... I tak popijali piwo i sprzeczały się, i krzyczeli, i wymyślali sobie, ale wszystko na niby, bo kiedy się tak przekrzykiwali przez stół, że tam była kładka, nie topola, a druga strona, że właśnie topola, nie kładka, to i tak po chwili siadali znowu i wszystko było w porządku, bo krzyczeli tylko po to, żeby im lepiej smakowało. Innym razem spierali się, jakie piwo w Czechach jest najlepsze — jeden mówił, że protiwińskie, drugi, że wodniańskie, trzeci, że pilzneńskie, czwarty, że nymburskie i kruszowickie. I znów krzyczeli na siebie, ale wszyscy się lubili i krzyczeli tylko dlatego, żeby coś się działo, żeby jakoś zabić tę wieczorową porę... Kiedyś pan naczelnik, jak mu podawałem piwo, pochylał się i szepnął, że pana weterynarza widziano u panienek „U Rajskich”, że wziął tam do pokoju Jaruszkę, a pan dyrektor szkoły powszechnej szepnął, że owszem, weterynarz tam był, ale nie w czwartek, tylko już w środę, i do tego z Włastą. No więc cały wieczór przegadali o panienkach od „Rajskich” i o tym, kto tam był, a kto nie, a mnie — kiedy słyszałem te ich opowieści — było zupełnie obojętne, czy za miastem była topola i kładka, czy tylko kładka bez topoli, czy też sama topola, albo czy branickie piwo jest lepsze od protiwińskiego, nic nie chciałem widzieć ani słyszeć, ale jednak pragnąłem widzieć i słyszeć, jak to tam wygląda „U Rajskich”. Przeliczyłem pieniądze i ze sprzedaży gorących serdelków odłożyłem tyle, że mogłem się szarpnąć na „Rajskich”. Nawet płakać na stacji umiałem, a ponieważ byłem taki maleńki, idealny pikolak, więc ludzie machali na mnie ręką i zostawiali pieniądze, bo myśleli, że jestem sierotą. I tak oto dojrzewał we mnie plan, że kiedyś po jedenastej, już po umyciu nóg, wyskoczę przez okno pokoiku i wpadnę do „Rajskich”.

Ten dzień w „Złotej Pradze” zaczął się zupełnie zwariowanie. Przed południem przysłała zgraja Cyganów, elegancko ubranych i z pieniędzmi, bo to byli kotlarze. Siedzieli przy stole i zamawiali wszystko, co najlepsze, a przy każdym nowym zamówieniu pokazywali wypchane portfele. Przy oknie siedział dyrektor szkoły muzycznej, a ponieważ Cyganie krzyczeli, przesiadł się na środek sali i dalej czytał książkę. Musiała być strasznie ciekawa, bo kiedy pan dyrektor wstał, żeby przejść trzy stoły dalej, to wciąż czytał tę książkę, nawet kiedy potem siadał, wymacał rękami krzesło i czytał dalej. Czyściłem szklanice dla bywalców i oglądałem je pod światło, było jeszcze przedpołudnie, kilku gości zamówiło zupę albo gulaszyk, ale i tak wszyscy kelnerzy, nawet gdyby nie mieli nic do roboty, to wciąż musieli coś robić: ja starannie czyściłem, ober — też na stojąco — wyrównywał w pomocniku widelce, a kelner od nowa układał sztućce. I teraz pod oknem, gdy tak patrzyłem przez szklanice ze złotą Pragę, zobaczyłem rozeźlonych Cyganów, którzy wpadli do naszej „Złotej Pragi” i chyba już w holu wyciągnęli noże. No, i zaczęło się coś strasznego. Skoczyli do tych cygańskich kotlarzy, a ci, jakby już na nich czekali, zerwali się łapiąc za stoły i zastawili się nimi, żeby tamci

Cyganie z nożami nie mogli ich dopaść, ale i tak dwóch leżało już na podłodze z nożami w plecach, a tamci rżnęli i dźgali, gdzie popadło, po rękach też, tak że stoły zachlapane były krwią, lecz pan dyrektor szkoły muzycznej, uśmiechnięty, wciąż czytał książkę, a ta cygańska kotłowanina przetoczyła się nie obok, ale wprost przez niego; zakrwawili mu głowę i książkę, dwa razy dźgnęli w jego stół, lecz pan dyrektor czytał dalej. Wylądowałem pod stołem i na czworakach poczołgałem się do kuchni, a Cyganie wydzierali się, noże błyskały i te odbłyski niczym złote muchy przelatywały przez „Złotą Pragę”, wreszcie Cyganie nie zapłaciwszy wycofali się z restauracji. Na wszystkich stołach była krew, dwóch facetów leżało na podłodze, a na jednym stole wałały się idealnie odcięte dwa palce i jednym sztychem urżnięte ucho, i jeszcze kawał mięsa. Kiedy przyszedł pan doktor i obejrzał zadźganych i te kawałki, to w ochłapie rozpoznał fragment mięśni ramienia, a osamotniony pan dyrektor szkoły złożył teraz głowę w dłoniach, łokcie oparł o stół i dalej czytał tę swoją książkę. Wszystkie pozostałe stoły, zsunięte przy wyjściu, utworzyły barykadę i osłoniły ucieczkę kotlarzy. Szef nie wpadł na lepszy pomysł i włożywszy białą, cętkowaną kamizelkę stanął przed restauracją i rozkładając ręce mówił do przychodzących gości: — Niestety, zdarzył się u nas incydent, otworzymy dopiero jutro. — A ja miałem na głowie zakrwawione obrusy, tyle czerwonych śladów dłoni i palców, i wszystko musiałem wynieść na podwórze, rozpałić w wielkim kotle w pralni, a bufetowa i podkuchenna prały i gotowały, ja zaś miałem wieszac te obrusy, ale nie dostawałem do sznura, więc robiła to podkuchenna, a ja podawałem jej mokre, wyżęte obrusy. Sięgałem jej do piersi, a ona chichotała i wykorzystywała to, żeby mnie ośmieszyć, przyciskała mi piersi do twarzy, niby przez przypadek: raz jedną pierś przytkniętą do oka, potem drugą zasłaniała mi świat. Wszystko to było pachnące, a kiedy schylała się do kosza po obrus, w dole odsłaniał się widok na huśtające się cycki... Prostowała się, a piersi łały się, z obwisłych robiły się sterczące, bufetowa zaś i podkuchenna ryczały ze śmiechu i pytały mnie: — Ile masz lat, chłopczyku, skończyłeś już czternaście? Kiedy? — A później zrobił się wieczór, wiał wiatr i te obrusy na podwórzu układały się w takie zasłony, jakie ustawiamy, kiedy w restauracji jest wesele albo jakaś zamknięta impreza. Rewir miałem już wyszykowany, znowu wszystko lśniło czystością; w sezonie przynosiło się cały kosz kwiatów i wszędzie były goździki. Poszedłem spać, ale kiedy nastąpiła cisza i tylko na podwórzu plaskały obrusy, jakby ze sobą rozmawiały — podwórze pełne muślinowych rozmów — otworzyłem okno, zsunąłem się i między obrusami, wzdłuż okienek przedostałem się do furtki, przeskoczyłem ją i poszedłem uliczką od latarni do latarni. Wolałem przeczekać w ciemności, aż wyminą mnie nocni przechodnie, i „wreszcie w oddali zobaczyłem zielony napis „U Rajskich”. Stałem i chwilę odczekałem. Z wnętrza kamienicy rozlegały się dźwięki orkiestronu, więc dodałem sobie odwagi i wszedłem do środka, a tam na korytarzu zobaczyłem okienko, stanąłem przy nim, ale ono było tak wysoko, że musiałem podciągnąć się na rękach, a tam siedziała pani Rajska i powiedziała: — Czego sobie życzysz, młodzieńcze? — Odparłem, że chciałbym się zabawić, więc otworzyła i kiedy wszedłem, zobaczyłem młodą, czarnowłosą panienkę. Miała elegancką fryzurę i paliła papierosa. Zapytała mnie, na co mam ochotę. Ja na to, że mam ochotę na kolacyjkę, a ona: — Podać tu czy do lokalu? — Poczzerwieniałem i

oświadczyłem: — Nie, ja chcę zjeść w chambre separee. — Przyjrzała mi się, gwizdnęła przeciągle i spytała, chociaż z góry znała odpowiedź: — A z kim? — Ja zaś wskazałem na nią i powiedziałem: — Z panią. — Pokręciła głową, podała mi rękę i poprowadziła ciemnym korytarzem z czerwonym przytłumionym oświetleniem. Otworzyła drzwi, a tam była kozetka, stół i dwa obite pluszem fotele: światło rozlewało się skądś zza zasłony zwisającej z karnisza i odbite od sufitu spadało w dół niczym gałązki płaczącej wierzby. Usiadłem i kiedy wymacałem pieniądze, od razu wstąpiły we mnie siły, więc pytam: — Zje pani ze mną? Czego się pani napije? — A ona, że szampana. Kiwnąłem głową, ona zaklaskała i przyszedł kelner z butelką, otworzył ją, potem odstawił do wnęki i przyniósł szklaneczkę, rozlał, a ja piłem szampana, bąbelki wchodziły mi do nosa, kichałem, i panienka też piła szklaneczkę za szklaneczką, a kiedy mi się przedstawiła, zrobiła się głodna. To ja powiedziałem: — Niech pan przyniesie, co macie najlepszego! — A ona, że lubi ostrygi, że tu mają świeże, więc jedliśmy ostrygi i znowu był szampan, a potem jeszcze, a ona zaczęła mnie głaskać po włosach i spytała, skąd pochodzę, ja na to, że z tak małej wioski, że dopiero w zeszłym roku zobaczyłem pierwszy raz w życiu węgiel. Śmiała się z tego i powiedziała, żebym był na luzie. Było mi gorąco, więc zdjąłem marynarkę, a ona powiedziała, że jej też gorąco, więc czy mogłaby zdjąć sukienkę. Chętnie jej pomogłem i ułożyłem suknię na krześle, a potem ona rozpięła mi rozporek i wtedy już wiedziałem, że „U Rajskich” musi być nie tylko pięknie czy cudownie, ale wprost rozkosznie, rajsko... Wzięła mnie za głowę i wtuliła ją między pachnące piersi, a ja zamknąłem oczy i zrobiłem się jakiś senny, tak cudny był ten zapach i te kształty, i gładkość skóry, ona zaś przesuwiała moją głowę coraz niżej i niżej: wachałem jej brzuch, oddychała głęboko i było to tak cholernie piękne, że nie marzyłem już o niczym więcej, tylko o tym, że co tydzień na to właśnie uskładam z gorących serdelków osiem setek, nawet więcej, bo mam piękny i wzniosły cel, jak mawiał mój tatko, właśnie żebym zawsze miał cel, i wtedy będę uratowany, bo będę miał po co żyć. Ale teraz to był dopiero początek. Jaruszka w milczeniu ściągnęła mi spodnie, potem spodenki i całowała mnie w pachwiny, a ja naraz poczułem się taki roztrzęsiony i podniecony tym wszystkim, co tu się „U Rajskich” wyrabia, że zwinąłem się w kłębek i mówię: — Jaruszko, co pani robi? — To ona się zmiarkowała, ale zaraz znów nie mogła się powstrzymać i wzięła mnie do ust; ja ją najpierw odpychałem, lecz ona była jak opętana, trzymała mnie w ustach i poruszała głową, coraz to szybciej, więc później już jej nie odtrącałem, nie odpychałem, wyprężyłem się cały, trzymałem ją za uszka i naraz poczułem, że wypływam, i że to jest całkiem inne niż wtedy, kiedy to robiłem sam; czułem, jak do ostatniej kropli wypija to ze mnie z zamkniętymi oczami panienka o czarnych włosach, wypija ze mnie to, czym ze wstrettem strzykałem i plamiłem węgiel w piwnicy albo chusteczkę, jeśli leżałem w łóżku... Kiedy podniosła się, rzekła pełnym zmęczenia głosem: — A teraz z miłości... — Ale ja byłem taki rozklejony i o-klapnięty, że nic z tego nie wyszło i mówię: — Głodny jestem, a pani nie? — Poza tym pić mi się zachciało, więc wziąłem szklanekę Jaruszki, a ona próbowała mi ją zabrać, ale jej się nie udało, i kiedy się napiłem, odstawiłem szklanekę zawiedziony, bo to nie był szampan, tylko żółta lemoniada; od początku piła lemoniadę, za którą płaciłem jak za szampana, a ja dopiero teraz się o tym dowiedziałem.

Roześmiałem się i zamówiłem jeszcze jedną butelkę, a kiedy ober ją przyniósł, sam otworzyłem i rozlałem, i znowu jedliśmy, w lokalu pobrzękiwała katarynka, a kiedy dopiliśmy butelkę i poczułem się lekko zawiany, osunąłem się na kolana, położyłem głowę na łonie panienki i całowałem, mierzwiłem językiem ten cudny meszek i włosy, a ponieważ byłem lekki, panienka złapała mnie pod pachy i naciągnęła na siebie, rozłożyła nogi, a ja jak po maśle pierwszy raz w życiu wszedłem w kobietę. Miałem to, na co tak czekałem, a ona przyciskała mnie do siebie i szeptała, żebym się nie spieszył, żebym jak najdłużej, ale zakołysałem się ledwie dwa razy i za trzecim już tryskałem w ciepłe ciało. Ona wtedy wygięła się w pałąk, włosami i stopami dotykając kozetki, a ja leżałem na niej jak na moście i do ostatniej chwili, póki nie sflaczałem, tkwiłem w jej rozłożonych nogach, aż wreszcie wysliznąłem się z niej i położyłem obok. Oddychała głęboko, opadła na kozetkę, odnalazła mnie po omacku i zaczęła gładzić po brzuchu i po całym ciele... A później nadszedł czas ubierania i czas płacenia, i czas pożegnania. Ober liczył i liczył, wreszcie podał mi rachunek na siedemset dwadzieścia koron. Żegnając się wyjąłem jeszcze dwie setki i dałem je Jaruszce, a kiedy wyszedłem od „Rajskich”, oparłem się o pierwszy lepszy mur i stałem tak w mroku, rozmarzony. Wreszcie wiedziałem, co się dzieje w tych pięknych domach z panienkami, i powiedziałem sobie: „Chłopie, zaliczyłeś, jutro też tu przyjdiesz i znowu będziesz odstawiał wielkiego pana”, bo wszystkich tam aż замуrowało; przyszedłem jako pikolak, co to roznosi na stacji gorące serdelki, a odchodziłem jak ktoś lepszy od każdego z tych panów, który siada w „Złotej Pradze” przy stole dla bywalców, zarezerwowanym tylko dla ekstra gości, tylko dla miejskiej śmietanki...

Drugiego dnia od razu patrzyłem na świat inaczej — pieniądze otworzyły mi drzwi nie tylko do „Rajskich”, ale i do szacunku. Przypomniałem sobie jeszcze, że pani Raj-12 ska, kiedy z recepcji zobaczyła, jak lekką rączką szastam dwiema stówkami, przypadła mi do ręki i chciała ją pocałować, a ja myślałem, że chce sprawdzić, która jest dokładnie godzina, chociaż jeszcze nie miałem zegarka. Ale ten pocałunek nie był dla mnie, pikolaka ze „Złotej Pragi”, tylko dla tych dwóch setek i w ogóle pieniędzy, które miałem, a miałem jeszcze tysiąc koron schowanych w łóżku; dla pieniędzy, których mogę mieć nie jak lodu, ale tyle, ile codziennie zarobię na stacji sprzedając gorące serdelki. Przed południem wysłali mnie z koszem po kwiaty i kiedy wracałem, zobaczyłem jakiegoś dziadka, jak na czworakach szuka zawieruszonego pieniądza. Wtedy właśnie uświadomiłem sobie, że naszymi stałymi bywalcami są i ogrodnik, i mistrz wędliniarski, i rzeźnik, i właściciel mleczarni parowej, że schodzą się u nas dostawcy pieczywa i mięsa, a ile to razy szef, kiedy zaglądał do lodówki, krzyczał: — Natychmiast idź do rzeźnika i powiedz mu, żeby sobie zabrał tego chudego cielaka. I to już! — No i cielak do wieczora zniknął, a mistrz rzeźnicki siedział sobie jak gdyby nic. Więc ten dziadek chyba niedowidział i po omacku grzebał dłonią w kurzu. — Czego to, ojczulku, szukacie, co? — mówię. Odpowiedział, że zgubił dwadzieścia halerzy, więc poczekałem i kiedy obok przechodzili ludzie, wziąłem garść drobnych i podrzuciłem je w powietrze, a potem szybko złapałem kosz za uszy, zanurzyłem się w goździkach i poszedłem dalej. Kiedy przed rogiem się odwróciłem, zobaczyłem, że na ziemi pęłza jeszcze paru przechodniów, a wszyscy byli przekonani, że te monety

wypadły właśnie im, i jeden naskakiwał na drugiego, żeby mu oddał pieniądze, i tak na klęczkach klócili się, prychali na siebie i skakali sobie do oczu jak koty w butach. Wtedy roześmiałem się, bo już wiedziałem, co jest grane, w co ludzie wierzą i do czego są zdolni za parę monet. Kiedy przyniosłem kwiaty i zobaczyłem, że przed naszą restauracją stoi dużo ludzi, wbiegłem do pokoju dla gości, wychyliłem się z okna i rzuciłem pełną garść drobnych, tak żeby spadły nie tuż przy ludziach, ale parę metrów dalej. Zbiegłem na dół i zacząłem przycinać goździki wkładając po dwie gałązki asparagusa i po dwa goździki do wazonika, a przy tym patrzyłem przez okno, jak ludzie pełzają na czworakach i zbierają pieniądze, moje monety, i klóćą się o dwudziestohalerzówkę, bo jeden ponoć zobaczył ją wcześniej niż ten, który ją podniósł... Tej nocy i podczas następnych śniłem i roiałem później też za dnia, kiedy nie było nic do roboty, a trzeba było coś robić, żeby wyglądało, że się jest zajęтым; kiedy tak czyściłem szklanice, oglądałem je pod światło, przykładałem do oczu i po drugiej stronie szkła widziałem poobtlukiwany rynek i słup morowy, i niebo, a na nim chmury, więc później nawet na jawie marzyłem o tym, że latam nad miasteczkami, miastami, wioskami i osadami, że mam nieskończenie dużą kieszeń i nabieram pełnymi garściami monety, zupełnie jakbym siał zboże, i rzucam je na bruk, ale zawsze za plecy przechodniów czy stojących ludzi, pełne garście miedziaków, i widzę, że właściwie nikt nie potrafi się powstrzymać i zbierają te dwudziestohalerzówki, i trykają się głowami, a ja lecę już dalej i jest mi dobrze. Przelykałem z wrażenia ślinę podczas snu, kiedy nabierałem z kieszeni garście i rzucałem je za plecy kolejnym grupkom, a pieniądze padały z brzękiem i toczyły się na wszystkie strony. Potrafiłem jeszcze niczym pszczoła wlecieć do wagonu tramwaju albo pociągu i ni stąd, ni zowąd cisnąć garść miedziaków na podłogę, a wszyscy natychmiast pochylali się, popychali jeden drugiego, każdy chciał pozbierać drobniaki i każdy myślał i był pewny, że właśnie jemu wypadły... Te rojenia poprawiały moje samopoczucie, ponieważ byłem maleńki i musiałem nosić wysoki kauczukowy kołnierzyk, a miałem przy tym krótką szyję i kołnierzyk wrzynał mi się nie tylko w nią, ale i pod brodę, więc żeby mnie to nie bolało, chodziłem z głową zawsze zadartą, nauczyłem się nawet tak patrzeć, bo nie mogłem bezboleśnie zwiesić głowy, i schylałem się całym tułowiem. A kiedy tak zadzierałem głowę, moje powieki opadały i patrzyłem na świat jakby z pogardą, lekceważąco, hardo, tak że nawet goście myśleli, że jestem zadufany. Nauczyłem się w ten sposób stać i chodzić, a stopy wciąż miałem jak dwa nagrzane żelazka; sam się dziwiłem, że nie stanąłem w ogniu, że nie spaliły mi się buty, bo tak bardzo piekły mnie stopy. Czasami z rozpaczyny wlewałem do trzewików zimną wodę sodową, przeważnie na stacji, ale to pomagało tylko na chwilę, a ja już-już byłem gotów zdjąć buty i lecieć we fraku prosto do strumyka i zanurzyć nogi w wodzie, więc znowu lałem do butów wodę sodową, czasami wkładałem kawałek lodu. Wreszcie połapałem się, dlaczego wszyscy na rewirze, i kelnerzy, i ober, noszą najstarsze buty, najbardziej rozczłapane, te, które znajdujecie na śmietnikach. Tylko w takich butach można wytrzymać cały dzień, w ogóle pokojówkom i kasjerce, wszystkim nam dokuczały nogi. Ba, kiedy wieczorem zdjąłem buty, nogi zakurzone miałem aż do kolan, tak jakbym cały dzień paradował nie po parkietach i dywanach, ale brodził w pyłe węglowym. To była druga strona mojego fraka, ten rewers każdego kelnera, pikolaka i

obera na całym świecie: biała, wykrochmalona koszula, skrzyjący się bielą kauczukowy kołnierzyk i czerniejące powoli nogi, zupełnie jak przy tej strasznej chorobie, kiedy ludzie od nóg zaczynają umierać... Ale co tam, co tydzień uszładałem sobie na następną panienkę, zawsze na inną, a ta druga panienka w moim życiu to była blondynka. Kiedy przyszedłem i zapytali mnie, czego sobie życzę, odparłem, że chcę zjeść kolację, i od razu dodałem: „... ale w chambre separee”, a kiedy chcieli wiedzieć z kim, wskazałem na blondynkę. I znów byłem zakochany, tym razem w blondyneczce. Było z nią nawet jeszcze cudowniej niż za pierwszym razem, chociaż to pierwsze było niezapomniane. No i wciąż sprawdzałem siłę pieniądza, zamawiałem szampana, zawsze go najprzód kosztowałem, panienka musiała pić ze mną autentyk, nie pozwalałem już, żeby mnie nalewali wina, a panience lemoniady. Kiedy leżałem nagi i gapiłem się w sufit, a blondynka leżała obok mnie i też się tam gapiła, ni stąd, ni zowąd wstałem i wyjąłem z flakonu piwonie, oberwałem płatki i obłożyłem nimi brzuch tej panienki. Było to tak piękne, że sam się zdumiałem, a panienka chciała wstać, żeby spojrzeć na swój brzuch, i piwonie zaczęły spadać, więc delikatnie popchnąłem ją, żeby jednak leżała, i zdjąłem lustro z haka, ustawiłem je tak, że panienka mogła widzieć, jak piękny jest jej udekorowany kwiatami brzuch, i powiedziałem: — To będzie piękne! Ile razy przyjdę, zawsze obłożę ci brzuszek kwiatami, które tu będą. — A ona, że jeszcze nigdy czegoś takiego nie przeżyła, takiego hołdu złożonego jej urodzie, i stwierdziła, że zakochała się we mnie z powodu tych kwiatów, a ja na to, że będzie pięknie, kiedy na Boże Narodzenie nazrywam gałązek świerczyny i tymi gałązkami obłożę jej brzuszek, a ona, że będzie jeszcze piękniej, kiedy obłożę jej brzuch jemiola, a najlepiej by było, i ona to musi załatwić, gdyby nad kozetką, pod sufitem wisiało lustro, żebyśmy widzieli siebie leżących, a przede wszystkim, jaka ona jest piękna — nago, z wianuszkami wokół futerka, wianuszkami, który by się zmieniał tak jak pory roku, z wianuszkami kwiatów właściwych dla konkretnego miesiąca, i jakie to będzie piękne, kiedy obłożę ją margerytkami albo goździkami, i chryzantemami, i astrami, i kolorowymi liśćmi. Wtedy wstałem, objąłem się rękami i czułem, że jestem wielki. Na odchodnym dałem jej dwieście koron, ale ona mi je oddała, położyłem je więc na stole i wyszedłem, a miałem przy tym wrażenie, że mierzę metr osiemdziesiąt. Pani Rajskiej w okienku wręczyłem stukoronówkę, a ona pochyliła głowę patrząc na mnie przez okulary... I wyszedłem w noc, a niebo w ciemnych uliczkach pełne było gwiazd, ale ja nie widziałem niczego prócz przyłasczek, śnieżyc, przebiśniegów i pierwiosnków okalających brzuch jasnowłosej panienki, i im dłużej szedłem, tym bardziej byłem zdumiony, skąd wziął się we mnie ten pomysł, żeby — niczym sałatką półmisek z szynką — obłożyć kwiatowymi płatkami cudny kobiecy brzuch, z pagórkiem włosów pośrodku. Więc dalej okrywałem nagą blondyneczkę pięciornikami, płatkami tulipanów i kosaćców, i wszystkimi kwiatami, jakie tylko znałem. Postanowiłem, że jeszcze to przemyślę, bo to rozrywka na cały rok, i zrozumiałem, że za pieniądze można kupić nie tylko ładną dziewczynę, ale też i poezję.

Drugiego dnia rano, kiedy staliśmy na dywanie, a szef przechadzał się i patrzył, czy mamy czyste koszule i wszystkie guziki, i kiedy powiedział: „Dzień dobry, panie i panowie”, ja przyglądałem się podkuchennej i bufetowej, wpatrywałem się w ich białe zapaski tak, że potem podkuchenna wytargała

mnie za ucho za to przenikliwe spojrzenie, a ja uznałem, że żadna z nich nie pozwoliłaby sobie okryć brzucha i kędziorków ani margerytkami, ani piwoniami, a co dopiero gałązkami świerczyny albo jemiolą — niczym sarni udziec... Czyściłem szklanice, patrząc pod światło dużych okien, za którymi tam i z powrotem chodzili przecięci wpeł ludzie, a ja wciąż byłem przy letnich kwiatach, wyjmowałem po kolei z koszyka i okrywałem kwiatami albo samymi płatkami brzuch pięknej blondynki od „Rajskich”. Ona leżała na plecach rozchylając nogi, a ja okrywałem ją całą, w pobliżu ud też, a kiedy kwiatki zsuwały się, przyklejałem je gumą arabską albo delikatnie przybijałem gwoździkiem lub pinezką. Czyściłem pieczołowicie szklanice, nikt tego nie chciał robić, a ja płukałem szkło w wodzie, przykładałem szklanicę do oka i przyglądałem się, czy jest czysta, i wciąż przy tym myślałem, co też ja jeszcze zrobię „U Rajskich”, aż wreszcie doszedłem do ostatnich kwiatów ogrodowych, polnych i leśnych i posmutniałem — bo co robić zimą? Ale zaraz roześmiałem się uszczęśliwiony, przecież zimą są jeszcze piękniejsze kwiaty, kupię cyklamenów i magnolii, skoczę do Pragi choćby nawet po orchidee albo w ogóle przeprowadzę się do Pragi, tam też jest robota w restauracjach, i przez całą zimę będę miał kwiatów a kwiatów... Zbliżało się już południe, roznosiłem talerze i serwetki, piwo i czerwoną oraz żółtą oranżadę, a w samo południe, kiedy ruch był największy, otworzyły się drzwi i stanęła w nich — ale wpięrow odwróciła się, żeby je zamknąć — ta piękna blondynka od „Rajskich”. Usiadła, otworzyła torebkę, wyciągnęła z niej kopertę i rozejrzała się, a ja przykleknąłem i prędko zabrałem się do sznurowania trzewika, a serce waliło mi w kolano. Wtedy podszedł ober i powiada: — Śmigaj na rewir! — aleja tylko skinąłem głową, a kolano jak gdyby zamieniło się na miejsce z sercem, tak mną trzęsło, zaraz jednak wzięłem się w garść i wyprostowałem, głowę wyciągnąłem, ile się da, i przerzuciwszy serwetkę przez ramię, zapytałem panienkę, czym mogę służyć, a ona na to, że chciała widzieć mnie i malinową oranżadę. Zauważyłem, że ma na sobie tę letnią sukienkę, sukienkę pełną piwonii; cała była oblężona przez klomby piwonii. Spłonąłem i poczerwieniałem zupełnie jak piwonia — tegom się nie spodziewałem; gdzieś miałem moje pieniądze, gdzieś miałem moje tysiące, to, co teraz widziałem, było całkiem za darmo. No i poszedłem po tacę malinowych oranżad, a kiedy je niosłem, to z koperty, którą blondynka położyła na obrusie, wypęły te moje dwie stukoronówki, a ona spojrzała na mnie tak, że aż rozdzwoniły się wszystkie oranżady i ta pierwsza zsunęła się, powoli się przechyliła i wylała jej na łono. Z miejsca zjawił się ober, a zaraz potem przybiegł szef i zaczęli przeproszać. Szef złapał mnie za ucho, wykręcił je, i to był błąd, bo blondynka krzyknęła na całą restaurację: — Na co pan sobie pozwala!

— A szef: — Oblał i zniszczył pani suknię, a ja będę za to musiał zapłacić... — Ona: — Co panu do tego, ja nic od pana nie chcę, dlaczego wystawiacie na pośmiewisko tego człowieka? — Na to szef słodko: — Oblał pani suknię...

— Wszyscy przestali jeść, ona zaś stwierdziła: — Nie pański interes, zabraniam panu tego! A teraz proszę... — I wzięła oranżadę, polala nią głowę, włosy, a potem następną oranżadę i za chwilę cała była w soku malinowym i pęcherzykach gazu, wreszcie wlała ostatnią malinową oranżadę za dekolt i rzekła: — Płacę. — I wyszła, a za nią sunął zapach malin, ona tymczasem wyszła w tej jedwabnej

sukni pełnej piwonii, którą teraz obleciały już pszczoły. Szef wziął ze stołu kopertę i powiedział: — Leć za nią, zapomniała... — Wybiegłem więc, a ona stała na rynku jak jarmarczny stragan z tureckim miodem, otoczona przez osy i pszczoły, lecz nie opędzała się przed nimi, one zaś zbierały z niej słodki sok, którym oblała się tak, jakby na sobie miała jeszcze jedną skórę, cienką warstwę, niczym politura na meblach albo lakier pokładowy. Patrzyłem na tę suknię, a kiedy podałem jej dwie setki, ona oddała mi je i oświadczyła, że wczoraj wieczorem zostawiłem je u niej przez pomyłkę... I dodała, żebym wieczorem przyszedł do „Rajskich”, bo kupiła piękną wiązaną polnych maków... A ja widziałem, że na słońcu ta malinowa oranżada przyschła jej do włosów, że zeszywniały, stwardniały zupełnie jak malarski pędzel, kiedy go nie dać do pokostu, jak rozlana guma arabska, jak szelak; widziałem że ta słodka oranżada przylepiła suknię do ciała, że będzie ją musiała z siebie zrywać jak stary plakat, jak starą tapetę ze ściany... Ale to wszystko nic, najbardziej wstrząsnęło mną, że tak ze mną rozmawiała, że się mnie nie bała, że wiedziała o mnie więcej niż ci z naszej restauracji, że wiedziała o mnie chyba więcej niż ja sam o sobie... Tego wieczora szef powiedział, że mój pokój na parterze potrzebny mu jest na pralnię, więc muszę zabrać swoje manatki na pierwsze piętro. — Znaczy, jutro? — mówię. — A szef spojrział na mnie i już wiedziałem, że wie wszystko, że muszę się przeprowadzić od zaraz, i przypomniał mi znowu, że o jedenastej mam iść spać, że odpowiada za mnie zarówno przed moimi rodzicami, jak i przed społeczeństwem, i że taki pikolak musi przez całą noc spać, żeby mógł przez cały dzień pracować...

Z gości naszego lokalu najsympatyczniejsi byli wędrowni handlarze. Pewnie, że nie wszyscy, bo wśród agentów zdarzali się też handlarze bubłami albo towarami, które nie szły, tacy agenci, co to wciskają byle kit. Najbardziej to lubiłem grubego komiwojżera i kiedy przyszedł pierwszy raz, popędziłem prosto do szefa, który aż się wystraszył i powiada: — Czego? — Wykrztusiłem z siebie: — Panie szefie, jest u nas jakaś gruba ryba. — Poszedł więc go sobie obejrzyć i rzeczywiście, takiego grubego człowieka jeszcze u nas nie było. Pan szef mnie pochwalił, sam wybrał dla niego pokój i ten komiwojżer zawsze później w nim spał, ze specjalnym łóżkiem, pod które parobek podłożył cztery kloce i jeszcze wzmocnił je dwoma dylami. No, a tamten pokazał nam piękny numer. Miał jeszcze ze sobą takiego pomagiera, który nosił na plecach coś ciężkiego; ten pomagier przypominał tragarza ze stacji, niósł na popręgach coś, co wyglądało na potężną maszynę do pisania. Pod wieczór, kiedy ten agent zjadł już kolację, a jadał zawsze tak, że brał najpierw kartę, spoglądał na nią, niby że nic sobie nie może wybrać, a potem mówił: — Oprócz tych płuczek na kwaśno dawajcie mi wszystkie drugie dania po kolei, kiedy będę kończył pierwsze, dawajcie następne, aż powiem „dość”. — I kiedy się najadł, a zjadał zawsze dziesięć dań, westchnął błogo i oświadczył, że chciałby coś na ząb, i za pierwszym razem to było dziesięć deka salami. Szef mu je przyniósł, wtedy agent otworzył drzwi, wziął pełną garść monet i wyrzucił je na ulicę, a potem, kiedy zjadł parę plasterków salami, chyba się rozzłościł, bo znów nabrał pełną garść drobnych i znów wyrzucił je na ulicę, i niemal ze złością usiadł. Bywalcy patrzyli na siebie, później na szefa, a ten nie wpadł na lepszy pomysł, tylko wstał, uklonił się i zapytał: — Za pozwoleniem, dlaczego szanowny pan rozrzuca te drobne? — Agent na to: — A

czemu mam nie wyrzucać drobnych na ulicę, skoro pan, właściciel tego interesu, dzień w dzień wyrzuca tak samo dziesięciokoronówki... — Szef wrócił do stołu i przekazał to bywalcom, ale ci zaniepokoiili się jeszcze bardziej, więc szef postanowił wrócić do stołu grubasa i powiada: — Za pozwoleniem, ale tym razem chodzi o mój kapitał. Niech pan sobie rozrzuca monety wedle woli, tylko co z tym mają wspólnego moje dziesięciokoronówki?... — Grubas wstał i rzekł: — Już to panu wyjaśniam, za pozwoleniem! Czy mogę zajrzeć do kuchni? — Szef uklonił się i wskazał ręką drzwi do kuchni. Kiedy tam weszli, usłyszałem, jak tamten się przedstawił: — Jestem przedstawicielem firmy van Berkel, proszę mi ukroić dziesięć deka salami, dobrze? — No i szefowa pokroiła, zważyła, dała na talerzyk, a my wszyscy przestraszyliśmy się, że to pewnie jakaś kontrola, ale agent zaklaskał i z kąta podniósł się ten pomagier, dźwigając przykryty narzutą przedmiot, który teraz wyglądał na kołowrotek. Pomagier wszedł do kuchni i postawił tę maszynę na stole, agent ściągnął narzutę, i tam był taki piękny czerwony przyrząd, płaska, okrągła, lśniąca piła, obracająca się na wałku, a na końcu wałka była korba z rączką i jeszcze przycisk obrotowy... Grubas uśmiechnął się czule do tego przyrządu i powiedział: — Proszę państwa, największą firmą na świecie jest Kościół katolicki. Firma ta handluje czymś, czego nikt nigdy nie widział, czego nikt nie dotknął, jak świat światem nikt tego nie spotkał, i to jest, proszę państwa, to, co ma na imię Bóg. Druga na świecie jest firma International i już ją państwo znają. Jest to urządzenie stosowane na całym świecie, czyli tak zwana kasa, która, jeśli człowiek używa właściwych przycisków, wieczorem robi za niego dzienny bilans i nic nie trzeba rachować. A trzecią jest firma, którą reprezentuję — van Berkel, producent wag ważących tak samo dokładnie na całym świecie, na równiku czy na biegunie północnym; prócz tego produkujemy wszystkie typy urządzeń do krojenia mięs i wędlin, a oto walor tego przyrządu, bardzo proszę... — Poprosił kawałek salami, obrał ze skórki, położył go na wadze, a potem jedną rączką kręcił korbką, a drugą dociskał łaskę kielbasy do obracającego się ostrza i na deseczce odkładała się sterta kielbasy, rosła, jakby skroił cały ten kawałek, chociaż kielbasy za wiele nie ubyło... Agent przestał kręcić i spytał: — Jak państwo myślą, ile skroiliśmy tej kielbasy? — Szef powiedział, że piętnaście deka, ober — jedenaście. — A ty, mały? — zapytał i mnie. Powiedziałem, że osiem deka, a szef wziął mnie za ucho, wytargał i tłumaczył się agentowi: — Biedaczek, matka przy karmieniu upuściła go głową na bruk. — Ale komiwojażer mnie pogłaskał, uśmiechnął się pięknie i powiedział: — Ten chłopak był najbliżej prawdy. — Rzucił na wagę pokrojoną kielbasę, a waga pokazała siedem deka... Spojrzeliśmy wszyscy po sobie i zaraz obścapiiliśmy tę czarodziejską maszynkę. Było jasne, że ten przyrząd daje zarobić, a kiedyśmy się rozstąpili, agent wziął pełną garść monet, rzucił ją do skrzynki na węgiel i zaklaskał, i znów jego pomagier przyniósł jeszcze jeden pakunek — przykryty wyglądał jak kopułka, pod którą babcia miała Marię Pannę — a kiedy zdjął pokrywę, to stała tam waga, zupełnie jak aptekarska, z cienkim jęczyzkiem i podziałką tylko do kilograma. Agent powiedział: — Proszę państwa, ta waga jest tak dokładna, że dmuchnę na nią, a ona pokaże, ile waży mój oddech... — Dmuchnął i rzeczywiście, waga drgnęła, a on wziął z naszej wagi pokrojone salami i rzucił je na swoją, i waga pokazała, że kielbasy jest dokładnie sześć deka i trzy czwarte... Zrozumieliśmy, że nasza waga okrada

szefa na ćwierć deka, a agent obliczał na stole: — Znaczy się, mamy tak: ... — podkreślił obliczenia i podsumował. — Jak sprzeda pan przez tydzień dziesięć kilo salami, to ta waga zaoszczędzi panu sto razy ćwierć deka kielbasy, czyli prawie pół laski... — I zamkniętą w kułak pięścią oparł się o stół, a nogę ustawił tak, że czubkiem dotykał ziemi, obcas zaś sterczał w górę, a komiwojazer uśmiechał się przy tym tryumfalnie: — Idźcie mi stąd — rzekł szef— a my pogadamy o interesach. Chcę, żeby mi pan to wszystko zostawił, tak jak leci. Kupuję to. — Za pozwoleniem, ten egzemplarz jest tylko na pokaz — powiedział agent, „wskazując tragarza. — Przez tydzień chodziliśmy z tym po wszystkich karkonoskich pensjonatach i prawie w każdej przyzwoitej knajpie sprzedaliśmy i maszynkę do krajania, i jedną wagę — znaczy się skarbonki na podatek, boja to tak po swojemu nazwałem.

Ten agent chyba mnie polubił: musiałem mu przypominać jego młodość, bo kiedy go spotykałem, głaskał mnie i uśmiechał się tak czule, że mało nie płakał. Czasami kazał sobie przynosić do pokoju mineralną. Kiedy przychodziłem, zawsze już był w pizamie. Leżał na dywanie, a ten ogromny brzuch obok niego niczym jakaś wielka beczka; podobało mi się, że nie wstydził się swego brzucha, ba, nosił go przed sobą, jakby to była jakaś reklama, taran, którym kruszył idący mu naprzeciw świat. Zawsze mi mówił: — Siadaj, syneczku... — i zawsze się przy tym uśmiechał, a ja czułem się tak, jakby mnie pogłaskał nie tatuś, ale mamusia. Raz zachciało mu się opowiadać: — Wiesz, zaczynałem tak samo jak ty, też byłem taki kajtek, w firmie Koreff— galanteria, ach, moje dziecko, jeszcze dziś myślę o tym swoim szefie. Ten mi stale powtarzał: Porządny kupiec zawsze ma trzy rzeczy: nieruchomości, interes, magazyny. Jak stracisz magazyn, zostanie ci jeszcze interes, jak stracisz interes i magazyn, to masz chociaż nieruchomości, a tej ci nikt nie może zabrać.” Wysłali mnie kiedyś po grzebienie, piękne kościane grzebienie, osiemset koron kosztowały. Wiozłem ci je na bagażniku bicykla i w dwu olbrzymich torbach. Weź se cukierka, weź, tego se weź, to są wiśnie w czekoladzie. I wdrapuję się ja pod górkę na bicyklu. A ile masz lat? — Odpowiedziałem, że piętnaście, on kiwnął głową, wziął cukierka, mlasnął i mówił dalej: — I wdrapuję się ja z tymi grzebieniami na górkę, a tu mnie wyprzedza chłopka, też na bicyklu. Zatrzymała się na górze w lesie, a kiedy się tam wreszcie dociągnąłem, popatrzyła na mnie tak jakoś, że spuściłem oczy, a ona mnie pogłaskała i mówi: „Skoczmy na maliny?” Ułożyłem bicykl razem z tymi grzebieniami w rowie, ona położyła swój na moim i wzięła mnie za rękę, i zaraz za pierwszymi krzaczkami przewróciła mnie, porozpinała i zanim się obejrzałem, była już górą, przywaliała mnie. No, więc ten pierwszy raz zaliczyłem z tą chłopką. A potem przypomniałem sobie o moim bicyklu i grzebieniach, pobiegłem i widzę, że jej bicykl leży na moim; wtedy damki miały na tylnym kole takie kolorowe siatki, podobnie jak konie miewały frędzle na łbie i szyi. Pomacałem i wyczułem, że grzebienie są, więc odetchnąłem. A ta wieśniaczka, kiedy przybiegła i zobaczyła, że nie mogę wydostać pedału z tych frędzli, powiedziała, że to znak, żebyśmy się jeszcze nie rozstawali, aleja się bałem, no, weź se tego cukierka, to się nazywa nugat... To pojechaliśmy na bicyklach w las i tam wieśniaczka znów wsadziła mi łapę w spodnie; no tak, wtedy byłem młodszy, nie to co teraz, i wtedy ja leżałem na niej, tak samo jak nasze bicykle w krzakach, ona położyła swą damkę na ziemię, a ja swój na niej, i tak się kochaliśmy, jak te bicykle, i to było piękne.

Zapamiętaj se, synek, że jak się życie troszkę ułoży, to jest cudne, po prostu cudne... ach... ale idź już spać, syneczku, musisz wstawać wcześniej rano, co,

nie? — Wziął butelkę i wlał ja cała w siebie; słyszałem, jak woda chlupie mu w żołądku niczym deszczówka chlustająca z rynny do beczki, a kiedy ułożył się na boku, słychać było wyraźnie, że woda zabulgotała, wyrównując poziom...

Nie lubiłem domokrażców z żywnością, margaryną i sprzętem kuchennym. Ci taszczyli wałówkę ze sobą i zjadali ją w pokojach; niektórzy to nawet brali ze sobą maszynki na spirytus i gotowali sobie w pokoju kartoflanek, a obierki wrzucali pod łóżko i jeszcze chcieli, żebym im za darmo czyścił buty, a na odchodnym dawali mi jako tryngiel znaczek reklamowy i za to mogłem znieść im do auta skrzyneczkę drożdży, bo oni brali ze sobą drożdże z firmy, którą reprezentowali, żeby je przy okazji sprzedawać. Niektórzy handlarze taszczyli ze sobą tyle kufrów, jakby mieli w nich cały towar, który zamierzają sprzedać przez tydzień, ale inni z kolei nie mieli prawie nic. Wciąż mnie to ciekawiło: przychodzi wędrowny handlarz i nie ma kufrów; czym taki może handlować? I zawsze było to dla mnie zaskoczenie, bo, powiedzmy, jeden zbierał zamówienia na papier pakunkowy i torebki papierowe, i ten miał próbki przy sobie, wsunięte za chusteczką w kieszonce marynarki, drugi miał w aktówce tylko jo-jo i diablo, które nosił przy sobie, a w kieszeni listę zamówień i szedł tak sobie przez miasto, i grał w jo-jo albo diablo. Wchodził do kramu z zabawkami i galanterią i tam grał dalej, a sklepikarz zostawiał klientów i agenta od drobnego towaru i jak we śnie szedł naprzeciw, wyciągając łapki do jo-jo albo diablo. Akurat były modne i ludziska ciągnęli do tych zabawek, więc kupiec od razu: „Ile tuzinów, ile grosów mi pan dasz?“, i komiwojażer godził się na dwadzieścia tuzinów, a potem dokładał jeszcze z tuzin. Kiedy indziej była w modzie piłeczka z mikrogumy i taki komiwojażer podrzucał sobie taką piłkę w pociągu, na ulicy, a później i w kramie, a sklepikarz jak zahipnotyzowany szedł mu na spotkanie i patrzył do góry i na dół, jak ta piłka wylatuje pod sufit i wraca do ręki, i znowu: do góry i w dół, i rzecz jasna: „Ile tuzinów, ile grosów mi ich pan ostawisz?“ Ale ja nie lubiłem takich sezonowych agentów, ober też za nimi nie przepadał, to byli przeważnie szuje, agenci kuci na cztery nogi. Ledwie taki wszedł do lokalu, a my już wiedzieliśmy, że najchętniej pojadłby j /wiał przez okno bez płacenia, zresztą parę razy tak właśnie było... Z tych, co u nas nocowali, najfajniejszy był Gumowy Król — agent, który zaopatrywał drogerie w intymne artykuły z gumy, reprezentant firmy Primeros. Kiedy się zjawiał, za każdym razem miał coś nowego i dlatego bywalcy zapraszali go do stołu, bo zawsze komuś wyciął głupi kawał, z czego reszta oczywiście się cieszyła. Ten komiwojażer rozdawał rozmaite prezerwatywy, w różnych kolorach i kształtach, a ja, chociaż byłem jeszcze pikolakiem, dziwiłem się i czułem wstręt do naszych stałych bywalców, którzy na ulicy wyglądali tak dostojnie, ale przy stole, kiedy się rozochocili, przypominali koty w marcu albo małpy, tak byli bezwstydni i śmieszni. Ten Gumowy Król zawsze komuś podrzucał dojadła primero-sa, wsuwał na przykład pod knedlika i kiedy gość brał się do jedzenia, to wszyscy rechotali, bo wiedzieli, że najpóźniej za miesiąc przydarzy im się to samo, i w ogóle lubili sobie robić kawały. Taki pan Żywnostek — ten, który miał fabrykę sztucznych zębów — co chwila wrzucał

komuś do piwa parę zębów albo kawałek sztucznej szczęki, a kiedyś wypił własne zęby, które wrzucił sąsiadowi do kawy, z tym, że sąsiad podmienił filiżanki i pan Żywnostek mógłby się udławić, tylko że weterynarz walnął go z całej siły w plecy, zęby wyleciały i wpadły pod stół, a pan Żywnostek myślał, że to zęby fabryczne, i rozdeptał je, i dopiero później poznał, że to jego zęby, robione na miarę... Z tego najbardziej się cieszył pan Szloser, technik dentystyczny, bo lubił szybkie usługi, na których zarabiał najwięcej. Jego sezon to była pora odstrzału zajęcy i bażantów, bo wieczorem po pukaniu koła łowieckie tak się spijały, że wielu strzelców gubiło i łamało sobie zęby, no i pan Szloser pracował dniami i nocami, żeby te zęby po-naprawiać, byle tylko żona się nie dowiedziała albo żeby to jakoś przez parę dni zamaskować przed rodziną... No, a ten Gumowy Król nosił ze sobą też inne rzeczy; kiedyś przyniósł tak zwane „Ukojenie wdów”. Nigdy się nie dowiedziałem, co to było — schowane w takim pokrowcu jak klarnet. „Ukojenie wdów” krążyło wokół stołu, wszyscy to otwierali i ryczeli ze śmiechu, a potem prędko zamykali i podawali dalej, więc chociaż roznosiłem piwo, nie dowiedziałem się, jakie to było ukojenie dla naszych wdów. Innym razem Gumowy Król przyniósł sztuczną gumową dziewczynę. Towarzystwo siedziało w kuchni, bo była zima, latem przesiadywało się w kręgielni albo przy oknie oddzielonym portierą, no i ten Gumowy Król trzymał taką gadkę o tej lalce, że wszyscy rechotali, tylko mnie wcale nie było do śmiechu. Każdy przy stole miał tę lalkę, ale kiedy wziął ją w ręce, poważniał, rumienił się i zaraz podawał siedzącemu obok, a Gumowy Król pouczał jak w szkole: — Panowie, oto ostatnia nowość, obiekt seksualny do łóżka, lalka z gumy zwana Primavera, każdy z nią może wyrabiać, co chce, wygląda jak żywa, ma wielkość dojrzałej dziewczyny, jest podniecająca, przytulna i ciepła, piękna i pełna seksu, miliony mężczyzn czekało na Primaverę z gumy, nadmuchiwaną własnymi ustami. Kobieta stworzona waszym oddechem przywróci mężczyznom wiarę w siebie, dając im nową potencję i erekcję, i nie tylko erekcję, ale też cudowne zadowolenie. Primavera, panowie, jest ze specjalnej gumy, a między nogami ma gumę nad gumami — mikrogumę! Ma też otwór upiękuszony wszystkimi wypukłościami i wklęsnięciami, jakie powinna mieć kobieta. Bateria wprawia malutki wibrator w lekkie, podniecające drzenie. W ten sposób kobiecy organ wibruje jakby naturalnie i każdy wedle upodobania może sobie zrobić dobrze, i każdy mężczyzna jest przy tym panem sytuacji. A żebyście nie musieli czyścić organu kobiecego, używajcie prezerwatywy firmy Primeros, bardzo proszę, a żebyście sobie nie otarli, proszę, oto tubka kremu glicerynowego... — I za każdym razem, kiedy któryś z gości z całej siły nadmuchał tę Primaverę z gumy i podał dalej, Gumowy Król wyciągał zatyczkę i lalka znów fłaczała. Wszyscy po kolei nadmuchiwali ją własnym oddechem, każdemu rosła w rękach za sprawą powietrza z jego płuc, a pozostali klaskali i śmiali się, nie mogąc doczekać się swojej kolejki. Wesoło było w kuchni, tylko kasjerka wierciła się, zakładała nogę na nogę i była jakaś niespokojna, jakby to ją nadmuchiwali i z niej spuszczało powietrze, a tamci zabawiali się tak aż do północy... Kiedyś zjawił się komiwojażer z podobnym towarem, ale jeszcze piękniejszym i bardziej praktycznym. Był to przedstawiciel firmy krawieckiej z Pardubic i nasz ober, który wciąż nie miał czasu, trafił do niego przez armię, a dokładniej przez jednego podpułkownika, którego obsługiwał, i ten polecił mu tego agenta, który

spisał u nas dwa razy w roku. Widziałem to i za nic nie potrafiłem zmiarkować, o co chodzi: facet najpierw zmierzył panu oberowi spodnie, a potem kazał mu stać w samej kamizelce i białej koszuli i do piersi, pleców, wokół pasa i szyi przykładał mu takie paski z papieru pergaminowego, i pisał na nich miary, i kroił bezpośrednio na oberze, jakby mu z tych pasków s/ył frak, a przecież nie miał przy sobie materiału. Potem te wstążki ponumerował i starannie złożył w kopercie, którą zakleił i zapisał na niej datę urodzin naszego obera i, ma się rozumieć, jego imię i nazwisko, wziął zaliczkę i powiedział, że wszystko załatwione i że teraz przyjdzie mu tylko czekać, aż frak przyślą pocztą, bo żadnych przymiarek już nie trzeba; w końcu w tej, a nie w innej firmie zamówił sobie frak, a ober naprawdę nie miał czasu. Później usłyszałem to, o co chciałem zapytać, ale nie miałem śmiałości: jak to wszystko idzie dalej? Przedstawiciel powiedział to sam z siebie; układając zaliczkę w pękatym pugilaresie tłumaczył cicho: — Wie pan, to jest ta rewolucja w naszym kraju, może w Europie albo i w świecie, którą wymyślił mój szef: oficerowie, aktorzy i ci wszyscy, co mają mało czasu, tak jak i pan, panie starszy, ja ich wszystkich elegancko wymierzam, wysyłam miary do pracowni, a tam tymi paskami okładają coś w rodzaju krawieckiego manekina, tyle że w jego środku jest worek z gumy, który powoli się napompowuje, aż wygładzi te wszystkie sklezione wstążki, twardniejące dzięki szybko schnącemu klejowi. Potem zdejmują się te paski i pański napompowany na zawsze tułów wlatuje pod sufit. Przywiązuje się do niego sznureczek, tak jak dzieciom na porodówce, żeby ich nie pomylić, albo jak w dużej kostnicy jednego praskiego szpitala przywiązuje się do kciuka trupa tabliczkę, żeby nie pomylić z innym; kiedy nadejdzie pora, ściąga się te latające manekiny i przymierza na nich suknie, fraki, zgodnie z zamówieniami, potem się szyje i znowu robi przymiarę, i tak trzy razy, rozpruwa się i szyje, i cały czas bez jednej przymiarki z żywym człowiekiem, a tylko z jego napompowanym zastępcą — tak długo, aż surdut leży jak ulał i można go śmiało posłać franko albo płatne przy odbiorze, i każdemu pasował będzie tak długo, dopóki nie przytyje albo nie schudnie, a wtedy załatwi to przedstawiciel firmy: przyjdzie i zmierzy, ile kto przybrał albo spadł, wszystko się w tych miejscach na manekinach zmniejszy lub powiększy i w zależności od potrzeby poprawi albo uszyje się nowy frak czy wojskowy mundur... I do czasu śmierci klienta magazyn pełny jest manekinów pod sufitem: parę setek kolorowych tułowi, wystarczy przyjść i odnaleźć według rangi, bo firma wszystko ma posegregowane na sekcje: sekcja generałów, pułkowników, podpułkowników, majorów, kapitanów, oberów i różnych wyfrakowanych facetów, wystarczy przyjść, pociągnąć za sznurek, i manekin niczym dziecinny balonik zjedzie w dół, a wtedy widać dokładnie, jak kto wyglądał, kiedy ostatnio kazał sobie uszyć albo przerobić surdut czy płaszcz... — Tak mnie to poruszyło, że postanowiłem: kiedy już zdam egzamin kelnerski, też zamówię sobie w tej firmie frak, żebym i ja, i mój tułów unosił się pod sufitem firmy, pewnie jedynej na świecie, bo coś takiego mogą wymyślić tylko nasi... Później często mi się śniło, że to nie mój tułów, ale ja unoszę się pod sufitem pardubickiej firmy krawieckiej, a czasami wydawało mi się, że unoszę się pod sufitem naszej restauracji „Złota Praga”.

Kiedyś koło północy niosłem mineralną temu przedstawicielowi firmy Berkel, temu, co nam załatwił dostawę aptekarskiej wagi i urządzenia cieniutko krojącego salami. Wszedłem bez pukania i zobaczyłem tego faceta siedzącego jak zawsze na dywanie. On, jak sobie podjadł, od razu szedł do pokoju i tam przebierał się w piżamę; więc siedział w kucki, a ja najprzód myślałem, że stawia pasjansa albo wróży sobie 2 kart, ale on uśmiechał się błogo, cały opromieniony szczęściem jak małe dziecko, i układał na dywanie jedną stukoronówkę przy drugiej. Miał już ich pół dywanu i ciągle mu było mało, bo wyciągnął z aktówki następny plik banknotów i układał je starannie w rządki, i to tak dokładnie, jakby na dywanie miał namalowane linie czy kolumny, każdą stukoronówkę niby we wcześniej wyznaczony prostokąt, a kiedy dokończył rządki i rzędkie te zachodziły na siebie idealnie niczym plastry pszczelego miodu, zapatrzył się tkliwie na te setki, klasnął tłustymi dłońmi, potem pogładził nimi policzki pełne dziecięcego zachwytu i trzymając tak twarz w dłoniach, rozkoszował się tymi banknotami, później wrócił do przerwanej zajęcia i znów okładał podłogę setkami, a jeżeli któraś była odwrócona na drugą stronę albo do góry nogami, kładł ją tak, żeby wszystkie leżały identycznie. Ja stałem, bojąc się kaszlnąć i odejść — te pieniądze niczym idealnie ułożone kafelki to był straszny majątek, a przede wszystkim ten olbrzymi zachwyty i ta cicha radość otworzyły przede mną nowe perspektywy, bo ja też kochałem pieniądze, ale na coś takiego nie wpadłem. Wtedy dopiero wyobraziłem sobie, że wszystkie pieniądze, które zarobię — na razie jeszcze nie setki, tylko dwudziestokoronówki — że też te dwudziestki tak będę układał. I patrząc na tego grubego, dziecinnego mężczyznę w pasiastej piżamie poczułem olbrzymią rozkosz, i już wiedziałem i widziałem, że to będzie mój cel na przyszłość. Też się tak kiedyś zamknę albo zapomnę zamknąć i mimo to układać będę na podłodze obraz swej potęgi, swych zdolności, widok, który daje prawdziwą radość... Pewnego razu tak samo nakryłem pana poetę, Tondę Jodła, który u nas mieszkał i na swoje szczęście umiał malować, więc zamiast rachunku szef inkasował od niego jakiś obraz. Tonda wydał w naszym miasteczku tomik wierszy — nazywało się to Życie Jezusa Chrystusa — co prawda własnym sumptem, no i on też cały nakład zabrał do pokoju i tam układał na podłodze jeden egzemplarz obok drugiego, bez przerwy przy tym zdejmował marynarkę i wkładał, taki był nerwowy przez tego Jezusa Chrystusa. Cały pokój obłożył tymi białymi książkami, ale wszystkie mu się nie pomieściły, więc wyszedł na korytarz i prawie do schodów dojechał z tymi tomikami, i co chwila zdejmował i wkładał marynarkę. Kiedy się spocił, zarzucał ją sobie na ramiona, ale jak mu zimno dokuczało, wciągał ją porządnie, z rękawami, żeby zaraz się rozebrać, bo robiło mu się gorąco. I ciągle wypadała mu z uszu wata — też ją na zmianę wyjmował albo upychał, zależnie od tego, czy chciał słyszeć świat wokół siebie. A nasi goście, jak tylko mogli, to temu poecie, który głosił powrót pod strzechy i zresztą nie malował nic innego niż strzechy chat na Pogórzu Karkonoskim, zawsze robili jakiś kawał, bo on mówił, że zadaniem poety jest poszukiwanie nowego człowieka.

Ale nasi goście go nie lubili, zresztą może i lubili, tylko że ciągle mu wykręcali jakiś numer. Ten poeta mało że się w restauracji rozbierał i zaraz znowu ubierał, to jeszcze zzuwał i obuwał buty, tak co pięć minut, jak tylko zmieniał mu się humor z powodu poszukiwania tego nowego człowieka, zzuwał i

obuwał kalosze; więc jak je zzuł, to goście lali mu do nich piwo albo kawę i wszyscy obserwowali, widelcami nie trafiali do ust, bo tak zezowali przy jedzeniu. A kiedy poeta wkładał kalosze i wyciekała z nich kawa albo piwo, to grzmiał na całą restaurację: „Nasienie złe, głupie, występne... pod strzechy wam...”, i potem płakał, ale nie ze złości, tylko ze szczęścia, bo to piwo wlane do kaloszy traktował jako wyraz uznania, że miasto się z nim liczy i chociaż nie okazuje szacunku, to uważa go za równego faceta... najgorsze jednak było, kiedy przybili mu kalosze gwoździami. Poeta wsunął się w nie i chciał wrócić do stołu, ale nic z tego, i tylko cudem nie wyłożył się jak długi, podpierając się parę razy rękami, tak solidnie kalosze były przybite. Więc znów pomstował na gości: „nasienie złe, głupie, występne...”, ale zaraz im wybaczył i podsunął malunek albo tomik wierszy, za które od razu kasował forszę, żeby mieć z czego żyć... W gruncie rzeczy to on nie był zły, skądże. Często miałem takie przywidzenia, że niczym anioł nad drogerią „Pod Białym Aniołem” wisi ten poeta nad całym miastem machając skrzydłami, i on miał te skrzydła, widziałem je, ale bałem się o to spytać księdza dziekana. Widziałem też, kiedy się tak rozbierał i ubierał i kiedy jego ładna twarz pochylała się nad ćwiartką papieru — lubił pisać wiersze na naszych stołach — widziałem jego anielski profil i widziałem, że nad jego głową unosi się aureola, całkiem zwyczajny krąg, taki fioletowy płomyk wokół jego głowy, zupełnie jak płomyk kuchenki marki Prymus, jakby w jego głowie była nafta, a nad nią jarzył się syczący krąg, taki jak w jarmarcznych lampach... A kiedy kroczył rynkiem, to nikt nie umiał tak nosić parasola jak on, nasz gość; nikt nie umiał nosić niedbale przerzuconego przez ramię prochowca tak jak ten poeta, nikt też nie umiał nosić kapelusza jak ten artysta, chociaż z uszu wyrastały mu białe kłaki waty i chociaż, zanim przeszedł rynek, to z pięć razy ten prochowiec ściągał i znowu wkładał, i z dziesięć razy zdejmował kapelusz i wkładał z powrotem, jakby kogoś pozdrawiał. Ale on nie pozdrawiał nikogo, tylko babinom na targu, tym przekupkom, kłaniał się nisko. Kiedy chwycił ziąb albo padało, to miał wtedy swój stały numer z tym poszukiwaniem nowego człowieka — zawsze zamawiał garnek flaczków, bułkę i osobiście zanosił tym przemarzniętym babinom. I jak szedł przez rynek, to wcale nie wyglądało, że w garnku ma zwykle flaczki, przynajmniej ja tak to widziałem, że on tym babinom, każdej z osobna, niesie swoje serce, ludzkie serce we flaczkach, albo swoje serce posiekane i przyrządzone na cebulce z papryką. I niósł je jak ksiądz monstrancję albo najświętszy sakrament do ostatniej posługi. I nosił tak te garnki roniąc łzy nad swoją dobrocią, że wprawdzie na kredyt, ale jednak kupił tym staruszkom jedzenie, i to nie po to, żeby się rozgrzały, ale żeby wiedziały, że on, Tonda Jodl, myśli nich, że przejmuje się nimi, że traktuje te kobiety jak się bie samego, jak część swego światopoglądu, a swoje postępowanie jak przejaw miłości bliźniego tu i teraz, a nie po śmierci... Tamtego razu, kiedy rozłożył swoją nową książkę nawet na podłodze korytarza, akurat z ubikacji szła sprzątaczką z kubelkiem i podeptała mu białe okładki Jezusa Chrystusa, ale Tonda nie zwymyślał jej „nasienia złe, głupie, występne”, tylko każdy ślad zostawił i na tej prawie męskiej zelówce podpisał się, a potem sprzedawał Jezusa z odciskiem po dwanaście koron, zamiast po dziesięć... jednak ta książka wyszła własnym sumptem, więc było jej ledwie dwieście egzemplarzy, a Jodl miał obiecane, że wydawnictwo katolickie w Pradze wyda dziesięć tysięcy tej książki, i liczył

całymi dniami, zdejmował marynarkę i wkładał, i trzy razy się przewrócił, kiedy mu przybili kalosze, zapomniałem o tym wcześniej powiedzieć. Co pięć minut sypał też w siebie jakieś lekarstwo,! no i ciągle był obsypany tymi proszkami niczym młynarz,! kiedy rozerwie się worek z mąką. Jego czarny garnitur był cały biały na piersiach i kolanach, a któreś z lekarstw, neurastenin to się nazywało, pił prosto z flaszki i wokół ust miał taką żółtawą obwódkę jak od żucia tytoniu... I pił, i wsypywał w siebie te leki, a one właśnie sprawiały, że po pięciu minutach było mu gorąco, brało go na poty, ale za chwilę robiło mu się zimno i tak go trzęsło, że aż cały stół dygotał. No i mistrz stolarski wymierzył, ile metrowi pokryło to Życie Jezusa Chrystusa, pokój i korytarz, i Ton-1 da obliczyć potem, że kiedy wyjdzie tych dziesięć tysięcy egzemplarzy, to będzie tego tyle, że jakby je położyć na ziemi, starczyłoby na wybrukowanie drogi z Czaślawi do Herzmanowa, że ta powierzchnia pokryłaby cały rynek i wszystkie przylegające ulice historycznej części naszego I miasteczka, że jakby ułożyć jeden tomik wierszy za drugim, to utworzyłyby wstęgę, przerywaną linię pośrodku! drogi z Czaślawi aż do Iglawy, i takiego mi zabił tymi I książkami ćwieka, że wciąż chodziłem po bruku naszego I miasteczka, jakby to były te rozłożone książki, i wiedziałem, że to musi być piękne uczucie widzieć na każdym brukowcu wydrukowane swoje nazwisko i dziesięć tysięcy razy napisane Życie Jezusa Chrystusa... Tak, ale Tonda był za nie dłużny, no i raz przyszła do niego pani Kadawa, właścicielka drukarni, skonfiskowała mu Życie Jezusa Chrystusa, dwóch parobków odniosło to w koszu na bieliznę, a pani Kadawa powiedziała, a właściwie krzyknęła: - Jezus Chrystus jest u mnie w drukarni i za osiem koron wydam panu zawsze jednego Jezusa Chrystusa... — Na co Tonda zdjął marynarkę, lyknął z butelki neurastenu i zagrział: — Nasienie złe, głupie, występne...

Odkaszlnąłem, ale pan Walden leżał sobie na podłodze przy dywanie, cały dywan był jakby we wzorek stukoro-nówek, usiany zielonymi banknotami... Pan Walden spoglądał na to pole wyciągnięty, z tłustą dłonią pod głową, niczym z poduszką... Wyszedłem, zamknąłem, a potem zapukałem. Pan Walden zapytał: — Kto tam? — Powiadam: — Ja, pikolak, przyniosłem mineralną... — Proszę — rzekł. — Wszedłem więc, a pan Walden wciąż leżał na boku z głową ułożoną na dłoni, włosy miał kędzierzawe, całe w brylantynie, lśniły te jego włosy prawie tak samo jak brylanty na drugiej ręce. I znów był wesoło usposobiony, i powiedział: — Podaj mi jedną i usiądź se. — Wyjąłem z kieszeni otwieracz do wina i kapsli, a mineralna cicho zaszumiała. Pan Walden pił, w przerwach wskazywał na banknoty i mówił, cicho, pieścizotliwie, jak ta mineralna: — Wiem, wiem, tyś tu już był, a ja ci dałem się napatrzeć... pamiętaj, pieniądze otworzą ci drogę na cały świat, tego mnie uczył stary Koreff, u którego terminował, a to, co tu widzisz na dywanie, zarobiłem przez tydzień: sprzedałem dziesięć wag... I to jest moja prowizja. Widziałeś kiedy coś piękniejszego? Jak przyjadę do domu, rozłożę to wszystko po całym mieszkaniu, rozłożymy to z żoną na wszystkich stołach i podłodze, kupię kiełbasy, pokroję na kosteczki i cały wieczór będę jadł, nie zostawię nic na następny dzień, bo w nocy i tak bym się zbudził i zeżarł resztki. Kiełbasy to ja całą laskę bym mógł, tak za nią przepadam, opowiem ci o tym, kiedy przyjadę tu jeszcze raz... — Wstał, pogłaskał mnie, wsunął mi rękę pod brodę i patrząc mi w oczy powiedział: — Ty się czegoś dochrapiesz, zapamiętaj to sobie, coś w tobie jest, wiesz? Tylko

żebyś umiał się za to wziąć... — Ale jak? — mówię. — A on: — Widziałem cię na stacji, jakieś sprzedawał serdelki, ja jestem jeden z tych, co ci dali dwudziestkę, a tyś tak długo wydawał resztę do korony osiemdziesiąt, aż pociąg ruszył i pojechał... a ty... — Pan Walden wstał, otworzył okno, nabrał z kieszeni spodni garść drobnych i rzucił na wyludniony rynek. Począł i palcem dał mi znać, żebym słuchał, jak monety brzęknęły i potoczyły się po bruku, i dodał: — O, tak musisz umieć wyrzucać drobne przez okno, żeby drzwiami przysły do ciebie setki, wiesz? — Akurat podniósł się wiatr i zrobił przeciąg, i wszystkie setki jakby na rozkaz uniosły się, podrygiwały, ożyły i niczym jesienne liście przesunęły się w kąt pokoju. A ja patrzyłem na pana Waldena; zawsze przypatrywałem się każdemu wędrownemu handlarzowi i kiedy się już na niego napatrzyłem, zastanawiałem się, jaką ma bieliznę, jaka koszulę. I zawsze wyobrażałem sobie, że wszyscy mają brudne spodniki, niektóre pewnie w kroku aż pożółkłe, że wszyscy mają brudny kołnierzyk koszuli i że mają zgnojone skarpetki, no i gdyby nie kwaterowali u nas, na pewno wyrzucaliby te skarpetki, spodniki i koszule przez okno, tak jak wyrzucali je oknem z łaźni Karola, gdzie trzy lata byłem u babci na wychowaniu. Babcia miała w starym młynie izdebkę, taką komórkę, do której nigdy nie zaglądało słońce, zresztą nie mogło, bo była z północnej strony. Zaraz obok było koło młyńskie, takie wielkie, że na wysokości pierwszego piętra szło do wody, a sięgało aż do trzeciego piętra. Moja babcia mogła mnie do siebie wziąć na wychowanie, no, bo mamusia miała mnie jako panią, więc dała mnie swojej mamusi, znaczy mojej babci, która mieszkała tuż przy tej łaźni. Babcia uważała, że ma szczęście w życiu, bo dostała w najem tę komórkę w młynie, i zawsze dziękowała Bogu za to, że jej wysłuchał i dał tę komórkę zaraz obok łaźni, bo kiedy nadszedł czwartek albo piątek, to w łaźni kąpali się wędrowni handlarze i różni bezdomni ludzie, a wtedy moja babcia d dziesiątej rano miała stan pogotowia. Później i ja cieszyłem się na czwartki i piątki, na inne dni też, tyle że wtedy bielizna z okna łaźnienego klozetu nie fruwała tak często. Wyglądaliśmy przez okno i co chwila ktoś z tych agentów wyrzucał brudne spodniki, które najpierw zatrzymywały się w locie, a potem spadały. Niektóre lądowały w wodzie i babcia wychylała się, i wyciągała je hakiem, a ja musiałem ją trzymać za nogi, żeby nie wpadła w tę głębię. Czasami wyrzucone koszule rozkładały nagle ręce jak policjant na skrzyżowaniu albo Chrystus Pan, zastygały na chwilę w powietrzu jak ukrzyżowane, a później na łeb, na szyję spadały na obręcz i pióra młyńskiego koła, które ciągle się obracało, i wtedy robiło się fajnie, bo trzeba było albo zostawić koszulę na kole do czasu, aż się obróci i przyniesie koszulę czy spodniki pod babcine okno, tak że wystarczyło wyciągnąć rękę i je sobie wziąć, albo ściągać koszulę hakiem z wału, na którym się zaczepiła i wciąż się z niego ześlizgiwała, ale babcia i wtedy sobie radziła i przez okno wyciągała ją hakiem do kuchni. Od razu też wrzucała to wszystko do balii i wieczorem prała z pierwszego brudu, te brudne spodniki, koszule, skarpetki, i wylewała wodę z powrotem do młynówki bulgoczącej pod piórami młyńskiego koła... Piękne były te -wieczory, kiedy w ciemności nagle z okna łaźnienego klozetu wylatywały białe spodniki albo biała koszula na ciemnym tle bryły młyna. Na chwilę tylko zajaśniała w naszym oknie biała koszula albo białe spodniki, bo babcia potrafiła złapać je na hak w locie, zanim spadły na mokre, lśniące pióra. Czasem

wieczorem albo w nocy, kiedy od wody robił się przeciąg i opary wznosiły się w górę, a deszcz smagał babcię po twarzy, musiała się o tę koszulę porządnie z przeciągiem naszarpać, ale i tak cieszyła się z każdego dnia, a już specjalnie z czwartku i piątku, kiedy domokrażcy zmieniali koszule i spodenki, a jako że zarabiali pieniądze, kupowali sobie nowe skarpetki, spodenki i koszule, a stare wyrzucali przez łąziebne okno, gdzie czyhała już na nie babcia z hakiem... A potem prała tę bieliznę, cerowała i układała w komodzie, żeby później nosić ją po budowach i sprzedawać murarzom i pomocnikom. I tak sobie żyła, skromnie, ale dobrze, i mogła nawet dla mnie kupować rogaliki i mleko na białą kawę... to były chyba najpiękniejsze moje lata... jeszcze dziś wciąż widzę noc, otwarte okno i przy nim przyczajoną babcię, a jesienią i zimą nie była to łatwa sprawa, i widzę wciąż, jak wyrzucona koszula niesiona przeciągiem na chwilę zatrzymuje się przy oknie, rozrzuca ramiona, a babcia błyskawicznie przyciąga ją do siebie, bo za moment koszula już flaczeje i spada jak zestrzelony ptak w szemrzącą czarną wodę, żeby potem, niczym na mękach, powoli zjawić się na młyńskim kole tortur już bez ludzkiego ciała i wznosić się po mokrym okręgu, a gdyby zniknęła w oknie trzeciego piętra, gdzie na szczęście były tylko urządzenia młyńskie, a nie ludzie jak my, z którymi byśmy musieli walczyć o te koszule i kalesony, wtedy trzeba byłoby poczekać, aż koszula zrobi łuk i wróci, stopniowo spuszczać się w dół, a jakby się omsknęła i wpadła do chlupoczącej czarnej wody, wtedy porwałaby ją młynówka gdzieś daleko za młyn... No, może już wystarczy, co? Na dzisiaj koniec.

HOTEL „CICHY KĄCIK”

Posłuchajcie, co wam teraz powiem.

Kupiłem sobie nową fibrową walizkę i ułożyłem w niej nowy frak, który uszył mi ten krawiec z Pardubic, frak szyty na moim manekinie. Osobiście odbierałem ten frak i przedstawiciel firmy faktycznie nie kłamał. Zmierzył mi klatkę piersiową, obłożył mnie paskami pergaminowego papieru, wszystko to opisał, a kiedy skończył mierzyć, włożył do koperty, wziął zaliczkę, i potem pojechałem po ten frak. No i frak leżał jak ulany, ale mnie interesował nie frak, ile ten mój nadmuchiwany manekin, to moje popiersie. I szef— on też był taki maleńki jak ja i chyba zrozumiał, że chcę się -wdrapać wyżej, ciągle wyżej, że zależy mi na tym, żeby być pod samym sufitem tego towarzyskiego kramu — osobiście mnie tam zaprowadził. To było coś wspaniałego. Pod sufitem unosiły się popiersia generałów i dowódców pułków, popiersia czołowych aktorów, sam Hans Albers kazał tu sobie szyć frak i też wisiał pod sufitem. Przez otwarte okno szedł przeciąg i popiersia poruszały się jak obłoczki, jak baranki na niebie, kiedy dmucha jesienny wiatr. Z każdego popiersia zwisała cieniutka nić, a na niej była wizytówka z adresem, i kiedy przeciąg dmuchnął, wizytówki podskakiwały wesoło niczym rybki złowione na wędkę. Szef wskazał mi jedną i przeczytałem swój adres, a potem ściągnąłem swoje popiersie. Faktycznie, maleńki byłem. O mało się nie rozplakałem, kiedy zobaczyłem obok siebie popiersie generała brygady i popiersie hotelarza, pana Beranka, ale potem roześmiałem się ze szczęścia, że trafiłem w takie towarzystwo. Szef pociągnął za jeden sznurek i powiedział, że szyje na ten manekin frak i że to jest minister szkolnictwa, i że jeszcze mniejszy jest tu minister obrony narodowej. I to wszystko tak mnie pokrzepiło, że zapłaciłem za mój frak i dodatkowo dołożyłem dwieście koron jako drobny napiwek od maleńkiego kelnera, który odchodzi z hotelu „Złota Praga” i idzie do hotelu „Cichy Kącik” gdzieś w Strańczycach, bo tam zaprotegował mnie agent handlowy trzeciej firmy na świecie, firmy van Berkeł. Więc pożegnałem się i pojechałem do Pragi. Przed południem wysiadłem z walizką w Strańczycach. Padało, musiało tu padać nie całą noc, ale parę dni, tyle było na drodze piachu i błota, a przez pokrzywy, lebiodę i łopiany pędził potok, spieniony i całkiem beżowy jak biała kawa. A ja brodziłem przez to błoto pod górę, tak jak pokazywała strzałka — hotel „Cichy Kącik”. Kiedy minąłem kilka małych willi z połamanymi drzewami, musiałem się roześmiać, bo w jednym z tych ogródków ściągali przepołowione drzewo obsypane dojrzałymi morelami; łysy właściciel ściągał drutem złamaną koronę, którą z dwu stron przytrzymywały dwie kobiety, i naraz dmuchnął taki wiatr, że drut pękł, a kobiety nie utrzymały korony, która znów się rozszczepiła i przygniotła tego gościa razem z drabiną, tak że cały znalazł się w sidłach z gałęzi. Z głowy ciekła mu krew, tak go te gałęzie niczym ciernie podrapały i spętały, i facet leżał na ziemi niczym przybity, ukrzyżowany przez grube konary. Stałem przy płocie, a kobiety, kiedy zobaczyły, co jest z ich mężczyzną, wybuchnęły gromkim śmiechem, chichotały jak opętane, natomiast facet wybałuszał oczy i krzyczał: — Wy kurwy jedne, świnię, czekajcie, niech no się tylko wydostanę, rozdepczę was jak robaki! — Te kobiety to chyba były jego córki albo żona z córką. Zdjąłem kapelusz

i mówię: — Przepraszam szanownego obywatela, czy tędy do hotelu „Cichy Kącik?” — A on mi na to, żebym go w dupę pocałował. Szarpał się, ale wstać nie mógł, to było coś pięknego, ten mężczyzna w niewoli dojrzałych moreli. Dwie kobiety naśmiały się wreszcie i zaczęły dźwigać gałęzie, żeby mężczyzna mógł się podejść. W końcu udało mu się klęknąć i wstać, i pierwsze, co zrobił, to od razu włożył na łysą głowę beret... Ale ja wolałem odejść i kiedy kroczyłem w górę wąwozu, zauważyłem, że droga jest asfaltowana, z krawężnikiem z nitowych kostek; w marszu strząsałem z półbutów błoto i żółty il. Wszedłem na wzgórze; ślisko było, raz upadłem na kolano, a nade mną ciągnęły chmury, po chwili niebo zrobiło się tak niebieskie jak przydrożna cykoria powalona przez strugi deszczu, i tam, na wzgórzcu, zobaczyłem ten hotel. Był piękny jak z bajki, niczym jakaś chińska pagoda, jak willa niesamowicie forsiastego faceta gdzieś w Tyrolu albo na Riwierze. Białe, z czerwonym, falującym ku górze dachem z klasztornej dachówki, okiennice na wszystkich trzech piętrach miał zielone i z żaluzjami, a każde piętro było odrobinę mniejsze od poprzedniego, tak że to ostatnie wyglądało jak śliczna altanka osadzona na szczycie tej budowli. A jeszcze nad tą altanką było takie maleństwo z samych zielonych okiennic, coś jakby wieżyczka albo stacja meteorologiczna, w środku z aparaturą, a na zewnątrz z chorągiewkami, nad którymi na szpicu obracał się czerwony kogut. I na każdym piętrze przy każdym oknie był balkon, a na taki balkon prowadziły drzwi, które tak jak okna miały żaluzje, otwarte żaluzjowe drzwi. Zbliżałem się, ale nigdzie nikt się nie zjawił, ani na drodze, ani w oknach, ani na balkonie. Wszędzie cicho, tylko w powietrzu słychać było wiatr, który pachniał i można go było jeść niczym lody, jak niewidzialny, ubity na śmietankę śnieg, że można by go było jeść łyżeczką. Miałem wrażenie, że gdybym tak wziął bułkę albo kawałek chleba, mógłbym podjadać to powietrze niemal jak zsiadłe mleko. Wszedłem przez furtkę, alejki były wysypane piaskiem, który przepłukał deszcz, a gęsta trawa zżęta i ułożona w kopki. Kroczyłem między sosnami, spod których rozciągał się widok na rozległe łąki, trawnik był świeżo przycięty kosą i gęsty. A wejście do tego hotelu „Cichy Kącik” wyginało się w taki mostek, z którego wchodziło się prosto w przeszklone drzwi, a te miały jeszcze jedne drzwi z zielonych żaluzji, drzwi ułożone na białym murze, taki szyk. Więc ten wjazd wyginał się i obrzeżała go biała balustrada, pod którą był skalny ogródek, alpinarium, a ja zważyłem, czy dobrze trafiłem, i w ogóle, jeśli nawet jestem w hotelu, to czy mnie przyjmą, czy pan Walden to wszystko załatwił, czy ja, malutki kelner, w ogóle się panu Cichemu do czego przydam. I naraz obleciał mnie strach. Nigdzie nikogo, nigdzie nie usłyszałem żadnego głosu, więc obróciłem się i pobiegłem przez ogród, a wtedy rozległ się przenikliwy gwizd, i to tak stanowczy, że zatrzymałem się, a gwizdek odezwał się trzy razy ti-ti-ti. Potem zagwizdało długo, odwróciłem się, a wtedy gwizdy były krótkie i ja, jakby ściągany przez jakiś sznur czy linę, znalazłem się z powrotem przy przeszklonych drzwiach, którymi wszedłem. I o mało co nie wpadł na mnie tęgi gość, który siedział w inwalidzkim wózku i dłońmi obracał obręcz kół, a z nalanej twarzy sterczał mu gwizdek. Teraz jednak obiema rękami złapał mocno koła, aż wózek zatrzymał się, i to tak gwałtownie, że grubas przychylił się do przodu i cudem nie wypadł, i tylko zjechała mu z łysiny czarna peruka, którą ten gruby facet zsunął sobie z powrotem na tył głowy. Przedstawiłem się panu Cichemu, a on przedstawił

się mnie, i powiedziałem o rekomendacji pana Waldena, tego przedstawiciela renomowanej firmy van Berkel. Pan Cichy odparł, że czeka na mnie już od rana, ale wątpił, czy przyjadę, bo mieli tu oberwanie chmury, i żebym sobie odpoczął, a później pokazał mu się we fraku, to powie mi, czego ode mnie będzie wymagał. Ja nie patrzyłem, nie chciałem patrzeć, ale to ogromne ciało w inwalidzkim wózku samo przyciągnęło moje oczy: potężne ciało, żywa reklama opon marki Michelin, a jednak pan Cichy, właściciel tego ciała, jakby się z czegoś niesamowicie cieszył, jeździł po ozdobionym porożami korytarzu tam i z powrotem, zupełnie jakby ganiał po jakiejś łące, tak dokazywał na wózku, na którym umiał jeździć pewnie lepiej, niż kto inny chodzić. Teraz pan Cichy gwizdnął, ale znowu jakoś inaczej, jak gdyby ten gwizdek miał rejestry, i ze schodów zbiegła pokojówka w białym fartuszkach na czarnej sukni. Pan Cichy rzekł: _ Wanda, to jest nasz drugi kelner, zaprowadź go do 20 pokoju... — Wanda odwróciła się, miała piękne pośladki i przy każdym kroku jeden z nich uwypuklał się, a jej włosy były upięte w czarny kok, ja zaś przez tę jej fryzurę byłem jeszcze mniejszy, ale postanowiłem sobie, że ta pokojówka będzie moja, że uzbieram na nią forszę, obłożę kwiatami jej piersi i te pośladki. Myśl o pieniądzach dodała mi sił, które traciłem zawsze, ile razy widziałem coś pięknego, a zwłaszcza piękną kobietę, tak, ale ona nie poprowadziła mnie na piętro, tylko na taki podest, skąd schodami zeszliśmy na podwórze, i tam zobaczyłem kuchnię i dwa białe czepeczki kucharzy. I usłyszałem pracę noży i wesoły śmiech, a do okna przylgnęły dwie nalane twarze i duże oczy, potem znowu śmiech, który oddalał się, w miarę jak ja śpieszyłem z moją walizką, a niosłem ją jak najwyżej, żeby jakoś zamaskować swój mikry wzrost, nawet podwójne zelówki nic nie pomogły, może tylko to, że chodziłem z podniesioną głową, tak że miałem wyciągniętą szyję. Kiedy przeszliśmy podwórze i weszli do oficyny, ogarnęło mnie rozczarowanie, bo w hotelu „Złoty Praga” mieszkalem jak hotelowy gość, a tu dostałem pokój dla parobka. Wanda pokazała mi szafę, otworzyła ją, potem przekręciła kurek i do umywalki pociekła woda, wreszcie odrzuciła kołdrę i pokazała, że pościel jest świeżo przebrana, a potem uśmiechnęła się do mnie z góry i wyszła. I widziałem przez okno, że kiedy szła przez podwórze, to nie mogła zrobić choćby jednego kroku, który by nie był obserwowany, widziany. Nie mogła sobie ta pokojówka pozwolić na to, żeby się podrapać... albo żeby obetrzeć palcami nos, cały czas musiała tu chodzić jak na scenie, niczym w jakimś przeszklonym sklepie. Pamiętam u nas, że kiedyś poszedłem kupić kwiaty i jak wracałem, to dziewczęta dekoratorki robiły witrynę u Katzów, przybijały gwoździkami materiał i chodziły za sobą na czworakach, jedna miała młotek i przybijała nim udrapowany szewiot i manchester, a kiedy zabrakło jej gwoździków, wyciągała rękę i z ust tej dekoratorki za nią brała gwoździk i przybijała kolejną fałdę, i tak bez przerwy wy ciągała z ust tej drugiej gwoździk za gwoździkiem; tamta dziewczyna miała pełne usta ćwieczków, wesoło im musiało być w tej witrynie. A ja stałem z koszykiem pełnym mieczyków, na ziemi miałem drugi kosz pełen margerytek, i patrzyłem na te dekorujące dziewczyny, które chodziły na czworakach. Było przedpołudnie, wszędzie pełno ludzi, a dziewczyny chyba zapomniały, że są w witrynie, i co chwila drapały się w pośladki albo gdzie indziej, i znowu na czworakach chodziły po sklepowej „wystawie, z młotkiem i w papuciach, i śmiały się do łez; kiedy ta druga parsknęła, to z ust wyleciały jej gwoździki,

a one chichotały na czworakach i prychały na siebie jak kotki, tak je roznosiła dziewczęca energia. Rozchyliły się im bluzeczki i było widać ich piersi, i jak chodziły na czworakach, to te piersi huśtały się tam i z powrotem, zgodnie z ruchami roześmianych szczęśliwie dziewczyn. Wokół pełno już było ludzi gapiących się na cztery huśtające się w dekoltach piersi niczym dzwony na wieży, aż jedna spojrzała na ludzi, spoważniała i, o tak, zgięła rękę i poczerwieniała, a druga, kiedy już wynurzyła się z łez śmiechu i ta pierwsza pokazała jej zgromadzenie przed firmą Katz, tak się wystraszyła, że jak przycisnęła łokieć do bluzki, to odchyliła się i przewróciła na plecy, i rozwarły jej się nogi, i było wszystko widać, chociaż schowane w modnych, koronkowych majteczkach. I tak jak przedtem ludzie się śmiali, to teraz na ten widok spoważnieli, jedni odchodzili, a inni stali tam i wciąż się gapili, chociaż już dawno minęło południe i dekoratorki były na obiedzie w „Złotej Pradze”, u nas, ale oni, oszołomieni urodą tych dekoratorek, ciągle tam stali, chociaż subiekci zaciągnęli już roletę. Tak piękno dziewczęcego ciała potrafi porazić niektórych ludzi... Siedziałem zdejmując zabłocone buty, a potem spodnie. Otworzyłem walizę, żeby powiesić frak, i jakoś tęskno mi się zrobiło za moim hotelem „Złota Praga”, za „Rajskimi”, wciąż tylko widziałem wokół siebie miasto z kamienia i tłumy ludzi, pełne place; przez te trzy lata przyroda i dla mnie kwiaty, po które co dzień chodziłem, skwerek i te płatki kwiatów, którymi panienkom „U Rajskich” okładałem nagie brzuchy... Wziąłem frak i naraz zadałem sobie pytanie: jaki był ten mój szef? Z perspektywy trzech lat z jego obrazu został mi tylko taki przecier, on i jego żona jawili mi się jako taki ekstrakt. Właściwie ten mój szef był jeszcze mniejszy ode mnie i podobnie jak ja wierzył w pieniądze; za pieniądze miewał piękne panienki, nie tylko u „Rajskich”, on jeździł, a właściwie uciekał do nich przed swoją kobietą aż do Bratysławy albo Brna. Mówiło się o nim, że zanim go pani znalazła, zawsze zdążył przepuścić ileś tysięcy i że przed każdym wyskokiem przyspilał do kieszonki kamizelki pieniądze na powrót i napiwek dla konduktora za odtransportowanie do domu, a jako że był maleńki, konduktor przynosił go przeważnie w swoich objęciach, jak dziecko, zawsze śpiącego. Po takiej orgietce za każdym razem kurczył się jeszcze bardziej i przez tydzień był mały jak konik morski... Ale po tygodniu znowu go brało... Teraz uprzytomniłem sobie, że lubił popijać ciężkie wina: porto, algierskie, malagę — wszystko pił z niesamowitym nabożeństwem i cholernie powoli, jak gdyby nigdy przedtem nie pił. A przy tym kiedy się trochę upił, robił się ten mój szef jakiś piękniejszy. Przez chwilę trzymał wino w ustach, potem przełykał, jakby to było jabłko, i po każdym łyku oświadczał cicho: „Jest w tym saharijskie słońce...” Czasem upijał się też z naszymi stołownikami i zawsze wtedy padał, a podochoceni przyjaciele wzywali jego żonę, żeby przyszła zabrać swego małżonka. I ona przychodziła. Zjeżdżała windą z trzeciego piętra, gdzie szef miał cały apartament, spokojna, to nie był dla niej wstyd, gdzie tam, wszyscy się jej kłaniali. Szef leżał pod stołem albo siedział na krześle i spał na stole. Pani brała go za kołnierz marynarki, podnosiła bez wysiłku z podłogi, jakby to była sama marynarka, a jeżeli mój szef siedział, to zrzucała go, ale szef nie zdążył upaść, bo łapała go w locie i spokojnie, lekko niosła w wyciągniętej ręce, on płynął w powietrzu, jakby to faktycznie była tylko marynarka. Szef zazwyczaj przytomniał i machał rączyną, na ile mu pozwoliła podciągnięta marynarka, a jego żona energicznie

otwierała drzwi windy i tak jak go trzymała wrzucała tam mego szefa i słycać było tylko łomot. Wsiadała za nim, uruchamiała windę, a my widzieliśmy przez przeszklone drzwi, jak szef leży na dnie windy, nad nim stoi jego kobieta i oboje wznoszą się na trzecie piętro niczym do nieba. Starzy bywalcy opowiadali, że przed laty, kiedy mój szef kupił hotel „Złoty Praga”, to pani przesiadywała razem z bywalcami: tu na dole był taki salon literacki, z którego ostał się chyba tylko poeta i malarz Tonda Jodl; podobno dyskutowało się tu, czytało książki i nawet grało sztuki, ale też zawsze szefowa klóciła się ze swoim mężem tak zawzięcie, że prawie regularnie co dwa tygodnie tak się na punkcie romantyzmu i realizmu albo Smetany i Janačka klócili, że zaczynali oblewać się winem, a potem nawet bić, a jako że szef miał cocker-spaniela, szefowa zaś foksteriera, to kiedy państwo brali się za łby z powodu literatury, wtedy psy też nie wytrzymały i żarły się aż do krwi. Później szef i pani godzili się i szli na spacer wzdłuż strumyka za miasto, z przewiazanymi głowami albo rękami na temblakach, a za nimi włókł się poharatany foksterier z cocker-spanielem, też z plastrami na pogryzionych uszach albo i bez, ale jeszcze ze schnącymi ranami po kąśliwej literackiej bitce... i tak dochodziło do powszechnej zgody, a za miesiąc wszystko zaczynało się od nowa... To musiało być piękne, chciałbym to zobaczyć. ..

Stałem przed lustrem we fraku, w moim nowym fraku, w białej, nakrochmalonej koszuli i pod białą muszką, a kiedy włożyłem do kieszeni nowy korkociąg z niklowym trzonkiem, wyposażony dodatkowo w nożyk, usłyszałem dźwięk gwizdka. Wyszedłem na podwórze i wtedy prze-frunął nade mną cień. Ktoś skoczył przez płot, na głowie, niczym dwie kobiece piersi, położyły mi się dwa kawałki materiału czy coś w tym rodzaju... i przede mną wylądował kelner we fraku. Podniósł się i poły jego fraka znów frunęły w powietrzu, a on pędził przyciągany sygnałem gwizdka. Kopnął i wahadłowe drzwi rozbryznęły „f zafalowały za nim i ucichły, odbijając w pomniejszym podwórze i moją zbliżającą się, a teraz już wchodzącą w przeszklone drzwi postać.

Dopiero po dwóch tygodniach połąpałem się, dla kogo hotel został zbudowany. Przez czternaście dni nie mogłem się nadziwić, gdzie to trafiłem i czy w ogóle takie szczęście jest możliwe. Przez czternaście dni zarobiłem na napiwkach parę tysięcy koron, a moja pensja to raptem takie kieszonkowe. Kiedy jestem w pokoiku sam i przeliczam banknoty, bo jak mam wolny czas, to zawsze liczę pieniądze, więc mimo że jestem sam, to mam wrażenie, że sam nie jestem, że wciąż mi się ktoś przygląda, i tak od czternastu dni... To samo zresztą wrażenie ma oberkelner Zdeniek, który robi tu już dwa lata i zawsze jest przygotowany na to, żeby przeskoczyć przez płot i na gwizdek jak najkrótszą drogą zjawić się w naszej restauracji, w której przez cały dzień nie ma właściwie nic do roboty. Kiedy wysprzątamy restaurację, co nie trwa długo, i kiedy przygotujemy szkło i wszystkie sztucce, wymienimy i skontrolujemy zapas serwetek i obrusów, to idę ze Zdeńkiem, który ma klucze do piwnicy, przygotować napoje, sprawdzić, czy mamy dość schłodzonego szampana i butelek eksportowego pilznera, a koniak wnosimy na górę, żeby złapał właściwą temperaturę. Potem idziemy do ogrodu, a właściwie do parku. Tam wkładamy fartuchy, grabimy ścieżki i zmieniamy kopki siana. Co czternaście dni stare kopki się wywozi, a na ich miejsce zwozi świeżo skoszoną trawę albo

podsuszoną, już prawie siano, które zgodnie z ustalonym wcześniej planem musimy ustawić tam, gdzie były te stare kopki. I grabimy ścieżki, z tym, że przeważnie robię to ja, bo Zdeniek ciągle przesiaduje w okolicznych willach u, jak on to mówi, pensjonariuszek, ale to pewnie żadne pensjonariuszki, tylko myślę, że to jego kochanki — samotne żony spędzające tydzień na daczach albo czyjeś córki przygotowujące się do egzaminów. Więc grabi? i patrzę, jak od tyłu, przez drzewa albo od strony rozległej łąki wygląda ten nasz hotel, który w ciągu dnia prezentuje się niczym jakiś pensjonat, wciąż mi się zdaje że z głównego wejścia wysypia się dziewczęta albo jacyś młodzieniaszkowie z teczkami, albo że wyjdą stamtąd młodzi mężczyźni w wełnianych swetrach, a służący pociągną za nimi kije golfowe, albo też wyjdzie jakiś przemysłowiec, służący wyniesie wiklinowe fotele ze stołem a służące rozłożą obrus, wtedy przybiegną dzieci i zaczną się przymilać do papy, a potem przyjdzie pani z parasolką, powoli zdejmie rękawiczki i kiedy wszyscy się rozsiada, zacznie nalewać kawę... Ale całymi dniami nikt stamtąd nie wychodzi, nikt też nie wchodzi, a mimo to pokojówki sprzątają, codziennie zmieniają pościel w dziesięciu pokojach i ścierają kurze, a mimo to w kuchni są przygotowania jak na wesele, tyle różnych potraw i dań się przygotowuje, jak na wielkie przyjęcie, jakiego nigdy nie widziałem i o jakim nawet nie słyszałem, poza tymi ze sfer szlacheckich i z opowiadań obera w naszym hotelu „Złota Praga”, bo on pływał jako steward na luksusowym parowcu „Wilhelmina”, tym, co to zatonał, a ober akurat spóźnił się na rejs i podczas gdy on jechał pociągiem przez całą Hiszpanię aż do Gibraltaru z piękną Szwedką, która spóźniła się razem z nim, to ten parowiec akurat tonął... Więc ta opowieść o pierwszorzędnym przyjęciu na luksusowym parowcu „Wilhelmina” przypominała mi trochę to, co robiliśmy w tym zagubionym hotelu „Cichy Kącik”. I chociaż miałem powody do zadowolenia, to jednak często lękałem się, bo — powiedzmy — zagrabiłem ścieżkę i ustawiłem leżak z tyłu, aż za drzewami, ale ledwie zdążyłem się wyłożyć i wpatrzeć w ciągnące obłoki, a tutaj chmury płynęły zawsze, ledwie się zdrzemnałem, już rozlegał się gwizdek, jakby za mną stał nasz szef, i musiałem gnać jak najkrótszą drogą w galopie odwiązując fartuch. Przeskakiwałem przez płot, tak jak Zdeniek, i wpadałem do restauracji meldując się szefowi, który wciąż siedział w tym inwalidzkim wózku i zawsze coś go uwierało, przeważnie sfałdowany koc, który trzeba mu było wygładzić. W końcu musieliśmy przewiązać mu wokół brzucha pas, taki, co to mają strażacy, pas z karabinkiem — podobny miała dwójka dzieci pana Radimskiego, młynarza. T° dzieciaki bawiły się nad młynówką, a na cyplu leżał bernardyn, i kiedy Hary albo Wincek, tak się te dzieci nazywały, dogramoliły się do młynówki, wtedy, zanim zdążyło się pomyśleć, że mogą wpaść do wody, przychodził bernardyn, łapał za sprzączkę i odnosił Hary’ego albo Wincka dalej od tej niebezpiecznej młynówki. I my tak samo zahaczaliśmy za tę kłamrę i na krążku podciągaliśmy szefa do góry, tak żeby wózek mógł spod niego wyjechać, i pokazywaliśmy mu, co to mogło być, potem wygładzaliśmy koc albo nawet dodawaliśmy mu drugi i znów spuszczaaliśmy szefa do wózka. Był taki zabawny, gdy wisiał w powietrzu, cały pochylony do przodu, a ten jego gwizdek zwisający pionowo z szyi ukazywał kąt, pod jakim wisi szef... A potem dalej krążył po sali, pokoikach i pokojach i układał kwiaty. Ten nasz szef cholernie lubił babskie zajęcia, a w ogóle wszystkie pomieszczenia

restauracyjne, właściwie to były pokoje, wyglądały na mieszczańskie albo pokoje w małym pałacyku. Wszędzie były zasłony i asparagus, codziennie świeże cięte róże, tulipany i wszystko, czym rok obdarzył, i zawsze dużo ciętego asparagusa. A szef komponował z tego piękne bukiety i długo je poprawiał, podjeżdżał, coś tam zmieniał, cofał się i lustrował nie tylko kwiaty, ale w ogóle jak to wszystko harmonizuje z otoczeniem, i za każdym razem musiał położyć pod wazony inną serwetkę. Całe przedpołudnie zajmował się upiększaniem pokoi, a później zabierał się do przystrojenia stołów... Te były zazwyczaj tylko dwa, a nakrywało się najwyżej na dwanaście osób. I tak: myśmy ze Zdeńkiem w milczeniu kładli na stole wszystkie rodzaje talerzy, widelców i noży, a tymczasem szef w cichym zachwycie przystrajał kwiatami środek stołów i kontrolował, czy mamy zapas świeżo naciętych i zanurzonych w wodzie gałązek asparagusa i kwiatów, którymi w ostatniej chwili przyjdzie nam przyozdobić obrusy, tuż przed zajęciem miejsc przez gości.

A kiedy już szef zlikwidował — jak on to mawiał — klimat restauracyjny i wniósł do swego hotelu bieder-

meierowski wdzięk, odjeżdżał na wózku aż pod drzwi którymi będą wstępować nasi goście, i przez moment zatrzymywał się plecami do holu i pokoi, a twarzą do drzwi koncentrował się tak przez tę chwilę, potem raptownie odwróciwszy wózek jechał, przyglądając się wszystkiemu tak, jakby tu był obcy, jak gość, który zjawił się tu po raz pierwszy i z podziwem rozglądał się po holu, a później jeździł z pokoju do pokoju i ze znanstwem przypatrywał się wszystkim detalom, nawet upięciu zasłon. Wszystkie musieliśmy oświetlić, wszystkie żarówki musiały płonąć każdego wieczora po zakończeniu przygotowań, a szef był w takiej chwili piękny, jak gdyby zapomniał, że waży sto sześćdziesiąt kilogramów i że dlatego nie może chodzić, i teraz jakby napawał cudze oczy, a potem te oczy odrzucał i brał swoje, zacierał ręce i gwizdał, tym razem jakoś inaczej. Wiedziałem już, że za chwilę przybiegną dwaj kucharze, żeby zameldować w najdrobniejszych szczegółach, co jest z homarami i ostrygami, jak wyszło nadzienie a la Suvoroff i co jest z salpikoni. Trzeciego dnia mojego tutaj pobytu szef rozpedził się i wpakował się na szefa kuchni, bo stwierdził, że tamten dodał trochę kminku do medalionu cielęcego na pieczarkach... Później budziliśmy parobka, olbrzyma, który przez cały dzień spał i który zjadał wszystko, co zostało po nocnych przyjęciach, przeogromne porcje, całe półmiski sałatek. Czegośmy nie mogli zjeść ani my, ani pokojówki, to dojadał i dopijał resztki z butelek ten parobek, no i był potwornie silny. Więc ubierał się na noc w zielony fartuch i rąbał drewno na oświetlonym podwórzu, nic innego nie robił, tylko rąbał drewno melodyjnymi uderzeniami siekiery; to, co pod wieczór naciał, rąbał przez całą noc. A ja zorientowałem się, poza tym słyszałem dobrze, że rąbał zawsze, kiedy ktoś do nas przyjeżdżał, a do nas zajeżdżały wyłącznie auta, samochody dyplomatyczne, po kilka wozów, zawsze tylko późnym wieczorem albo nocą. I parobek rąbał pachnące drewno, i było go widać zewsząd, ze wszystkich okien, a nasze oświetlone podwórze i ułożone równo wokół drewno dawały poczucie bezpieczeństwa, wiadomo, dwumetrowe rąbiące drewno, facet z siekierą, który kiedyś o mało nie zabił złodzieja, a trzech zbił tak, że sam ich zawiózł na tacze na posterunek policji, parobek, co to jak któryś z samochodów złapał gumę, podnosił

przednią albo tylną ośkę i trzymał ją w rękach, dopóki koło nie zostało wymienione, parobek, którego prawdziwą rolą było jednak pokazowe rąbanie drewna na oświetlonym podwórzu, żeby go mogli widzieć nasi goście, tak jak to jest z wodospadem na Łabie: napełniają zbiornik i czekają, aż przewodnik przyprowadzi gości, a na umówiony sygnał unosi się zastawka na górze i publika rozkoszuje się widokiem wodospadu. Tak samo było z naszym parobkiem. Muszę jednak dokończyć portret naszego szefa. Kiedy, dajmy na to, oparty w ogrodzie o drzewo liczyłem banknoty, naraz rozlegał się gwizd, jakby ten nasz szef był jakimś wszechwidzącym bogiem. Albo ledwieśmy się ze Zdeńkiem uwalili na kopcach siana, tak że nikt nie mógł nas widzieć, a tu już od razu słychać gwizdek, jeden gwizd, niby na ostrzeżenie, żebyśmy pracowali i nie obijali się. Więc później kładliśmy się zawsze z grabiami, motyką czy widłami pod ręką, a jak zagwizdało, to szybko żeśmy wstawali i kopali, grabili, nosili na widłach przetrząśnięte siano. Ale wystarczyło tylko odłożyć widły, i znów rozlegał się ten gwizd. Tośmy się wzięli na sposób: kładliśmy się i na leżąc niby to grabili, gmerali widłami, jakby te narzędzia były na niewidzialnych sznurkach. I Zdeniek opowiadał mi, że podczas chłódów szef ma się jak ryba w wodzie, gorsza sprawa z upałami, wtedy prawie się roztapia, nie może jeździć wszędzie, gdzie by chciał, i wciąż musi być w pokoju z niską temperaturą, w takiej lodówce... ale i tak ciągle wie o wszystkim i wszystko widzi, nawet to, czego widzieć nie może, jakby na każdym drzewie i w każdym kącie, za każdą zasłoną, na każdej gałęzi miał szpicla... — To dziedziczne — rzekł mi Zdeniek, rozwalając się na leżaku — jego tatko miał gospodę gdzieś na Pogórzu Karkonoskim, tamten też ważył sto sześćdziesiąt kilo i kiedy robiło się ciepło, musiał SI? przeprowadzać do piwnicy, gdzie miał łóżko, i tam handlował piwem i gorzałką, bo inaczej ten letni gorąc rozpuściłby go jak masło, wiesz.

Podnieśliśmy się i poszliśmy na chybił trafił ścieżka którą jeszcze nigdy nie szedłem. Idąc myśleliśmy o tacie naszego szefa, jak to w wiejskiej gospodzie przeprowadzał się na lato do piwnicy, pocziwina, żeby nie skończyć jak masło, jak tam handlował piwem, jak spał... A dróżka zaprowadziła nas pod trzy srebrne świerki i ja stanąłem jak wryty. Zdeńka aż zatkało: złapał mnie za rękaw i wymamrotał: — Coś takiego... Przed nami stał maleńki domek, taka chatka z piernika, domek jakby żywcem przeniesiony z jakiegoś teatru. Doszliśmy, a przed nim była maleńka ławeczka i okienko tak malutkie jak do komórki w wiejskiej chałupie, a zamykane na klamkę drzwi jak piwniczne. Gdybyśmy tam chcieli wejść, to nawet ja musiałbym się pochylić, ale drzwi były zamknięte... Staliśmy więc i patrzyliśmy przez okienko dobre pięć minut, a potem spojrzeliśmy na siebie i chyba obleciał nas strach, bo czułem na rękach gęsią skórę... W tym domku wszystko urządzone było dokładnie tak jak w jednym pokoju naszego hotelu: identyczny maleńki stolik, krzeselka, wszystko jak dla dzieci, takie same zasłony, ten sam stolik pod kwiaty, a na każdym krzeselku siedziała lalka albo miś, na ścianach były dwie półeczki, a na nich, zupełnie jak w sklepie, pełno różnych dzieciennych zabawek, cała ściana zabawek, bębienki i skakanki, a wszystko starannie poukładane, jakby tuż przed nami ktoś tu robił porządki, specjalnie dla nas to wyrychtował, żebyśmy się wystraszyli albo rozczulili... Cała chatka z setką dzieciennych zabawek... Naraz rozległ się gwizd, nie ten ostrzegawczy, żebyśmy pracowali, a nie

leżeli, to był gwizd alarmowy, którym szef nas wzywa. Pogналиśmy więc skrótem przez łąkę i złani potem, jeden za drugim nożycami przeskoczyliśmy przez płot.

I tak oto każdy wieczór w hotelu „Cichy Kącik” wypełniony był aż po same brzegi oczekiwaniem. Nikt nie przychodził, nie podjeżdżało żadne auto, a mimo to cały hotel przypominał orkiestron, do którego wystarczy

wrzucić monetę, a on zacznie grać; był niczym orkiestra: dyrygent z uniesioną pałeczką, wszyscy muzycy przygotowani i skupieni, ale pałeczka wciąż nie podaje taktu... Nie wolno nam było wtedy ani usiąść, ani się wyciągnąć, tylko coś jeszcze poprawić albo stać przy pomocniku. Nawet parobek na oświetlonym podwórzu stał pochylony nad pniakiem, z siekierą w jednej ręce i polanem w drugiej, i też czekał na znak, żeby jego siekiera melodyjnie zagrała, a cały hotel wprawił się w ruch, tak jak to jest na strzelnicy — sprężyny nakręcone, ale nikt nie przychodzi. A wreszcie zjawiają się goście, ładują do wiatrówek śrut, celują do tarczy, i wtedy mechanizm tych wymalowanych na blasze, wyciętych i spojonych ze sobą obrazków zaczyna pracować, czy to teraz, czy jutro, identycznie jak i wczoraj, byle tylko ktoś trafił w czarną tarczę. Przypominało mi to też baśń o Śpiącej Królewnie, kiedy wszyscy zastygli w sytuacji, w jakiej ich zastało zaklęcie, a potem dotknięcie czarodziejskiej różdżki pozwoliło im dokończyć rozpoczęte albo rozpocząć nie zaczęte ruchy. Nagle z daleka odzywało się auto i siedzący w fotelu na kółkach przy oknie szef dawał znak chusteczką. Zdeniek wrzucał monetę do szafy grającej, a ona zaczynała wygrywać Skarby świata całego; ta katarynka czy też orkiestron był obłożony kołderkami i płatami filcu, tak że zdawało się, że gra w innym pomieszczeniu. Parobek machnął siekierą, wyglądał na zmęczonego, taki przygarbiony, jakby rąbał już od południa, a ja przerzuciłem serwetkę przez ramię i czekałem na naszego pierwszego gościa: kto to będzie? I wkroczył generał w generalskim płaszczu z czerwoną podszewką, taki to na pewno szyje sobie uniform w tej samej firmie co ja mój frak, tylko że generał był jakiś smutny. Za nim przyszedł jego szofer, przyniósł złotą szablę i położywszy ją n taborecie wyszedł. A generał przeszedł pokoiki, wszystko sobie obejrzał i zatarł ręce, potem stanął w rozkroku i założywszy ręce do tyłu patrzył na podwórze, na naszego parobka, który tam rąbał drzewo. Tymczasem Zdeniek przyniósł srebrną butelkę szampana, a ja podawałem na stół ostrygi i półmiski z krewetkami i homarami. Generał na nie zajrzał, rozsiadł się i Zdeniek otworzył szampana, Heinkel Trocken. Nalał szampankę, a generał rzekł: — Jesteście moimi gośćmi. — Zdeniek uklonił się, potem przyniósł dwa puchary i nalał do nich. Generał wstał, strzelił oficerkami i krzyknął: — Prosit! — I napił się, ale ledwie umoczył usta, myśmy swoje puchary wychylili do dna, a generał skrzywił się, „wzdrygnął i ze wstrętem splunął: — Tfu psiakrew, ja tego nie mogę pić! — A potem wziął ostrygę na talerzyk, odchylił głowę i jego chciwe usta wessały delikatne mięsko małża, skropione cytryną, i niby zjadł ze smakiem, ale zaraz wzdrygnął się i zatrząsł ze wstrętu, aż się popłakał. Potem sięgnął po puchar szampana i kiedy go dopił, zawołał: — Aaaaaa, ja tego wcale nie mogę pić! — I przechadzał się z pokoju do pokoju, a jak się zjawiał z powrotem, za każdym razem brał z przygotowanych półmisków a to kawałek krewetki, a to liść sałaty, a to salpikoni, a ja za każdym razem bałem się, bo generał ze wstrętem krzyczał i spluwał: — Tfu,

psiamać, tego się nie da jeść! — Zawsze jednak nadstawiał puchar, każąc sobie nalać, i zagadywał Zdeńka, który kłaniał się i opowiadał o Veuve Clicot i w ogóle o szampanie, ale że za najlepszy uważa to, co serwuje, znaczy się Heinkel Trocken. Zachęcony generał napił się, tyle że znów spluwał, wreszcie dopił i poszli popatrzeć na zewnątrz. Wszędzie ciemno, tylko na dworze oświetlony parobek i jego praca, i oświetlone ściany w całości pokryte sosnowymi klepkami. A szef jeździł niesłyszalnie, podjeżdżał, kłaniał się i znów odjeżdżał. Generał miał coraz lepszy humor, jakby wstręt do jedzenia i picia mu minął, a on nabrał apetytu. Później przeszedł na koniak i wypił całą butelkę armaniaku, a po każdym łyku krzywił się, kłął na czym świat stoi i pomstował, najpierw po czesku, później po niemiecku: „Diesen Schnaps kann mañ nicht trinken!” To samo było przy francuskich specjałach, po każdym kęsie zdawało się, że generał zwymiotuje, zarzekał się, że nie przełknie już ani kęsa i ani kropli, i naskoczył na obera, na mnie też: — Cóż mi tu dajecie? Chcecie mnie otruć, wy dranie, mojej śmierci chcecie... — Ale i tak wypił jeszcze butelkę armaniaku, Zdenek zasunął mu wykład, dlaczego najlepszy koniak nazywa się armagnac, nie cognac, że to jest brandy, bo koniak robi się wyłącznie w regionie, który się nazywa Cognac, i nawet jeśli jakiś lepszy koniak robi się choćby dwa kilometry od granic tego regionu, to już nie może nazywać cognac, tylko brandy. O trzeciej rano generał ogłosił, że już nie pociągnie, bo o drugiej zaserwowaliśmy mu jabłko i to go zabije, więc o trzeciej zjadł i wypił tego tyle że starczyłoby dla pięcioosobowego towarzystwa, a mimo to wciąż biadolił, że wszystko było do chrzanu, że pewnie ma raka, a w najlepszym wypadku wrzody żołądka że mu wysiadła wątroba i przyplątały się kamienie nerkowe. No i o trzeciej nad ranem był już nieźle wlany, wyjął pistolet służbowy i zestrzelił kielich stojący na oknie, okno też przestrzelił. Wtedy na gumowych kołach przyjechał cicho roześmiany szef z gratulacjami i życzeniem, żeby na szczęście szefa generał spróbował zestrzelić szlifowaną szklaną łezkę z weneckiego pająka, i powiedział, że ostatni wielki wyczyn widział właśnie tutaj: księżę Schwarzenberg podrzucił pięciokoronówkę i trafił w nią ze sztucera, tuż nad samym stołem... Szef odjechał, wziął wskaźnik i pokazał otwór nad kominkiem, którym przeleciała kulka odbita rykoszetem od srebrnej pięciokoronówki. Ale generał specjalizował się w kieliszkach, strzelał i nikt się tym nie przejmował, a kiedy przestrzelił okno i kula gwizdnęła nad pochylonym parobkiem, który ciągle rąbał drewno, ten tylko podłubał sobie w uchu i znów wziął się do swojej roboty... Potem generał zamówił kawę po turecku i znów przykładał rękę do serca twierdząc, że absolutnie nie może pić tej kawy, po czym zamówił jeszcze jedną i oświadczył, że jakby tak była pieczona pularda, to miałby na nią ochotę przed śmiercią... Na co szef uklonił się, zagwizdał i za chwilę przybiegł kucharz, wyświeżony, w białym czepcu, i przyniósł całą brytfanę. Zobaczywszy ptaka, generał zdjął kamizelę, rozpiął koszulę i znowu jął smętnie labiedzić, że drobiu mu nie wolno, po czym uchwycił kurczaka i rozerwał go, jadł i po każdym kęsie biadolił nad stanem swojego zdrowia i że nie wolno mu się przejadać, i że czegoś tak wstrętnego nie jadł, a Zdeniek powiedział, że w Hiszpanii do kurczaków podaje się szampana i że teraz przydałby się La Gorduna. Generał przytaknął, a wciąż popijał i zjadał, i bez przerwy pomstował, i krzywił się przy każdym kęsie i łyku, że niby „Diese Poularde auch diesen Champagner kann mañ nicht trinken und essen”... A o czwartej,

kiedy się już nabiadolił i napsioczył, wszystko jakby z niego opadło. Poprosił o rachunek, ober mu go przyniósł, wszystko miał już spisane, i podał mu rachunek na talerzyku wyścielonym serwetką., z tym, że musiał go generałowi przeczytać, znaczy się to, co mu się rzeczywiście podało... I Zdeniek, pozycja za pozycją, powiedział mu to, a generał pojaśniał i jaśniał coraz bardziej, aż wreszcie roześmiał się, zarechotał uradowany, był przy tym całkiem trzeźwy i zdrowy, kaszel mu przeszedł, a on podniósł się sprężysto, chwilę mocował się z rękawami munduru, i wyprzystojniały, ze skrzącymi się oczami kazał jeszcze zrobić paczuszkę dla szofera, a potem zapłacił szefowi tysiackoronówkami, zaokrąglając z zasady do tysiąca koron, taki tu chyba był w ogóle zwyczaj, a później dołożył jeszcze tysiąc koron za strzelaninę, postrzelany sufit i okna, i spytał szefa: — Wystarczy? — Szef skinął głową, że tak. Ja dostałem trzy setki tryngla, a generał zarzucił sobie płaszcz z czerwoną podszewką na ramiona, przypiął złotą szablę, nałożył monokl i wyszedł. Brzęczały za nim jeździeckie ostrogi, a on idąc potrafił butem odkopywać szablę tak zręcznie, żeby się o nią nie potknąć i nie wyłożyć na ziemię... Na drugi dzień generał przyjechał znowu, z tym, że nie sam, ale z pięknymi panienkami i jakimś grubym poetą. Tym razem strzelaniny nie było, tylko kłócili się potwornie na tematy literackie, o jakieś nurty w poezji. Skakali sobie do oczu tak, aż myślałem, że generał zastrzelił poetę, ale później uspokoili się, żeby za chwilę sprzeczać się o jakąś pisarkę, o której obaj wciąż powtarzali, że vagina myli się jej z kałamarzem i kto tylko zechce, korzysta z tego, żeby sobie zamoczyć. A potem przez prawie dwie godziny obgadywali pewnego pisarza. Generał utrzymywał, że gdyby ten facet traktował swe teksty tak samo, jak traktuje obce vaginy, to „wyszłoby to na dobre i temu pisarzowi, i czeskiej literaturze. A poeta twierdził coś odwrotnego, że ten pisarz ma klasę i można powiedzieć, że pierwszym, który tworzył po Bogu najwięcej, był Szekspir, ale zaraz po Szekspirze jest ten nasz poeta, o którym właśnie rozmawiali. I to było tak cudne, że jak tylko przyjechali, szef musiał posłać po muzykantów, i ci grali im na okrągło, a oni pili na umór razem z panienkami. Generał, mało że zlorzeczył przy każdym łyku i kęsie jadła, to jeszcze kopał jednego za drugim. Ilekroć zapalił nowego, kaszłał długo i spoglądając na papierosa, krzychał: — A cóż to za świństwo dają do tych egipskich? — Ale mimo to ćmił tak, że w półmroku widać było wyraźnie żarzący się koniuszek... Muzykanci grali i pili, a dla tych dwóch gości charakterystyczne było jeszcze to, że wciąż siedziały im na kolanach panienki i co chwila szli z nimi na górę do pokoju. Wracali po kwadransie zanosząc się ze śmiechu, tylko generał idąc po schodach za każdym razem trzymał rękę między udami kroczącej obok panienki i biadolił: — Tak, tak, nie dla mnie już miłość; a zresztą co to za panienki? — Szedł jednak i po kwadransie wracał, i widziałem, jak ta panienka jest rozanielona i zakochana, i że z nią było tak samo jak wczoraj z tymi dwoma armaniakami i butelkami szampana Heinkel Trocken i El Corduba, a później znów dyskutowali o śmierci poetyzmu i o nowym kierunku w surrealizmie, który wkracza w drugą fazę, i o sztuce zaangażowanej i sztuce czystej, i wciąż wrzeszczeli na siebie, a tu już minęła północ, ale panienkom wciąż było mało szampana i jedzenia, jakby im to jedzenie wpychał, a potem wyjmował, taki miały spust... Muzykanci powiedzieli, że to już koniec, muszą iść do domu, że już nie będą grać, a wtedy poeta wziął nożyczki i odciął złote odznaczenie z munduru generała i rzucił je muzykantom, no

i ci grali dalej, to byli jacyś Cyganie albo Węgrzy, a generał znów poszedł do pokoju z jedną panienką i na schodach oczywiście mówił, że jako mężczyzna jest ka-put, a kiedy po kwadransie wrócił, to poeta zmienił go z tą pierwszą panienką. Kapela zaczęła się zbierać, chciała iść do domu, więc poeta wziął nożyczki, odciął kolejne dwa odznaczenia i rzucił je muzykantom na tackę, a generał złapał nożyczki, odciął pozostałe ordery i dorzucił je do tamtych, a wszystko to dla tych pięknych pańienek. Myśmy to skomentowali jako największy gest, jakiegośmy jeszcze w życiu nie widzieli; Zdeniek mi szepnął, że to są najwyższe odznaczenia angielskie, francuskie i rosyjskie, jeszcze z pierwszej wojny światowej... Generał zdjął mundur i zaczął tańczyć, ale zaraz skłął panienkę, że z nim trzeba powoli, bo płuca ma do kitu, i poprosił Cyganów, żeby zagrali czardasza, więc Cyganie zaczęli grać i generał, kiedy się już wykaszlał i nacharczał, zaczął tańczyć, tak że ta panienka musiała przyspieszyć. Generał zdjął z niej ręce i jedną podniósł, a drugą niczym kogut powłóczył po ziemi nabierając prędkości, i jakby robił się młodszy. Panienka już za nim nie nadażała, ale generał nie zwalniał całując ją przy tym w szyję, a muzykanci obstawiali tańczących i w ich oczach było widać podziw i zrozumienie, -widać było, że generał tańczy za nich, utrzymywali więc z wojskowym kontaktem przez muzykę, przyspieszając albo zwalniając podług tańca i sił generała, a ten ciągle górował nad partnerką, która głośno oddychała, rumieńce jej były, a na górze przy balustradzie stał gruby poeta z panienką, z którą był w pokoju; teraz wziął dziewczynę na ręce, właśnie wyszły pierwsze promienie, a poeta zniósł piękną panienkę do tańczących czardasza i przez otwarte drzwi wyszedł na zewnątrz, i podtykał wschodzącemu słońcu tę półnagą, pijaną panienkę, która miała rozerwaną bluzeczkę... Rankiem, kiedy poranne pociągi woziły już robotników do pracy, podjechało auto generała, długa, odkryta maszyna, sześciuosobowa hispano-suiza: na przedzie ochronna szyba, a w tyle skórzana tapicerka, i towarzystwo zapłaciło rachunek, poeta płacił całą książką, honorarium za dziesięć tysięcy egzemplarzy, podobnie jak Życie Jezusa Chrystusa Jodła, ale zapłacił z przyjemnością i rzekł, że to drobiazg, że zaraz weźmie zaliczkę i pojedzie do Paryża, i napisze nową książkę, jeszcze lepszą niż ta, którą właśnie przepił...

Zapakowali generała w białej koszuli: miał podwinięte rękawy, koszulę rozchełstana i spał, siedząc w tyle między tymi pańienkami; w przedzie poeta z czerwoną różą wetkniętą w butonierkę, a przed nim stała oparta łokciem o przednią szybę ta piękna tancerka z wyciągniętą szablą, ubrana w rozpięty generalski mundur z odciętymi odznaczeniami, a na baranicy rozpuszczonych włosów miała generalską czapkę, wyprostowana, z olbrzymimi, obnażonymi piersiami. Zdeniek powiedział, że wygląda jak posąg Marsylianki. Całe bractwo zajechało pod stację, akurat do pociągu wsiadali robotnicy, wóz generała jechał wzdłuż peronu w kierunku Pragi, a ta dziewczyna z piersiami na wierzchu machała szablą wołając: — Na Pragę! — i tak zajechali do Pragi. To musiało być piękne, doszły nas wieści, że właśnie w ten sposób generał z poetą i pańienkami, a zwłaszcza z tą w rozerwanej bluzce, ze sterczącymi piersiami i wyciągniętą szablą, przejechali przez Przykopy i aleję Narodową... a policjanci salutowali im, generał zaś z rękoma na podłodze spał, siedząc z tyłu hispano-suizy...

Tutaj w hotelu „Cichy Kącik” dowiedziałem się też, kto wymyślił, że praca uszlachetnia człowieka — to nie był nikt inny, jak ci, którzy tu całą noc pili i jedli z pięknymi panienkami na kolanach, ci bogaci, co to potrafili być szczęśliwi jak małe dzieci, a ja myślałem, że bogaci ludzie są przekleci czy co, że chatki, izdebki, żur i kartofle dają ludziom uczucie szczęścia i dostatku, że bogactwo jest jakimś przekleństwem... Ale zdaje mi się, że to pieprzenie o tym, jakie to szczęście żyć w chacie, to wymyślili ci nasi goście, którym obojętne było, ile przepuścili przez noc, którzy rozrzucali banknoty na wszystkie strony świata i to sprawiało im przyjemność... Nigdy nie widziałem szczęśliwszych mężczyzn od tych bogatych przemysłowców i fabrykantów... Jak już mówiłem, potrafili figlować i cieszyć się życiem jak małe brzdące, robili sobie nawet kawały i podkładali jeden drugiemu świnie, tyle na wszystko mieli czasu... ale zawsze w trakcie tych igraszek jeden drugiego pytał, czy nie potrzebowaliby wagonu węgierskich wieprzków albo dwóch wagonów — a może by wziął cały pociąg? A z kolei ten drugi, patrząc się na naszego parobka rąbiącego drewno, bo oni, ci bogacze, ciągle mieli wrażenie, że ten parobek to najszczęśliwszy człowiek na świecie, więc rozmarzeni przyglądali się tej pracy, którą pochwalali, ale jej nigdy nie wykonywali, a gdyby przyszło im to robić, wtedy byliby nieszczęśliwi i już byłoby po ich szczęściu, więc ten drugi naraz zapytał: — Zdaje się, że w Hamburgu stoi mój statek z krowimi skórąmi z Konga, masz jakiś pomysł? — Tamten, jakby nie chodziło o statek, tylko o jedną krowinę: — A ile bym miał z tego procent? — Na co pierwszy, że pięć, a drugi powiedział: — Osiem, jest ryzyko, że tam będą robaki, kiepsko to te czarnuchy solą... — A ten pierwszy nastawił dłoń i rzekł: — Siedem... i chwilę patrzyli jeden drugiemu w oczy, żeby potem uściskać sobie ręce i wrócić do pańienek, i znowu kłaść te swoje ręce nagim kobietom na piersiach i na zmierzwionych kopczykach włosków na brzuchu, i całować je pełnymi ustami, tak jakby jedli ostrygi lub wysysali gotowane ślimaki, ale od tego momentu, kiedy kupili albo sprzedali wagony prosiąt i statki ze skórą, z miejsca odmłodzieli. Niektórzy z naszych gości kupowali i sprzedawali tu całe ulice kamienic; sprzedany też został nawet zamek i dwa pałace, kupiono i sprzedano fabrykę, generalni przedstawiciele uzgodnili u nas dostawę kopert dla całej Europy, dogadano się tutaj w sprawie pożyczki pół miliona koron komuś na Bałkanach, sprzedano dwa wagony amunicji, załatwiona została dostawa uzbrojenia dla iluś tam arabskich pułków... I to wszystko na jedno kopyto: z szampanem, pańienkami, francuskim koniakiem i widokiem z okna na oświetlonego z góry parobka, który rąbał drewno... I te spacerki w parku podczas księżycowej nocy, zabawy w berka i ciuciubabkę, co kończyło się w kopcach siana, które nasz szef miał w ogrodzie też jako dekorację, podobnie jak tego rąbiącego parobka... Wracali później o świecie, włosy i ubrania powalane i pełne zeschniętych źdźbeł trawy, wszyscy uszczęśliwieni, taki mieli ubaw... I rozdawali muzykantom i mnie stukoronówki, pełne garście setek, patrząc przy tym znacząco, że niby myśmy nic nie „widzieli i nic nie słyszeli, chociaż widzieliśmy i słyszeliśmy wszystko, a szef kłaniał się z wózka na kółkach, którym przejeżdżał cicho na gumowych obręczach z pokoju do pokoju, pilnując, żeby wszystko było w porządku, żebyśmy spełnili każde życzenie, bo nasz szef pamiętał o wszystkim, nawet jak ktoś nad ranem zażyczył sobie puchar świeżego mleka albo zimnej śmietany, to tutaj było wszystko; w

wykafelkowanych toaletach mieliśmy nawet takie urządzenia do wymiotowania: rzygaczka jednoosobowa, z solidnymi chromowanymi uchwytami, i rzygaczka zespołowa, podobna do długiego końskiego żłobu, nad którym była poręcz, tak że goście trzymając się tego relingu wymiotowali zbiorowo, podtrzymując się nawzajem na duchu, natomiast ja, kiedy wymiotowałem, to wstydziłem się, chociaż nikt nie widział, że rzygam, ale bogaci ludzie zwracali tak, jakby to należało do tego bankietu i do dobrego tonu. Kiedy się wyrzygali, wracali ze łzami w oczach i za chwilę jedli i pili z jeszcze większym smakiem, jak starzy Słowianie... A taki Zdeniek, ten był oberem z prawdziwego zdarzenia. Nauki pobierał w Pradze, w „Czerwonym Orle”, gdzie szkolił go stary ober. Tamten ober był osobistym kelnerem w szlacheckim kasynie, do którego chadzał sam arcyksiążę d’Este. Ten Zdeniek obsługiwał jakby w twórczym zamroczeniu, a wszyscy goście zawsze mu stawiali. Przy każdym stole miał kieliszek, z którego tylko upijał, ale zawsze trącił się ze wszystkimi na zdrowie, a poruszał się, nosił potrawy jakby we śnie, takim tanecznym krokiem, że gdyby mu ktoś wszedł w drogę, byłby z tego okropny karambol. Cokolwiek robił, jego ciało poruszało się harmonijnie i elegancko i nigdy nie siadał, zawsze stał i zawsze wiedział, kto i czego sobie życzy, i już z góry serwował to, na co gość miał właśnie ochotę. Kiedyś wybrałem się ze Zdenkiem na lumpki. Zdeniek miał taki hrabiowski zwyczaj, że przepuszczał prawie wszystko, co zarobił, kiedy indziej zaś używał sobie tak jak nasi goście u niego i jeszcze zostawało mu tyle pieniędzy, że kiedyśmy wracali nad ranem taksówką, zbudził knajpiarza w tej naj-podlejszej knajpie we wsi i kazał mu zbudzić muzykantów, i ci musieli mu grać, a Zdeniek chodził od domu do domu i zapraszał śpiących, żeby poszli pić za jego zdrowie, żeby wszyscy przyszli do gospody. I grała tam później muzyka, i tańczyło się do świtu, do białego rana, a Zdeniek, kiedy wypili już, co było w knajpie do wypicia, zbudził właściciela sklepu kolonialno-bławatnego i kupił cały kosz butelek, i obdarowywał stare babiny i dziadków, a fundował nie tylko to, co wypili w knajpie, ale też te likiery i wszystko, co rozdał, i śmiał się przy tym, i był wniebowzięty, że splukał się do czysta. A potem, to był cały on, przetrząsał kieszenie, a jako że nie miał zapalek, to pożyczył dwadzieścia halerzy, kupił zapalki i zapalił papierosa, on, który lubił zrolowaną dziesięciokoronówkę przypalić od knajpianego pieca, a od niej cygaro... Wreszcie odjeżdżaliśmy, przygrywała nam muzyka, a jeżeli był na to czas, Zdeniek wykupywał u ogrodnika wszystkie kwiaty i rozrzucał goździki, róże i chryzantemy, kapela odprowadzała nas aż za wieś, a obwieszony kwiatami automobil wiozł nas do hotelu „Cichy Kącik”, bo tego dnia, a -właściwie tej nocy mieliśmy wychodne.

Raz mieliśmy zapowiedzianego gościa i szef dwoił się i troił, dziesięć, dwadzieścia razy przejechał w fotelu na kółkach swój lokal, ale wciąż wszystko było nie tak, jak sobie życzył... Była to wizyta trzech osób, z tym, że przyjechały tylko dwie, chociaż nakryte było dla trojga, i w ogóle całą noc wszystko podawaliśmy też dla trzeciej osoby, jak gdyby lada chwila miała przyjść, jakby to był jakiś niewidzialny gość, który tu siedział, chodził, przechadzał się w ogrodzie, huśtał się na huśtawce itepe... Najprzód piękna limuzyna przywiozła damę, z którą szofer rozmawiał po francusku, Zdeniek też. Później przyjechała następna limuzyna, koło dziewiątej wieczorem, a wysiadł z niej sam

prezydent, poznałem go od razu, szef zwracał się do niego „Wasza Ekscelencjo”. I prezydent jadł kolację z tą piękną Francuzką, która przyleciała do Pragi samolotem, a pan prezydent cały jakby się zmienił, odmłodził, śmiał się, był rozmowny, pił szampana, potem koniak... Kiedy się już rozkręcili, przesiedli się do pokoiku z biedermeierowskimi meblami i kwiatami, pan prezydent usadził tę piękność przy sobie i całował ją po rękach, a później pocałował ją w ramię, które było nagie, bo ta piękna kobieta była w takiej wieczorowej sukni. Rozmawiali o literaturze i ni stąd, ni zowąd zaczęli się śmiać, pan prezydent szeptał coś do uszka tej pani, a ona zanosila się śmiechem, pan prezydent też się śmiał klepiąc się po kolanach i osobiście nalewał szampana. I znowu wyciągnęli ku sobie kielichy, i trzymając je za nóżki tręcili się wesoło, i patrzyli sobie w oczy, a potem pili ze smakiem. Później ta dama leciutko przyparła pana prezydenta do oparcia fotela i sama go całowała, długo: to był bardzo długi pocałunek. Pan prezydent zamknął oczy, a ona głaskała go po biodrach, on ja też; widziałem, jak jego brylantowy pierścień skrzył się na udach tej ślicznotki. Naraz jakby się przebudzili i teraz on pochylił się nad nią patrząc jej w oczy, a potem całując, i na chwilę oboje zastygli w objęciu. Kiedy się ocknęli, pan prezydent westchnął głęboko, słodko, a ta dama też westchnęła, aż zawirował jej kosmyk włosów, który zsunął się z fryzury na czoło. Wstali trzymając się za ręce jak dzieci, kiedy chcą tańczyć „kółko graniaste”, i wciąż trzymając się za ręce ruszyli do drzwi i wybiegli. I ciągle trzymając się za ręce hopsali i baraszkowali na ścieżkach, skąd dolatywał perlisty śmiech damy i wesoły rechot pana prezydenta. A ja ani rusz nie potrafiłem sobie tego pogodzić z wizerunkiem pana prezydenta na znaczkach pocztowych i w miejscach publicznych, zawsze myślałem, że pan prezydent takich rzeczy nie robi, że mu to nie przystoi, a przecież on był taki sam jak inni bogaci ludzie, jak ja, jak Zdeniek. Teraz biegł przez zalany światłem księżycy ogród, a tego dnia zwieźliśmy tam kopki wysuszonego siana, i widziałem, jak biała suknia tej ślicznotki i biały gors przy fraku pana prezydenta i jego białe niczym naczynia z porcelany mankiety migają i fruują w ciemności to tu, to tam, od kopki siana do kopki, jak pan prezydent dogonił tę suknię, chwycił ją i delikatnie uniósł, widziałem jego mankiety, jak podnoszą tę biel i niosą ją, jak ją obejmują, jak te mankiety podbierają białą suknię, jak gdyby właśnie wyłowiły ją z rzeki, albo jak matka niosąca dziecko w białej koszulce do łódeczka, tak pan prezydent niósł ją w głąb naszego ogrodu pod stuletnie drzewa, żeby potem złożyć ją na kopce siana. Ale ta suknia wymknęła mu się i odbiegła, a pan prezydent za nią i na kopkę siana wpadli oboje równocześnie, tylko że biała suknia podniosła się i znowu rzuciła się do ucieczki, aż wreszcie padła na którąś z kopek, a pan prezydent na nią. Widziałem jego mankiety, a potem zobaczyłem, że suknia zmniejsza się, że białe mankiety podgarniają tę suknię, zagarniają ją, tak jak my zagarnialiśmy kwiaty maku, i raptem zrobiło się w ogrodzie hotelu „Cichy Kącik” cicho... Przestałem patrzeć, podobnie jak i szef, który opuścił zasłonki; Zdeniek wgapił się w ziemię, a pokojówka stojąca na schodach w czarnej sukience, tak że „widoczny był tylko jej biały fartuszek i falbanki, białe jak przepaska na jej gęstych włosach, też wgapiła się w ziemię. Wszyscy nie chcieliśmy patrzeć, ale jednak byliśmy podnieceni, jakbyśmy leżeli tam, na tej wygniecionej i zmierzwionej kopce siana z tą piękną damą, która dla tej sceny na sianie przyleciała aeroplanem aż z Paryża, jakby to wszystko

przytrafiło się nam... a przede wszystkim dlatego, że byliśmy jedynymi świadkami tych miłosnych godów, że właśnie do nas uśmiechnął się los, który za to nie chce niczego, bylebyśmy tylko jak ksiądz zachowali tajemnicę spowiedzi. Po północy szef posłał mnie do dziecinnego domku, żebym tam zaniósł kryształowy dzbanek z zimną śmietaną, bochen świeżego chleba i zawiniętą w liście winorośli grudkę masła. Niosąc koszyk trząłem się cały, a kiedy przechodziłem obok kopek siana, które były rozwleczone na amen, tylko jedna wyglądała jak posłanie, pokłoniłem się temu sianu i nie powstrzymałem się, żeby nie podnieść jego garści i powąchać. Później skręciłem drózką w stronę trzech srebrzystych świerków i ujrzałem rozświetlone okienko, a kiedy podszedłem bliżej, zobaczyłem, że w tym dziecinnym domku — tam gdzie wiszą bębenki i skakanki, misie i lalki — na maciupkim krzeselku siedzi w białej koszuli pan prezydent, a naprzeciwko, na identycznym małym krzeselku, ta Francuzka. I tak para kochanków siedziała na wprost siebie, patrząc sobie w oczy, z rękami założonymi na stoliku, a zwykły kaganek ze świeczką oświetlał ten domek... Pan prezydent podniósł się i zasłonił okienko, i musiał się zgiąć, żeby wyjść przed domek, gdzie podałem mu koszyk, taki duży był ten nasz pan prezydent, musiał się zgiąć, a ja stałem i wciąż byłem taki malutki. Podałem mu koszyk, a on szepnął: — Dziękuję ci, chłopcze, dziękuję...

— I biała koszula cofnęła się; miał rozwiązaną białą muszkę, a o frak potknąłem się w drodze powrotnej... Świtało, a kiedy weszło słońce, z dziecinnego domku wyszedł pan prezydent i ta dama w samej halce. Ciągnęła za sobą zmiętą suknię, a pan prezydent niósł kaganek, w którym płonęła świeczka, taka kropka w porównaniu ze słońcem... Pan prezydent pochylił się, złapał za rękaw frak i pociągnął za sobą, cały powalany, upstrzony żdźbłami trawy i siana... i szli tak obok siebie, uśmiechając się błogo... Przyglądałem się im i naraz zrozumiałem, że być kelnerem to nie w kij dmuchał; że są kelnerzy i kelnerzy, ale ja jestem kelnerem, który dyskretnie obsługiwał prezydenta, i że muszę to docenić, tak samo jak całe życie żył z tego ów słynny kelner, znajomy Zdeńka, który w szlacheckim kasynie obsługiwał arcyksięcia Ferdynanda d'Este...

Później pan prezydent odjechał jednym autem, ta dama drugim, trzecim zaś nikt nie odjechał; ten trzeci to był niewidzialny gość, dla którego zamówiono to przyjęcie, dla którego nakryliśmy, dla którego szef też policzył za konsumpcję i pokój, w którym ten trzeci nie spał.

Przyszły lipcowe upały i szef nie jeździł już z pokoju do pokoju i sali restauracyjnej, tylko był w swoim pokoju, w takiej lodówce, gdzie nie mogło być więcej niż dwadzieścia stopni ciepła, ale i tak, chociaż się nie pokazywał, chociaż nie jeździł alejkami parku, i tak jakby nas widział i był wszechwładny. Rządził i wydawał polecenia i zakazy gwizdkiem, a mnie się wydawało, że tym gwizdkiem mówi więcej, niż gdyby się odezwał. Mieszkali u nas podówczas czterej obcokrajowcy, aż gdzieś z Boliwii. Przywieźli ze sobą tajemniczy kuferek, którego pilnowali jak oka w głowie, nawet z nim spać chodzili. Wszyscy nosili czarne ubrania, czarne kapelusze, mieli czarne opadające wąsy, i rękawiczki też mieli czarne, a ten kuferek, co go pilnowali, też był czarny i tak jak oni podobny do trumienki. Diabli wzięli bogate przyjęcia i hulanki naszych nocnych gości. Musieli jednak dobrze zapłacić za to, że ich szef przyjął. To była jego specjalność i w ogóle tego lokalu, że jak już ktoś u nas

zamieszkał, to za wodziankę, wrzątek, placki ziemniaczane i kubek kwaśnego mleka płacił tak samo, jakby jadł ostrygi i homary i popijał je Heinkel Trocken. Podobnie z zakwaterowaniem — choćby zdrzemnął się do rana na leżance, musiał zapłacić jak za apartament na górze, i to należało do reputacji naszej firmy — hotelu „Cichy Kącik”. A ja nic, tylko się chciałem dowiedzieć, co mają w tym kufrze, aż wreszcie, kiedy wrócił szef tego czarnego towarzystwa — był to Żyd, pan Salamon — dowiedziałem się od Zdeńka, że ów pan Salamon ma kontakty z Pragę, z samym arcybiskupem, i że dyplomatycznymi kanałami prosi tamtego, żeby poświęcił złota figurkę Bambino di Praga, Praskiego Dzieciątka, które w Ameryce Południowej jest niesamowicie popularne, do tego stopnia, że miliony Indian noszą to Dzieciątko na szyi na łańcuszku, i że krąży tam piękna legenda o tym, że Praga jest najpiękniejszym miastem na świecie, że Dzieciątko w niej chodziło do szkoły, i dlatego właśnie chcą, żeby arcybiskup praski osobiście poświęcił Dzieciątko, które waży sześć kilogramów i jest z czystego złota. Od tej chwili nie żyłem niczym innym, jak tylko tym uroczystym poświęceniem. Ale to nie była taka prosta sprawa, drugiego dnia przyjechała praska policja i prefekt osobiście przekazał informacje Boliwijczykom, że praski półświatek wie już o Dzieciątku i że zjawiała się nawet jakaś grupa z Polski, która chce Bambino ukraść. Radzili więc i wreszcie uradzili, że najlepiej będzie do ostatniej chwili ukryć prawdziwe Dzieciątko, a na koszt Republiki Boliwijskiej zrobić jeszcze jedno Dzieciątko z pozłacanego stopu i to pozłacane Dzieciątko wozić do ostatniej chwili ze sobą, bo gdyby doszło do rabunku, lepiej będzie, jeśli ukradną lub zrabują Dzieciątko fałszywe, a nie prawdziwe. I zaraz drugiego dnia przywieźli identyczny czarny kuferek, a kiedy otworzyli go, to było coś tak pięknego, że przyjechał nawet szef, wychynął ze swojego chłodzonego pokoju, żeby pokłonić się Dzieciątku. Pan Salamon pertraktował potem z kurią biskupią, ale arcybiskup nie chciał poświęcić tego Bambino, bo jedyne było w Pradze, a tak byłyby dwa. Wszystkiego dowiedziałem się od Zdeńka, bo on znał hiszpański i niemiecki. Zdeniek był strasznie zdenerwowany, pierwszy raz widziałem Zdeńka tak wyprowadzonego z równowagi... Pan Salamon wrócił dopiero trzeciego dnia. Stał w aucie i już od stacji widać było, że wiezie dobre nowiny, śmiał się i wymachiwał rękami. Natychmiast wszyscy zasiedli wkoło, a pan Salamon poinformował, że dostał dobrą radę, a mianowicie, że arcybiskup lubi się fotografować, więc zaproponował, żeby całą ceremonię filmować jako dodatek do kroniki filmowej Gau-monta i dzięki temu ceremonia będzie na całym świecie, wszędzie gdzie jest kino, wszędzie będzie nie tylko arcybiskup, ale i to Dzieciątko, i katedra Świętego Wita, a w ten sposób Kościół, jak słusznie zauważył pan Salamon, zyska na popularności.

Całą noc poprzedzającą dzień uroczystego poświęcenia trwały narady. Wreszcie Zdeniek i ja otrzymaliśmy od policji zadanie: my obaj powieziemy to prawdziwe Dzieciątko, a w trzech autach będą siedzieć ci Boliwijczycy z prefektem policji we frakach, i oni powiozą imitację Bambino di Praga, no a ja ze Zdeńkiem i trójką detektywów przebranych za przemysłowców pojedziemy dyskretnie na samym końcu. Wesoła to była jazda, ja trzymałem, zgodnie z życzeniem szefa boliwijskiej grupy katolickiej, to prawdziwe Dzieciątko na kolanach. Wyszliśmy z hotelu „Cichy Kącik”. Ci detektywi to byli udani faceci, kiedy skarbiec i klejnoty koronacyjne zostały otwarte i

udostępnione publiczności, to oni przebrani za diakonów chodzili wokół bocznego ołtarza udając, że niby się modlą, przy tym niczym Al Capone mieli na szelkach za pazuchą rewolwery, a kiedy była przerwa, pozwolili się dwa razy sfotografować z tymi klejnotami jako prałaci. Śmiali się, ilekroć sobie to przypominali, a ja podczas jazdy musiałem pokazać im to Bambino di Praga, a w końcu zgodziliśmy się zatrzymać i pod murem Zdeniek sfotografował nasza grupkę z Bambino di Praga aparatem tych tajniaków przebranych za przemysłowców. Zanim dojechaliśmy na miejsce, opowiedzieli nam, jak to jest na państwowych pogrzebach z udziałem rządu, że ich zadaniem jest pilnować, żeby ktoś niepowołany się tam nie przedostał i nie ukrył w wieńcach bomby, i że mają takie szpikulce, którymi najpierw wszystką zieleń i tę kwietną pompę przekłuwają, że wtedy też pozują do fotografii. Pokazali nam zdjęcia, na których klęczą koło jakiegoś katafalku oparci o szpikulce służące do zbadania, czy wieńce nie mają w sobie schowanej bomby albo chociaż bombki. I że dzisiaj odgrywają przemysłowców we frakach i będą klęczeć na kolanach, a jednocześnie z trzech stron obserwować tę całą imprezę, żeby nic się Bambino di Praga nie przytrafiło. Wreszcie przejechaliśmy przez Pragę i dotarliśmy na zamek, a tam czekali na nas Boliwijczycy, pan Salamon odebrał kuferek i poniósł go przez katedrę. Wszystko było w pełnym blasku, zupełnie jak na ślubie: grzmiały organy, a prałaci z insygniami kłaniali się Dzieciątku niesionemu przez pana Salamona, terkotała filmująca wszystko kamera. A potem nastąpiła ceremonia; w zasadzie była to taka uroczysta suma. Najbardziej pobożnie klęczał pan Salamon, a my na kolanach powoli zbliżaliśmy się do ołtarza, wszystko ociekało od kwiatów i złota, chór śpiewał uroczystą mszę, a jej zwieńczeniem, na znak kamerzysty, było poświęcenie Bambino di Praga. I zwykły przedmiot stał się naraz święty, dzięki arcybiskupim święceniom nabrał nadprzyrodzonej mocy, uświęconego miłosierdzia. Po skończonej mszy arcybiskup poszedł do zakrystii, a za nim w towarzystwie wikariusza kapituły pan Salamon. Wychodząc z zakrystii wsuwał pugilares do marynarki; na pewno w imieniu rządu boliwijskiego ofiarował nielichy czek na konserwację kościoła, a może po prostu jest jakaś taryfa za poświęcenie. Zobaczyłem też później pana ambasadora Republiki Boliwijskiej niosącego Bambino di Praga przez katedrę, cały czas przy akompaniamencie organów i chóru, a potem podjechały auta i w jednym złożono Bambino di Praga, z tym, że my nie wieźliśmy już niczego, i wszyscy, pan ambasador też, cała świta pojechała do hotelu „Steiner”, a myśmy pojechali do domu sami, żeby przygotować wszystko na nocne przyjęcie pożegnalne. Boliwijczycy przyjechali o dziesiątej i u nas wreszcie mogli sobie odsapnąć, zaczęli pić szampana i koniaki, zajadać ostrygi i kurczaki, a przed północą zajechały trzy samochody z tancerkami z operetki i dopiero tej nocy narobiliśmy się jak jeszcze nigdy, tylu ludzi jeszcze u nas nie było. A prefekt policji, który dobrze znał wszystkie tutejsze zakamarki, postawił fałszywe Praskie Dzieciątko na kominku męskiego salonu, a to prawdziwe po kryjomu przeniósł do dziecinnego domku i tam niefrasobliwie ułożył to poświęcone Bambino di Praga między lalkami, kukiełkami, skakankami i bębenkami. A później wszyscy pili, nagie tancerki tańczyły wokół fałszywego Bambino di Praga i dopiero o świcie, kiedy już była pora, żeby pan ambasador wrócił do swej rezydencji, a reprezentanci Boliwii pojechali na lotnisko, żeby móc wrócić do siebie, wtedy dopiero prefekt policji przyniósł

prawdziwe Bambino di Praga i wymienił je na fałszywe Praskie Dzieciątko. Całe szczęście, że pan Salamon zerknął do kuferka, bo w tej wesołości i rozgardiaszu prefekt włożył do niego piękną lalkę w ludowym stroju ze Słowacka, więc wszyscy puścili się biegiem do dziecinnego domku i tam, między bębenkiem i trzema lalkami, leżało Bambino di Praga, więc prędko wzięli to poświęcone Dzieciątko, a na jego miejsce położyli lalkę w ludowym stroju i pojechali do Pragi. A na trzeci dzień dowiedzieliśmy się, że przedstawiciele Republiki Boliwijskiej musieli opóźnić odlot samolotu, bo — żeby zmylić rabusiów — zostawili to fałszywe Dzieciątko przed wejściem na lotnisko, a sprzątaczką usunęła je wprawdzie pod bukszpany, tylko że kiedy w samolocie członkowie delegacji na czele z panem Salamonem, już bezpieczni, otworzyli kuferek, to stwierdzili, że to, co mają przy sobie, nie jest prawdziwym Dzieciątkiem poświęconym przez eksceleńcę arcybiskupa, ale tym fałszywym, nie ze złota, tylko z pozłacanego stopu, i jedynie szatki były identyczne... Popędzili więc prędko i znaleźli prawdziwe Dzieciątko akurat w chwili, kiedy stał przy nim portier i pytał stojących wokół: „Do kogo należy ten kuferek?”, a kiedy nikt się nie przyznał, zostawił Bambino di Praga na chodniku... I właśnie w tym momencie przy-cwałowali boliwijscy delegaci, wzięli kuferek, zważyli go w rękach i odetchnęli, a po otwarciu zobaczyli, że jest w nim to prawdziwe Dzieciątko. I pognali z nim do samolotu, i polecili do Paryża, a stamtąd dalej, do swej ojczyzny, razem z Bambino di Praga, które według indiańskiej legendy chodziło w Pradze do szkoły, a Praga w tej legendzie jest najstarszym miastem na świecie... No, może już wystarczy, co? Na dzisiaj koniec.

OBSŁUGIWAŁEM ANGIELSKIEGO KRÓLA

Słuchajcie dobrze, co wam teraz powiem.

Moje szczęście polegało na tym, że zawsze spotykało mnie jakieś nieszczęście. No więc opuściłem hotel „Cichy Kącik” z płaczem, bo szef ubzdurał sobie, że ja byłem tym, który specjalnie zamienił Bambino di Praga na fałszywe Praskie Dzieciątko, że ja w tym maczałem palce, żeby zrabować te cztery kilo złota, a przecież to nie ja. Więc z taką samą walizką jak moja przyjechał jakiś inny kelner, a ja wybrałem się do Pragi, gdzie zaraz na dworcu miałem to szczęście spotkać pana Waldena. Właśnie ruszał na trasę i był z nim ten jego tragarz, smutny facet niosący na plecach w węzélku te dwa przyrządy, znaczy się wagę i maszynkę do krajania kielbasy... I pan Walden napisał dla mnie liścik do hotelu „Paryż”, a kiedy się z nim żegnałem, był dla mnie taki przyjazny, pogłaskał mnie i parę razy powtórzył: „Trzymaj się, nieboraku, małyś jest, ale z małych też bywają ludzie, nieboraku, wpadnę do ciebie.” Wołał tak, a ja stałem i długo za nim machałem, pociąg już dawno zniknął, a mnie znowu czekała nowa przygoda. Co tu dużo mówić, mnie w hotelu „Cichy Kącik” oblatywał już strach. Zaczęło się to wtedy, jak widziałem, że ten parobek, no, on miał kotkę, która wciąż czekała na niego, aż wróci ze swojej nędznej rudery, albo warowała na podwórzu patrząc, jak rąbie drewno, tak żeby go widzieli nasi goście, więc ta kotka była dla parobka wszystkim, nawet z nią spał. Teraz za ta kotką zaczął chodzić kocur i kotka złajdaczyła się i nie wracała, a parobek aż z tego posiniał, wypatrywał jej i gdzie tylko się ruszył, tam zawsze rozglądał się, czy nie idzie ta jego Miłka; a w ogóle to ten parobek lubił rozmawiać sam ze sobą i kiedykolwiek przechodziłem koło niego, słyszałem, jak to niewiarygodne faktem się stało... I tak z tych jego gadek do siebie dowiedziałem się, że siedział w kryminale, że siekierą poharatał jakiegoś żandarma, który przystawiał się do jego żony, a żonę złoił sznurem tak, że ją musieli przewieźć do szpitala, i dostał za to pięć lat, i siedział z jednym złoczyńcą z Żiżkowa, który wysłał dziecko po piwo, a to dziecko zgubiło resztę z pięćdziesięciu koron, co tego człowieka tak rozzłościło, że położył ręce swojej córeczki na pniaku i odrąbał je, i to było to pierwsze niewiarygodne, co faktem się stało. Drugim współwzięciem był facet, który nakrył swoją kobitę z jakimś komiwojażerem i siekierą zabił żonę, potem wyciął jej przyrodzenie, a ten komiwojażer pod groźbą zarabania na śmierć musiał to przyrodzenie zjeść, tyle że potem z przerażenia umarł, a ten morderca sam się zgłosił, i tak niewiarygodne faktem się stało po raz drugi. A tym trzecim przypadkiem, jak to niewiarygodne faktem się stało, był on sam: tak bardzo swej żonie wierzył, że kiedy zobaczył ją z żandarmem, to przepołowił mu siekierą ramię, ale żandarm postrzelił go w nogę, i tak dostał nasz parobek pięć lat, żeby niewiarygodne faktem się stało... I kiedyś ten kocur przyszedł do kotki parobka, a ten przydusił go cegłą do muru i siekierą przetrącił mu kręgosłup. Kotka zaczęła lamentować nad swoim kocurem, ale parobek przydusił go mocno do takiego zakratowanego gęsto okienka i kocur zdychał tam przez parę dni i skończył podobnie jak ten żandarm... Kotkę później przepędził i chodziła po murze, ale do domu już się nie ważyła, a potem przepadła, pewnie parobek i ją zabił, bo on był cholernie delikatny i wrażliwy, znaczy się i narwany, i dlatego na wszystko leciał z

siekierą, jak na swoją kobitę, tak i na własną kotkę, jako że był wściekle zazdrosny i o żandarma, i o kocura. Przed sądem żałował, że zamiast ramienia nie rozharatał żandarmowi głowy razem z hełmem, bo ten żandarm był w łóżku jego żony w hełmie, z paskiem i pistoletem... Więc właśnie ten parobek wydumał sobie i oświadczył szefowi, że ja chciałem ukraść Praskie Dzieciątko, że w głowie mi tylko jedno: jak najszybciej wzbogacić się za cenę przestępstwa. I szef się wystraszył, bo co powiedział parobek, to było święte, zresztą nikt by mu nie podskoczył, bo miał tyle krzepy co pięciu chłopca... Raz, a później prawie każdego popołudnia, przyłapałem go, jak siedzi w tym dzieciennym domku i coś tam robi, chyba bawił się lalkami i misiami, nigdy tego na własne oczy nie widziałem, zresztą nawet nie zależało mi na tym, ale on kiedyś powiedział mi, że nie życzy sobie, żebym zaglądał do dzieciennego pokoiku, że mnie już tam widział ze Zdeńkiem, i dodał, że niewiarygodne znowu by się mogło stać faktem, po raz czwarty... Dał mi zresztą przykład z tym kocurem, który z przetrąconym kręgosłupem męczył się przez dwa dni tuż przy moim pokoiku i za każdym razem, kiedy tamtędy przechodziłem, parobek przypominał mi, wskazując mumię kocura, że tak skończą wszyscy, którzy w jego oczach — kierował przy tym palce na swoje oczy — podpadną... A jakby nie było powodu, to choćby za to, że bawiłem się jego lalkami; za to na pewno by mnie na miejscu nie tyle zabił, ile dobrze urządził, żebym umierał tak długo jak ten kocur, który wprawdzie mu nic nie zrobił, ale uganiał się za jego kotką... No i już.

Dopiero na stacji dotarło do mnie, jak przez te pół roku w hotelu „Cichy Kącik” sfiksowałem. Konduktorzy gwizdali, żeby podróżni zajęli miejsca, gwizdkami dawali zawiadowcy sygnały, a ja podbiegałem to do jednego konduktora, to do drugiego i pytałem: „Słucham?” A kiedy zawiadowca zagwizdał na konduktorów, czy są gotowi do odjazdu, czy zamknęli drzwi itepe, podbiegłem też do niego i grzecznie spytałem: „Słucham?” I pociąg odwiózł pana Waldena, a ja szedłem przez praskie skrzyżowania i dwa razy przytrafiło mi się, że kiedy policjant kierujący ruchem na skrzyżowaniu przenikliwie zagwizdał, postawiwszy mu walizkę na nogi zapytałem: „Słucham?” I tak kroczyłem praskimi ulicami, aż dotarłem do hotelu „Paryż”.

Hotel „Paryż” był tak piękny, że o mało nie padłem. Tyle luster, tyle mosiężnych balustrad, tyle mosiężnych klamek, tyle mosiężnych świeczników, i to tak wypolerowanych, że to wszystko podobne było do złotego pałacu. Wszędzie czerwone dywany i szklane drzwi, całkiem jak w zamku. Pan Brandejs przyjął mnie życzliwie i zaprowadził do mojego pokoiku. Był to taki tymczasowy pokoiczek na poddaszu, skąd roztaczał się tak piękny widok na Pragę, że postanowiłem, właśnie ze względu na ten widok i pokój, zrobić wszystko, żeby tu zostać na zawsze. Otworzyłem walizę, żeby rozwiesić swój frak i bieliznę, i kiedy rozwarłem szafę, zobaczyłem, że jest pełna odzieży. Otworzyłem więc drugą, a ta była wyładowana parasolami, no a trzecia szafa pełna była płaszczy, do tego na przybitych dużymi pinezkami sznurkach wisiały setki krawatów. .. Ścieśniłem więc wieszaki i powiesiłem tam swoją odzież, a potem patrzyłem na Pragę, na te dachy, widziałem skrzące się Hradczany, a ten widok zamku czeskich królów sprawił, że zalałem się łzami i zupełnie zapomniałem o hotelu „Cichy Kącik”, i teraz cieszyłem się, że mnie podejrzewali o chęć kradzieży Praskiego Dzieciątka; gdyby tak sobie

mój szef nie pomyślał, to grabiłbym teraz alejki, układał siano w kopki i drzał, z której strony i kto gwizdnie, bo dopiero teraz dotarło do mnie, że parobek też miał gwizdek i na pewno był przedłużeniem szefowych oczu, i zastępował tamtemu nogi, śledził nas i gwizdał identycznie jak szef. Zszedłem na dół, było akurat południe i kelnerzy zmieniali się, żeby zjeść obiad. Widziałem, że jedzą kluski, gotowane kluski kartoflane z tartą bułką, i że wszystkim roznoszą te kluski. Widziałem też szefa, jak tutaj dostał kluski, jak je jadł w kuchni, podobnie jak kasjerka, tylko szef kuchni i jego pomocnicy mieli na obiad kartofle w mundurkach. Ja też dostałem kluski z tartą bułką, szef usadził mnie obok siebie i kiedy wziąłem się do jedzenia, on jadł też, ale tak jakoś z rezerwą, na pokaz, jakby chciał powiedzieć: „Skoro mogę to jeść ja, właściciel, więc i wy, moi pracownicy, też możecie...” I prędko otarł serwetką usta, i zaprowadził mnie na rewir, gdzie po raz pierwszy miałem roznosić piwo. Brałem więc z szynkwasu pełne szklanice, zapełniałem nimi tacę, za każde piwo dawałem, jak to tu było w zwyczaju, czerwone szkiełko, a stary ober z siwymi włosami niczym kompozytor podbródkiem pokazywał mi, gdzie mam zanieść piwo, a potem pokazywał mi już tylko oczyma, i ja nigdy nie nawaliłem, zawsze dawałem piwo tam, dokąd prowadziły mnie oczy tego pięknego obara. I już po godzinie zauważyłem, że ten stary ober pogłaskał mnie oczyma, dając mi znać, że mu się podobam. Ten ober to była persona: wypisz wymaluj aktor filmowy, dżentelmen całkiem jak lord. Nie widziałem jeszcze nikogo, komu by we fraku było tak dobrze jak jemu, a w ogóle pasował do tego otoczenia luster, gdzie choć było dopiero popołudnie, świeciły się żarówki w kinkietach w kształcie świec, wszędzie były wisiorki ze szlifowanego szkła, więc kiedy niosłem jasne pilzneńskie piwo, widziałem się w lustrze, widziałem, że jestem jakiś inny, że w tych lustrach muszę mieć o sobie lepsze zdanie, bo choć jestem brzydki i taki mikrus, to tutaj mój frak mi pasuje. Nawet kiedy stanąłem przy oberze, który miał białe, kędzierzawe włosy, jakby wyszedł prosto od fryzjerki, to w lustrze widziałem, że nie chcę robić nic innego jak tylko być na rewirze i usługiwać razem z tym oberem, od którego zawsze bił spokój. On wiedział o wszystkim, na wszystko miał oko, uzupełniał zamówienia i wciąż się uśmiechał, jakby był na balu albo wydawał domowe przyjęcie. Wiedział też, kto i przy jakim stole nie dostał jeszcze jeść, i zawsze wtedy interweniował, a prócz tego wiedział, kto chce płacić — nigdy nie widziałem, żeby ktoś podnosił rękę i pstrykał palcami albo machał rachunkiem. Ten ober miał takie dziwne spojrzenie, jakby lustrował tłum ludzi albo oglądał z wieży widokowej pejzaż czy też morze z parowca, takie spojrzenie donikąd, ale każdy gest gościa natychmiast mówił mu, czego tamten by sobie życzył albo co akurat zamawia. I od razu spostrzegłem, że ober nie lubi jednego kelnera, oczyma wytykał mu, że pomylił dania, bo zamiast podać schabowego na szósty stół, podał go na jedenasty. Po tygodniu roznoszenia piwa w tym wspaniałym hotelu zauważyłem, że kiedy ten kelner niesie na tacy dania z kuchni, zawsze zatrzymuje się przed drzwiami do restauracji i przekonany, że nikt go nie widzi, opuszcza tacę z wysokości swych oczu na wysokość serca, przygląda się łakomie daniom i za każdym razem uszczknie kąsek tego i tamtego, biorąc tak mało, że wyglądało, jakby tylko przejechał palcami po daniu i je oblizał, ale zawsze to coś. Widziałem też, jak ten piękny ober przyłapał go, ale nie powiedział ani słowa, spojrział tylko, a na to kelner machnął ręką

i oparłszy tacę na ramieniu otworzył kopniakiem wahadłowe drzwi i wbiegł do lokalu. To był cały on — biegł, jakby mu taca miała spaść, przebierał nogami i co prawda, to prawda, nikt nie odważył się nieść tyle talerzy co Karol, tak się nazywał ten kelner. Ustawiał sobie na tacy dwanaście talerzy, a na wyciągniętej ręce niczym na wąskim stoliku kładł ich osiem i jeszcze dwa trzymał w palcach rozczapierzonych jak wachlarz, a w drugą rękę brał trzy talerze. To był niemal artystyczny numer i szef Brandejs chyba tego kelnera lubił, to noszenie tylu dań uważał pewnie za ozdobę firmy.

Prawie codziennie mieliśmy na obiad, znaczy się personel, te kluski — raz z makiem, na drugi dzień w sosie, na trzeci z tartą bułką, kiedy indziej z cukrem i polaną masłem albo polaną malinowym sokiem, czasem z siekaną pietruszką i słoniną, a nasz szef zawsze jadł z nami w kuchni te kluski, z tym, że mało. Mówił, że ma dietę, ale później, o drugiej, właśnie ten kelner, Karol, nosił mu tacę, a na niej wszystko było w srebrze i po pokrywkach można było poznać, czy jest tam gąska, kurczak, kaczka czy dziczyzna, w zależności od tego, co się w danej porze roku jadło, i zawsze nosił to do separatki, jakby tam jadł obiad jakiś makler z giełdy zbożowej, która przenosiła się do nas, do hotelu „Paryż”. I zawsze do tej separatki niepostrzeżenie przemykał nasz szef, a kiedy z niej wychodził, lśnił cały i był zadowolony, w kąciu ust trzymał wykałaczkę. Ten Karol chyba miał z szefem jakieś interesy, bo kiedy kończył się główny dzień giełdowy, czyli w każdy czwartek, maklerzy przychodzili do nas, żeby szampanem i koniakami oblać zawarte transakcje, do tego taca jadła na każdym stole — zawsze była tylko jedna taca, ale żarcia na niej na całą ucztę... I chociaż był jeszcze dzień, to już od jedenastej siedziały w lokalu pięknie wymalowane panienki, takie jakie znałem „U Rajskich”, kiedy pracowałem w „Złotej Pradze”, i ćmiły papierosy, popijały ciężkie wermuty czekając na maklerów, a kiedy przyszli, dziewczyny rozchodziły się, każda już miała swój stół, już były zamówione do chambre separee. A ja przechodząc obok zaciągniętych zasłonek słyszałem śmiech i brzęk szkła, i trwało to parę godzin, maklerzy rozchodzili się dopiero wieczorem, rozochoceni, a piękne panienki też wychodziły i czesały się w toaletach, malowały sobie rozmazane, scałowane pomadki z ust. Poprawiały bluzeczki i rzucały spojrzenia za siebie, dziw, że sobie głów nie pourywały, jak tak patrzyły, czy naciągnięte znów pończoszki mają krechę, szew ciągnący się od połowy ud aż do obcasików, idealnie na środku pięty. I kiedy maklerzy już poszli, ani ja, ani nikt inny nie śmiał wejść do chambre separee, i każdy tylko wiedział, a ja parę razy przez rozchyloną zasłonkę widziałem, jak Karol grzebie między oparciami i poduchami. To był jego biznes, bo wyciągał stamtąd zawieruszone monety i banknoty, czasem nawet sygnet albo urwany wisiołek od zegarka, i wszystkie te pieniądze, które maklerzy albo panienki, kiedy się tam rozbierali czy ubierali, czy w ogóle kokosili, wysypali z kieszeni marynarek, spodni i kamizelek, albo się im coś urwało od łańcuszka przy kamizelce, wszystko to należało do Karola.

Któregoś południa załadował na tacę tych swoich dwanaście talerzy i, jak to miał w zwyczaju, stanął na chwilę przy drzwiach, żeby skubnąć kawałtka gotowanej giczy wołowej, do tego szczyptę kapusty, a zamiast deseru ździebko nadzienia z cielęciny, potem jakby tym jedzeniem pokrzepiony, podrzucił tacę i z uśmiechem wpadł do restauracji, a wtedy gość, który zażywał tabakę albo miał po

prostu katar, taki chłopina ze wsi, pociągnął solidnie nosem i ten wdech zupełnie jakby go szarpnął za włosy, bo gość raptem wstał, a kiedy kichnął donośnie, potracił mankietem brzeg tacy i Karol, który pochylony gnał za płynącą w powietrzu, zastawioną talerzami tacą, niczym jakiś latający dywan — Karol tak właśnie zawsze roznosił dania — lecz tym razem taca dostała przyspieszenia albo też nogi Karola coś się spóźniły, w każdym razie wpadł w poślizg, taca zachybotła się na zwróconej ku niebu dłoni, a palce daremnie ją obmacywały, i wszyscy na rewirze, i szef, który akurat gościł towarzystwo hotelarzy — sam pan Szroubek siedział przy zastawionym stole — widzieli to, co się potem stało i cośmy przewidzieli... Karol dał jeszcze susa, podtrzymał tacę, ale dwa talerze już się zsunęły: najpierw zrazy a la Puszcza, później sos i wreszcie sam talerz, a sekundę potem to samo zrobił ten drugi talerz — sos, mięso i na końcu knedliki. Spadało to, żeby wylądować na gościu, który jak zawsze czytał sobie najprzód całą kartę, a zanim coś wybrał, podnosił wzrok i zamawiał, długo się przy tym wypytując, czy mięso nie będzie twarde, sos za gorący i czy knedliki będą puchate... I tak to ciekło i spadało na plecy gościa, a ten wyprostował się i wtedy knedliki zjechały mu na kolana, później pod stół, tylko jeden siedział mu na głowie niczym czapeczka, jak jarmułka, co ją nosił rabin, jak kwadratowy birecik wielebnego ojca... A Karol, który uratował wszystkie pozostałe dziesięć dań, kiedy to zobaczył i kiedy dostrzegł pana Szroubka, właściciela hotelu „U Szroubków”, podniósł tę tacę jeszcze wyżej, podrzucił ją, odwrócił i wszystkich dziesięć talerzy szmyrgnął na podłogę i jakby to był teatr albo pantomima, pokazał, jaka go cholera bierze przez tę historię. A potem odwiązał fartuch i nim też cisnął, i wyszedł cały wściekły, przebrał się w cywilne ciuchy i poszedł się zalać. Ja tego jeszcze nie rozumiałem, ale każdy z branży mówił, że skoro mu się to przytrafiło z dwoma talerzami, to z dziesięcioma musiało się skończyć tak samo, bo kelner na rewirze ma tylko jeden honor, a ten należy do reprezentacyjnej obsługi. Ale nie koniec na tym. Karol wrócił i łypiąc oczyma w stronę restauracji usiadł w kuchni, a potem ni stąd, ni zowąd zerwał się chcąc przewrócić na siebie ten wielki kredens, w którym są kieliszki dla całej restauracji. Przyskoczyli kucharze i kasjerka i zaczęli ten kredens, z którego z brzękiem sypały się kieliszki i tłukły o podłogę, pchać z powrotem, ale te dwa talerze dały Karolowi taką siłę, że trzy razy o mały włos nie obalił kredensu na podłogę. Na szczęście kucharze, cali czerwoni, powolutku cofnęli mebel na swoje miejsce. A później, kiedy wszyscy ledwie zdążyli odsapnąć, Karol podskoczył do restauracyjnego pieca, tak długiego, że kiedy człowiek przyłoży do drzwiczek i dobiegnie do piekarnika, to pod rusztami już prawie wygasa, więc podskoczył do tego pieca i tak nim targnął, że wyrwał rurę i zaraz kuchnia zapełniła się dymem i swędem, wszyscy krztusili się i z trudem zamocowali tę rurę. Umorusani na amen kucharze zwalili się na krzesła i patrzą, gdzież to się podział pan Karol. Zniknął, więc wszyscyśmy odetchnęli, a tu nagle rozległ się brzęk — to Karol nogami przedziurawił szklaną podłogę w świetliku nad kuchenną płytą i wpakował się na dół do kuchni, stając jedną nogą aż po nogawkę we flaczkach przekąskowych, a drugą w rondlu z gulaszem, połączonym z sosem ze zrebienca na prawdziwkach... I tak w tym brodził, a kucharze z wrażenia padli, „wszędzie walały się okruchy, więc skoczyli po posługacza, byłego zapaśnika, żeby użył przemocy i pana Karola usunął, bo on coś chyba ma przeciwko hotelowi

„Paryż”... Posługacz rozkraczył się, wyciągnął łapska przed siebie, jakby na nich trzymał motek wełny do namotania, i rzekł: — Gdzie jesteś, krowi cycu? — Na co Karol tak go zamalował pięścią, że tamten wyłożył się i musiała przyjechać policja. Wtedy Karol zrobił się już spokojny, ale na korytarzu i tak przewrócił dwóch blacharzy i kopał w hełmy, które ci mieli na głowach, więc zaciągnęli Karola do chambre separee i tam go złoili, a po każdym krzyku wszyscy goście w restauracji wzdrygali się. W końcu go wyprowadzili: cały był w siniakach, ale szatniarce powiedział: — Za te dwa talerze jeszcze trzeba będzie zapłacić... — I rzeczywiście, ledwie się uspokoił, to zaraz rozbił porcelitową umywalkę, wyrwał rury ze ściany, i całe pomieszczenie i policjantów, wszystko zalała woda, zanim palcami udało się zatkać dziury po rurach.

I w taki sposób zostałem kelnerem na rewirze pod kierunkiem pana Skowronka, oberkelnera. Oprócz mnie było jeszcze dwóch kelnerów, ale tylko ja jeden mogłem stać we wnęce oparty plecami o stół, kiedy popołudniami robiło się troszkę luźniej. Pan ober mówił, że będzie ze mnie dobry ober, ale muszę nabyć takiej umiejętności, żebym, jak tylko gość wejdzie, zapamiętał go sobie i wiedział, kiedy wychodzi, i to nie w południe, kiedy jest szatnia, ale popołudniem, kiedy serwuje się w kawiarni; żebym się nauczył rozpoznawać tych, co to chcą się najeść i wyjść bez płacenia. Żebym też potrafił odgadnąć, ile gość ma przy sobie pieniędzy i czy będzie mógł zapłacić za zamówienie, czy raczej nie, bo dobry ober to musi wiedzieć przede wszystkim. I kiedy był czas, cicho opisywał mi gościa, który akurat przyszedł, i tego, co właśnie wychodził. Ćwiczył mnie tak parę tygodni, aż wreszcie odważyłem się typować sam. Zawsze cieszyłem się na popołudnie, jakbym był na jakiejś awanturycznej wyprawie, podniecałem się jak myśliwi czekający w zasadzce na zwierzynę, a pan ober albo palił ze zmrużonymi oczyma i z zadowoleniem przytakiwał, albo kręcił głową, poprawiał mnie i szedł do gościa sam, żeby udowodnić mi, że to on miał rację. No i naprawdę zawsze tak było. Wreszcie dowiedziałem się czegoś, kiedy spytałem pana obera prosto z mostu: — Skąd pan to wszystko wie? — A on cały się wyprostował i odpowiedział: — Bo ja obsługiwałem angielskiego króla. — Króla? — płaśniałem w dłonie. — Pan obsługiwał... angielskiego króla? — Ober z zadowoleniem skinął głową. I w ten sposób wkroczyliśmy w drugi okres, który wprawiał mnie w zachwyt. To było coś jak loteria fantowa, kiedy czekacie, czy wylosowany zostanie numer waszego losu, jak tombola na zabawie w zapusty albo na publicznym festynie. Kiedy po południu wchodził jakiś gość, pan ober kiwał na mnie, szliśmy do wnęki i tam mówiłem: — To jest Włoch. — A pan ober kręcił głową i powiadał: — To jest Jugosłowianin ze Spli-tu albo Dubrownika... — Patrzyliśmy sobie chwilę w oczy, a później kiwali głowami i kładłem dwadzieścia koron na tacy w tej wnęce, pan ober też. Potem szedłem zapytać, czego gość sobie życzy. Przyjmowałem zamówienie, a kiedy wracałem, pan ober widząc moją minę zgarniał obie dwudziestki i wkładał je do swego ogromnego skórzanego pugilaresu, z powodu którego kieszeń w spodniach miał obszytą tą samą skórą co i pugilares, a ja się dziwiłem: — Jak pan to, panie ober, poznaje? — A on skromnie: — Obsługiwałem angielskiego króla. — I ta-keśmy się zakładali, ale ja ciągle przegrywałem, bo teraz pan ober uczył mnie, że jeśli ma być ze mnie dobry ober, to muszę wyczuć nie tylko narodowość, ale i to, na co gość

będzie miał ochotę. Więc kiedy gość zjawił się w restauracji, kiwnęliśmy głowami i weszli do wnęki, i tam każdy położył dwie dychy na pomocniku, a ja powiedziałem, że gość zamówi zupę gulaszową albo przekąskowe flaczki, a na to pan ober, że herbatę i opiekany chleb bez czosnku. Poszedłem przyjąć zamówienie, najpierw „dzień dobry”, a potem spytałem gościa, czego sobie życzy. A on ci rzeczywiście zamówił herbatę z grzanką i kiedy szedłem z powrotem, pan ober brał obie dwudziestki, a potem powiedział: — Faceta chorego na woreczek musisz rozpoznać od razu, popatrz no na gościa, temu pewnie i wątroba wysiada... — Kiedy indziej znowu spierałem się, że gość zamówi herbatę i chleb z masłem, a pan ober twierdził, że praską szynkę z ogórkiem i szklanicę pilzneń-skiego piwa. I tak było, ledwie zdążyłem przyjąć zamówienie i obrócić się, pan ober tylko na mnie spojrział, podniósł okienko i zamiast mnie zawołał do kuchni: — Praską szynkę... — A kiedy doszedłem, dodał: — I ogórek do tego. — A ja byłem szczęśliwy, że mogę pobierać takie nauki, choć przepuściłem na to wszystkie tryngle, bośmy się zakładali do oporu i zawsze przegrywałem. No i za każdym razem pytałem: — Panie ober, skąd pan to wszystko wie? — a on układając w pugilaresie dwie dwudziestki odpowiadał: — Obsługiwałem angielskiego króla.

No tak, wcześniej poznałem obera Zdeńka, tego, co po nocach lubił budzić wieś i przepuszczał wszystkie pieniądze, jakby był jakimś splukanym arystokratą. Teraz dopiero przypomniałem sobie obera ze „Złotej Pragi”; ni z tego, ni z owego zjawił mi się przed oczami ten mój pierwszy ober — nazywał się Malek. Ten ci był super o-szczędny, nikt nie widział, gdzie trzyma forszę, ale każdy wiedział, że musi jej mieć jak lodu, że pewnie składa na jakiś hotelik i jak przestanie być oberem, to sobie kupi albo wynajmie hotelik gdzieś w Czeskim Raju. Tyle że to było całkiem inaczej, kiedyś zwierzył mi się, jakeśmy sobie popili na weselu i on się rozkleił. Najpierw mi coś powiedział, a potem nawet pokazał. Mówił, że przed osiemnastu laty żona wysłała go do koleżanki z wiadomością, więc tam zadzwonił, drzwi się otworzyły i stanęła w nich piękna kobieta. Ona się zarumieniła, on też i stali tak w drzwiach osłupiali oboje, ona z haftem w rękach. Wreszcie wszedł i bez słowa ją objął, a ona dalej haftowała, potem osunęła się na kanapę i wciąż za jego plecami haftowała, a on posiadał ją jako mężczyzna, tak mi powiedział. Od tej pory jest zakochany i oszczędza; przez tych osiemnaście lat uskładał sto tysięcy, bo chce zapewnić byt swojej rodzinie i dzieciom, w przyszłym roku da im domek i pójdzie, już siwowłosa, ze swoją siwowłosą ślicznością szukać swego szczęścia... Wszystko mi opowiedział, a potem jeszcze otworzył biurko, które z tyłu miało dodatkowe dno, i tam były ułożone te setki, wszystkie, za które chciał wykupić swoje szczęście... Przyglądałem mu się, bo kto by to pomyślał? Patrzyłem na jego buty; miał podwiniętą nogawkę i nosił staroświeckie kalesony, na samym dole, nad kostką, przewiązane białą tasiemką przyszytą do brzegu nogawki, a te kalesony jakby zjawiły się z mojego dzieciństwa, kiedy to mieszkalem u babci w miejskim młynie, a z toalety łaźni Karola wędrowni handlarze wyrzucali bieliznę... kiedyś identyczne kalesony rozpostarły się i na chwilę zastygły w powietrzu... Tak, każdy ober był inny, a ten Malek ze „Złotej Pragi”, który mi się nagle teraz przypomniał, kojarzył mi się z jakimś świętym, podobnie jak malarz i poeta Jodl, ten, co to sprzedawał Życie Jezusa Chrystusa i na zmianę zdejmował i wkładał marynarkę albo jesionkę, i wciąż

był obsypany proszkami, a wokół ust miał żółtą obwódkę, bo pił ten swój neurastenin... a jaki kiedyś będę ja?

W każdy czwartek obsługa maklerów należała teraz do mnie. Karol już nie wrócił. Maklerzy dokazywali wesoło niczym szczenięta, tak jak wszyscy bogaci ludzie, a kiedy zrobili jakiś dobry interes, wtedy potrafili przepuszczać i rozdawać pieniądze niczym rzeźnicy po wygranej w ferbla. Tyle że ci rzeźnicy często kończyli tak, że wracali do domu po trzech dniach, bez bryczki, bez koni, bez kupionego wcześniej bydła, wszystko przegrali w ferbla, tak że przychodzili do domu z samym batem. Ci maklerzy też czasem przegrywali, też tracili „wszystko, ale siedzieli w chambre separee i patrzyli na świat jak Jeremiasz na płonące Jeruzalem, chcąc przepuścić resztki pieniędzy, jednak stawiał ten, który na giełdzie wygrał. Taką mieli zasadę, •wszystko z fasonem. A ja powoli stawałem się powiernikiem tych panienek, które czekały w kawiarni, aż się skończy giełda, a potem wystrojone schodziły na dół, do chambre separee. I czy była jedenasta przed południem, czy późne popołudnie, kiedy już się ściemnia, głęboka noc czy ranek, to było całkiem obojętne, bo w hotelu „Paryż” świeciło się od rana, cały hotel był na okrągło oświetlony niczym żyrandol, który zapomniało się wyłączyć. Najbardziej lubiłem chambre separee, który panienki nazywały gabinet oględzin, pawilon inspekcyjny, oddział wewnętrzny. Ci maklerzy, którzy jeszcze to i owo mogli, starali się jak najszybciej panienki wstawić, żeby z nich później powoli ściągać bluzeczki i spódnice i rozwalać się z nimi na tapicerowanych tapczanach i fotelach, tak jak ich Bozia stworzyła. I po wszystkim ci maklerzy byli zupełnie wykończeni; czasem wyglądało to tak, jakby ta miłość przyprawiła ich o atak serca, tak ich to kochanie w niezwykłych pozycjach zmaltretowało. Natomiast na oddziale wewnętrznym czy też w tak zwanym pawilonie inspekcyjnym wesoło było bez przerwy. Dziewczyny, które dostały zadanie zabawiać tam gości, bardzo to sobie chwaliły, bo, jak wiedziałem, właśnie stamtąd ciągnęły największe profity. Ci starsi maklerzy wciąż się śmiali i żartowali, a rozbieranie panienek traktowali jako zbiorową zabawę w fanty. Powoli, nie przestając popijać i delectować się szampanem w szlifowanych pucharach, rozbierali panienkę wprost na stole, na którym tamta się kładła, a wokół jej ciała mieli maklerzy półmiski z kawiozem, sałatką i plastrami salami, i włożywszy okulary oglądali każdą fałdę tego pięknego kobiecego ciała, zupełnie jakby byli na pokazie mody albo w atelier akademii sztuk pięknych; prosili, żeby dziewczyna usiadła, wyprostowała się, uklękła, żeby spuściła ze stołu nogi i majtała nimi, jakby je sobie myła w potoku. I nigdy się ci maklerzy nie kłócili — obojętnie, jaki członek był ku nim zwrócony, jaką część ciała widzieli, każdy z olbrzymim zachwytem, podobnym do zachwyty pejzażysty, malarza przenoszącego na płótno to, co go w pejzażu urzekło, tak właśnie ci starcy z niesłabnącym zachwytem oglądali sobie z bliska i przez okulary to zgięty łokieć, to zmierzwioną na dole kępkę włosów, to podbicie stopy i kostkę czy brzuch. Jeden zaś rozchylił piękne pośladki i z dziecięcym podziwem patrzył na to, co akurat zobaczył, inny natomiast pokrzykiwał z zachwyty i spoglądał na sufit, jakby samemu Bogu dziękując za to, że może wpatrywać się między rozłożone nogi panienki i palcami lub ustami dotknąć tego, co spodobało mu się najbardziej... I mienił się ten chambre separee nie tylko od ostrego światła padającego od sufitu z lejka

pergaminowego klosza, ale też od unoszonych kieliszków, a przede wszystkim od migotania czterech par soczewek okularów, poruszających się niczym welony w oświetlonym akwarium. Kiedy już nasycili wzrok, oględziny były skończone. Maklerzy nalewali panience szampana, a ona siedząc na stole trącała się z nimi i częstowała się, czym tylko chciała. Starsi panowie zwracali się do niej po imieniu, żartowali i byli szarmanccy, w tym czasie w innych *chambres separees* rozbrzmiewał wesoły śmiech, niekiedy przechodzący w milczenie, tak że często myślałem, że powinienem wparować, bo pewnie leży tam trup albo umierający makler... A potem ci moi starcy ubierali panienkę, to było jakby puścić film od tyłu: wcześniej ją rozbierali, a teraz ubierali, i to bez tej obojętności, która zjawia się zawsze po tych rzeczach, bez tego znużenia, ale szarmancko, jak na początku... Później płacili, zawsze płacił jeden, dawali oberowi tryngla, a ja za każdym razem dostawałem setkę, i wychodzili rozpromienieni, ukojeni, pełni pięknych obrazów, które wystarczały im zawsze na tydzień, i już od poniedziałku cieszyli się, że w czwartek przeprowadzą oględziny innej panienki, bo ci goście nigdy nie oglądali jednej i tej samej panienki, tylko za każdym razem inną, chyba po to, żeby szła o nich fama w półświatku praskich prostytutek. A po każdych oględzinach panienka zostawała w *chambre separee*... czekała... i kiedy sprzątałem ze stołu, to odnosząc ostatnie nakrycie już wiedziałem, że to, co teraz nastąpi, było tu w zwyczajaju... Przyglądała mi się tak łakomie, jakbym był amantem filmowym, bo ta panienka tak była podniecona oględzinami. I oddychała głęboko, jakby chciała pokazać, że nie jest zdolna stąd wyjść. No i stało się to po raz pierwszy, a potem w każdy czwartek musiałem dokończyć to, co staruszkowie zaczęli. Wszystkie te panienki rzucały się na mnie zawsze tak pożądliwie, oddawały mi się z taką namiętnością, jakby robiły to po raz pierwszy... A ja przez tych parę minut wydawałem się sobie przystojny, wysoki i kędzierzawy, miałem nie tylko wrażenie czy uczucie, ale wręcz pewność, że jestem królem tych pięknych panienek... Lecz było tak dlatego, że podczas oględzin ich ciała tak były wypieszczane oczami, rękami i językiem, że przez ten przegląd panienki nie mogły chodzić. Dopiero kiedy czułem, że raz albo i dwa je zaspokoilem, wtedy odżywały: ich oczy wracały na swoje miejsce, błona, którą miały zamiast nich, znikwała, mrok, w którym były pogrążone, rozplýwał się i znowu patrzyły normalnie, a ja znów byłem dla nich malutkim kelnerem, kimś, kto w zastępstwie kogoś pięknego i silnego wykonał polecenie, które w każdy czwartek spełniałem z coraz większą ochotą i rutyną, a co przede mną należało do tego wybranego kelnera, Karola, który miał do tego kwalifikacje i talent, i zacięcie, ale ja też miałem... I chyba byłem w ogóle dobry, bo wszystkie panienki, spotkawszy mnie w lokalu czy na ulicy, pozdrowiały mnie pierwsze, kłaniały się już z daleka albo na mój widok machały chusteczką czy torebką i nawet jak nic nie miały w ręce, to przynajmniej kiwały mi przyjaźnie rączką... A ja im się odkłamałem albo zdejmując z rozmachem kapelusz przesadnie składałem swoje uszanowanie, a potem prostowałem się i zadzierałem brodę, żeby sam przed sobą zrobić się jeszcze większy na podwójnie podbitych zelówkach, żebym był wyższy o tych parę centymetrów.

I tak zacząłem sobie poświęcać większą uwagę, niż powinienem. Kiedy miałem wolne, stroiłem się, zakochałem się w krawatach, bo taki krawat czyni strój, a dopiero strój czyni człowieka. Więc

kupowałem krawaty, ale spostrzegłem, że identyczne mają też nasi goście, i to mi nie wystarczało, bo ciągle pamiętałem, że... I otworzyłem tę szafę z rzeczami i odzieżą, którą u nas w hotelu zapomnieli goście, a tam były krawaty, jakich nie widziałem nigdzie i nigdy. Miały na cienkiej nitce karteczkę — i tak jeden krawat zostawił tutaj Alfred Karniol, hurtownik z Damaszku, drugi Salomon Pihowaty, dyrektor generalny z Los Angeles, trzeci Jonathan Shaplinger, -właściciel przedzalni ze Lwowa, a czwarty i piąty... Całe tuziny krawatów, i marzyłem o tym, żeby kiedyś zawiązać sobie taki krawat, i o niczym innym nie myślałem, jak o takim krawacie. Miałem do wyboru trzy: jeden niebieski, jakby z metalu, drugi był ciemnoczerwony, z tego samego materiału co niebieski. Lśniły niczym panczerzyki rzadkich chrząszczy albo skrzydła motyli. Ach, lekko rozpięta letnia marynarka, ręka w kieszeni, a od szyi do pasa wywieszony taki krawat, taki szyk, klękajcie narody... Kiedy zawiązałem go na próbę przed lustrem, to aż mi dech zaparło... Patrzyłem na te krawaty po drugiej stronie, ale ich nie widziałem, bo zobaczyłem siebie, jak idę przez plac Waława i aleją Narodową, i naraz się wystraszyłem. Z naprzeciwka kroczyłem ja, spostrzegłem, że i inni przechodnie, głównie ci elegancko ubrani, wzdrygają się z lęku przed moim pięknym krawatem, jakiego nigdy, nigdzie i na nikim nie widzieli, a ja stąpałem niedbale w rozpiętej marynarce, tak żeby wszyscy fachowcy widzieli ten krawat... Stałem tak przed lustrem w mansardzie hotelu „Paryż” powoli odwiązując ten lśniący czerwonobordowy krawat i wtedy zauważyłem krawat, którego wcześniej nie dostrzegłem. I ten był właśnie dla mnie. Biały, zrobiony z jakiegoś szorstkiego, rzadkiego materiału i usiany niebieskimi cętkami —jasnoniebieskimi jak niezapominajki. Te cętki były tak utkane, chociaż wyglądały na przylepione, i mieniły się niczym iskry, a na nitce wisiała karteczka, którą odwiązałem razem z nitką, i było tam napisane, że ów krawat zapomniał tutaj księżę Hohenlohe. Zawiązałem sobie ten krawat, spojrziałem do lustra i co widzę: tak dzięki niemu wypiękniałem, że miałem wrażenie, jakby z tego krawata przeszła na mnie odrobina zapachu księcia z Hohenlohe. I przypudrowałem sobie trochę nos i wygoloną brodę, i wyszedłem z reprezentacyjnego domu. Spacerowałem po Przykopach oglądając sklepowe witryny i rzeczywiście, byłem jasnowidzem — naprawdę było tak, jak widziałem siebie przed lustrem -w mansardzie. Ach, co tam pieniądze, te posiadał chyba każdy, kto miał wyróżniający się krawat, pięknie uszyte ubranie, zamszowe trzewiki i nosił parasol niczym jakiś lord, ale takiego krawata jak ja nie miał nikt. Wszedłem do sklepu z bielizną męską i od razu znalazłem się w środku uwagi dzięki temu krawatowi, który potrafiłem zgrabnie zawiązać, i z miejsca stałem się ośrodkiem zainteresowania. Poprosiłem do obejrzenia parę muślinowych koszul, a potem, żeby dodać sobie blasku, kazałem pokazać białe chusteczki i powiedziałem ekspedientce, żeby z tuzina wzięła jedną i włożyła mi ją do kieszonki tak, jak to się teraz nosi, a ona uśmiechnęła się i powiedziała: — Pan chyba żartuje; pan, który tak pięknie umie zawiązać krawat... — Wzięła chusteczkę — wreszcie widziałem, jak to się robi, sam nigdy nie mogłem na to wpaść — wzięła chusteczkę, położyła na ladzie i jakby nabierając sól z solniczki, trzema paluszkami złapała za środek chusteczki, uniosła ją trochę i zatrzepotała tym arkusikiem, na którym powstały śliczne załomki. Potem drugą ręką ścisnęła fałdy, zgarnęła chusteczkę i wsunęła mi do kieszonki wyciągając rogi, a ja podziękowałem, zapłaciłem

i dostałem przewiązane złotym sznurkiem dwie paczuszki z piękną koszulą i pięcioma chusteczkami. Wszedłem jeszcze do sklepu męskiego z materiałami ubraniowymi i mój biały krawat w niebieskie cętki i biała chusteczka ze sterzącymi koniuszkami ostrymi jak szpice stulonego liścia lipy przyciągnęły wzrok nie tylko subiektów, ale też dwóch eleganckich panów, których na mój widok aż zatkało, skamienieli i dopiero po chwili odzyskali stracone zaufanie do swych krawatów i chusteczek... A ja przebierałem w materiałach na garnitur, chociaż nie miałem przy sobie takich pieniędzy. Wybrałem esterhazy, angielski materiał, i poprosiłem, żeby mi go wynieśli przed sklep, bo chcę zobaczyć, jak wygląda na słońcu. Od razu wzięli mnie za gościa, który zna się na materiałach, i subiekt wyniósł całą belę, odgarnął róg, żebym napatrzył się do syta, jak ten mój przyszły garnitur będzie wyglądał na praskich ulicach. Podziękowałem zakłopotany, ale subiekt rzekł, że taki klient jak ja powinien się zastanowić i nie śpieszyć się z zakupem, że jutro też jest dzień i ten materiał mogę kupić, kiedy zechcę, a firma Heinrich Pisko nic na tym nie straci, bo tylko ona jedna w Pradze ma ten materiał. Więc podziękowałem i wyszedłem, przechodząc na drugą stronę ulicy. To wszystko tak mnie jakoś oszołomiło, że nawet zacząłem głowę zadzierać w bok i marszczyć się, żeby na czole zjawiły się szlachetne zmarszczki, niby że medytuję. I wnet zdarzyło się coś, co mnie upewniło, że diablo mnie ten krawat zmienił, bo natknąłem się na Wierę, panienkę z chambre separee, tę, która w ostatni czwartek była z maklerami na oddziale oględzin i знаła mnie z kawiarni. Zobaczyła mnie i zauważyłem, że chciała mi przyjaźnie skinać torebką i białymi rękawiczkami, które trzymała razem z paskiem torebki, ale naraz zmieniła zamiar, niby że się pomyliła. Zupełnie mnie nie poznała, mnie, który musiałem jej zaoferować siebie, żeby podniecona przez starych panów była w stanie wrócić z naszego lokalu do domu... A ja udawałem kogoś innego, odwróciła się jeszcze i poszła w swoją stronę przekonana, że się pomyliła. A wszystko przez tę chusteczkę i biały krawat. Ale zaraz przy Prochowej Bramie, gdzie przeszedłem, żeby znów pewny siebie paradować po Przykopach, kiedy omal nie piałem z zachwytu nad swoim strojem zdobnym w tak niewiele dodatków, wtedy w białej baranicy starych włosów naprzeciw siebie zobaczyłem mojego obera z hotelu, pana Skowronka. Szedł nie patrząc na mnie, ale ja wiedziałem, że mnie widzi. Minał mnie, a ja stanąłem, jak gdyby mnie zagadnął. Obejrzałem się za panem Skowronkiem i on też się zatrzymał, odwrócił i podszedł do mnie wpatrując się w moje oczy, a ja już wiedziałem, że widzi ze mnie sam krawat, że widzi tylko biały krawat paradyjący po Przykopach, nic więcej, tylko paradyjący krawat... I pan ober, który wiedział wszystko, spojrział na mnie jakby mówiąc, że wie, skąd wziął się ten krawat, wie, że pożyczylem go sobie bez przyzwolenia. Patrzył tak, a mnie w myślach przemknęło: „Panie ober, skąd pan to wszystko wie?” A on roześmiał się i odparł na głos: — Ba, przecież obsługiwałem angielskiego króla... — i ruszył dalej Przykopami. I chociaż świeciło słońce, to dla mnie jakby pociemniało, jak gdybym był jarzącą się lampą, której pan ober przykręcił knot, jak gdybym był napompowaną dętką, której pan Skowronek poluzował wentyl. Idąc słyszałem, jak wychodzi ze mnie powietrze, widziałem, że nie oświetlam już sobie drogi, że już nie widzę, i miałem wrażenie, że tak samo jak ja, sflaczał i mój krawat, chusteczka też, jakbym pobiegał w deszczu.

Miałem to szczęście, że największe wydarzenie i zaszczyt, jaki ze wszystkich hoteli i restauracji może spotkać tylko jeden i jedną, przytrafił się hotelowi „Paryż”. Okazało się, że na Zamku prezydent nie ma złotych sztucców, a delegacja, która akurat zjechała do Pragi z tak zwaną oficjalną wizyta, gustowała w złocie. Osobisty sekretarz prezydenta i sam szef prezydenckiej kancelarii próbowali wypożyczyć złote sztuce od osób prywatnych albo od księcia Schwarzenberga czy Lobkowica. I owszem, ci magnaci mieli sztuce, z tym, że nie tyle, ile było trzeba, a oprócz tego wszędzie były inicjały i wygrawerowane w trzonkach łyżek i noży znaki herbowe tych rodów. Jedynym, kto by mógł wypożyczyć panu prezydentowi złote sztuce, był książę Thurn Taxis, ale musiałby po nie posłać do Ratzbony, gdzie były w zeszłym roku na weselu członka tego bogatego rodu, który miał w Ratzbonie nie tylko swoje hotele, ulice, ale całe dzielnice i nawet własny bank. Więc wszyscy kandydaci odpadli i w końcu przyjechał do nas sam szef kancelarii, a kiedy wychodził od naszego szefa, był wściekły jak licho, i to był dobry znak... Tak orzekł pan Skowronek, ten, co obsługiwał angielskiego króla. Wyczytał z miny szefa kancelarii, a potem z twarzy pana Brandejisa, do którego hotel „Paryż” należał, wywiedziało się, że nasz szef nie zgodził się wypożyczyć swych złotych sztucców, a jeśli, to pod warunkiem, że przyjęcie będzie tutaj, u nas, i że dopiero wtedy wyjmie z sejfu swoje złote noże, widelce, łyżki i łyżeczki. I tak oto dowiedziałem się, i o mały włos wtedy nie padłem, że nasz hotel ma złote sztuce na trzysta dwadzieścia pięć osób... No i na Zamku urządzili, że bankiet dla niezwykłego gościa z Afryki i jego świty odbędzie się u nas. W całym hotelu zaczęły się porządki, przysły kobiety z kubelkami i szmatami i czyściły nie tylko podłogi, ale nawet ściany i sufity, i wszystkie żyrandole, tak że hotel świecił się i cały lśnił. Aż wreszcie nadszedł dzień, w którym miał przyjechać i zamieszkać u nas abisyński cesarz ze swoim orszakiem. Przez cały dzień ciężarówka skupowała w praskich kwiaciarniach róże, asparagusy i orchidee, lecz w ostatniej chwili przyjechał osobiście szef kancelarii Zamku i wymówił zakwaterowanie, ale bankiet potwierdził. Nasz szef się tym nie przejął, bo i tak wszystkie wydatki związane z zakwaterowaniem i sprzątanie wliczył do rachunku, więc zaczęliśmy się przygotowywać do bankietu na trzysta osób. Z hotelu „Steiner” wypożyczyliśmy kelnerów i oberkelnerów, a pan Szroubek tego dnia zamknął swój hotel i wypożyczył nam swoich kelnerów, no a z Zamku przyszyli detektywi, ci sami, którzy wozili ze mną Bambino di Praga. Przywieźli ze sobą trzy stroje kucharzy i dwa kelnerskie fraki i natychmiast się przebrali, żeby w nich penetrować i poniuchać w kuchni, dopilnować, żeby nikt cesarza nie otruł, a z kolei kelnerzy zlustrowali pomieszczenia restauracyjne, z których najlepiej by się miało cesarza na oku. Szef kuchni z szefem kancelarii i panem Brandejsem układali menu dla trzystu gości. Bile sześć godzin głowili się nad tyra menu, a potem pan Brandejis kazał załadować swoje chłodnie pięćdziesięcioma udźcami cielęcymi, sześcioma krowami na zupe, trzema żrebiętami na befsztyki plus jeden wałach na sos, sześćdziesięcioma wieprzkami, każdy o wadze nie więcej jak sześćdziesiąt kilo, dziesięcioma prosiakami, trzystoma kurczakami, nie licząc już kozła i dwóch jeleni. Więc wtedy z panem oberem Skowronkiem pierwszy raz zszedłem do naszych piwnic, gdzie piwniczny pod okiem obera przeliczył zapasy win, koniaków i innych trunków... Oslupiałem, bo ta piwnica była zaopatrzona

tak, jakbyśmy byli firmą Oppelt, hurtownicy w handlu winem i wódkami. Pierwszy raz widziałem całą ścianę ze sterczącymi butelkami Heinkel Trocken i musujących szampanów, od Veuve Clicot aż po firmę Deinhardt z Koblencji, całe ściany koniaków Martel i Hennessy, setki butelek najprzeróżniejszych gatunków szkockiej whisky, widziałem też najprzedniejsze wina mozelskie i reńskie, i nasze bzeneckie z Moraw, i czeskie z Mielnika i Žernosek. Ober Skowronek przechodząc z piwnicy do piwnicy zawsze głąaskał szyjki butelek; robił to tak czule, jakby był alkoholikiem, chociaż on alkoholu właściwie nigdy nie pił, nigdy nie widziałem, żeby pan Skowronek pił, i teraz w piwnicy dotarło do mnie, że nie widziałem też, żeby sobie kiedyś przysiadł, zawsze stał, nawet papierosa palił na stojąco.

Tam, w piwnicy, przyjrzał mi się i wyczytał moje myśli. Musiało tak być, bo ni stad, ni zowąd powiedział: — Pamiętaj, jak chcesz zostać dobrym oberkelnerem, to nie wolno ci siadać, bo później nogi tak cię rozbolą, że robota zamieni się dla ciebie w piekło... — Piwniczny zgasił za nami światło i wyszliśmy z piwnicy. Tego samego dnia dotarła wiadomość, że abisyński cesarz ma ze sobą własnych kucharzy i właśnie u nas, właśnie dlatego, że mamy złote sztuce, jakie i on ma w Abisynii, jego kucharze robią abisyńską specjalność... Dzień wcześniej, dzień przed tą biesiadą przyjechali ci kucharze z tłumaczem, cali byli czarni i lśnili, ale było im zimno. Nasi kucharze mieli być pomocnikami, na co szef kuchni nadał się, odwiązał fartuch i poszedł sobie obrażony, ale to nic. Ci kucharze z Abisynii zaczęli gotować kilkaset jajek na twardo i śmiali się przy tym szczerząc zęby, a potem przywieźli dwadzieścia indyków i piekli je w naszych piekarnikach, a w wielkich misach rozrobili jakieś nadzienie, do którego potrzebowali trzydzieści koszy bułek, i garściami sypali do niego przyprawy i pietruszkę, która przywieźli na tacze. Nasi kucharze ją posiekali i wszyscy byliśmy ciekawi, co teraz te czarne chłopaki robią. Od czasu do czasu chciało im się pić, więc nosiliśmy im pilzneńskie piwo, które oni wychwalali i dawali nam kosztować ichniego likieru; z jakichś traw toto było, takie odurzające i pachnące pieprzem i mielonym zielem angielskim. A potem tośmy się wystraszyli, bo kazali sobie przywieźć dwie wypatroszone antylopy, które wcześniej kupili w zoo. Szybko je oprawili i piekli te antylopy w największych, jakie ze sobą mieli, rondlach, rzucali pod nie całe kostki masła, sypali z woreczków te swoje przyprawy, a myśmy musieli otworzyć wszystkie okna, bo tyle się tam zrobiło pary. Potem wkładali do antylop na wpół upieczone indyki z nadzieniem, wolne miejsca wypełnili setkami jajek na twardo i piekli to wszystko razem. A później cały hotel o mało nie zasłabł z wrażenia i nawet samego szefa strach obleciał, bo na coś takiego nie był przygotowany. Kucharze przywieźli przed hotel żywego wielbłąda i chcieli go tam zaszlachtować, a tegośmy się właśnie obawiali, tyle że tłumacz uprosił pana Brandejasa, bo zjawili się dziennikarze i oni sprawili, że nasz hotel stał się punktem zainteresowania prasy. Więc związali tego wielbłąda, który całkiem wyraźnie i cienko pobekiwał „nieee, nieeeee”, znaczy, żeby go nie podrzynali, ale jeden kucharz zarznął go ko-szernym nożem i podwórze zrobiło się pełne krwi. I już wędrował wielbłąd nogami w górę, oni go wybebeszah nożem, a potem już bez nóg wyfiletowali, podobnie jak wcześniej antylopy, i przywieźli trzy wozy drewna. Szet musiał wezwać strażaków, którzy stali w

potowiu z sikawką i patrzyli, jak ci kucharze szybko złożyli ogień, takie duże ognisko jak do wyrobu węgla drzewnego, a kiedy ogień przygasł i zostały rozżarzone węgle, obracali rożnem na trójnogu opiekając wielbłąda w całości. Jak już byli z tym prawie gotowi, wstawiali do wielbłąda dwie antylopy, w których w charakterze nadzienia były indyki, a w nich też już było nadzienie, i jeszcze ryby, w puste miejsca wpakowali jajka, ciągle sypiąc te swoje przyprawy i pijąc piwo, bo wciąż im było zimno, nawet przy tym ogniu, zupełnie jak furmani z browaru, którzy, żeby się w zimie ogrzać, piją zimne piwo. I ci czarni kucharze, kiedy nakryto dla trzystu gości i auta zaczęły już ich zwozić, a portierzy otwierali limuzyny, ci Murzyni zdążyli na podwórzu nie tylko upiec prosięta i barany, ale też w kotłach nagotować zupy z takiej ilości mięsa, więc szef przestał żałować, że zrobił tak duże zapasy... A później przyjechał sam Hajle Sellasje w towarzystwie premiera i naszych generałów, i abisyńskie wojskowe tuzy, wszyscy obwieszani orderami, ale cesarz przyjechał w białym uniformie, bez orderów, na luzie, i tym nas wszystkich zjednał, a członkowie jego rządu czy jacyś naczelnicy tamtejszych plemion byli w pstrokatych narzutach, niektórzy mieli ze sobą wielkie miecze, ale kiedy siadali, było widać, że mają dobre maniery, tacy byli nieskrępowani. We wszystkich salach hotelu „Paryż” były nakryte stoły, przy każdym talerzu lśniły złote sztucce, komplety widelców, noży i łyżeczek. A potem premier serdecznie powitał Hajlego, ten odpowiedział, i brzmiało to jak szczeknięcie, a tłumacz przetłumaczył, że abisyński cesarz pozwala sobie zaprosić na abisyński obiad... Jeden z tych w perkalowym stroju, grubas owinięty dziesięcioma chyba metrami materiału, zaklaskał, a my zaczęliśmy roznosić przystawki, które czarni kucharze przygotowali w naszej kuchni, cielecinę na zimno w czarnym sosie. Polizałem tyle, co mi na palec skapnęło tej papki, i zakrzusłem się, taki to był silny ekstrakt. I kiedy kelnerzy elegancko rozstawili talerzyki, po raz pierwszy zobaczyłem, jak uniosły się nasze złote widelce, trzysta złotych widelców i noży błysnęło w restauracyjnych salach... Oberkelner dał znak każąc nalewać do kieliszków mozelskiego wina, i wtedy nadeszła moja chwila, bo zauważyłem, że zapomnieli nalać wina samemu cesarzowi. Wziąłem butelkę z serwetką, sam nie wiem, skąd mi to przyszło do głowy, i podszedłem do cesarza, przyklękłem na jedno kolano jak ministrant i ukloniłem się. Kiedy wstałem, wszyscy na mnie spojrzeli, a cesarz na moim czole zrobił znak krzyża, tak mnie pobłogosławił, a ja nalałem mu wina... Za mną stał oberkelner hotelu „U Szroubków”, ten, który się zagapił, a ja struchlałem: co ja najlepszego zrobiłem? Więc odszukałem wzrokiem pana ohera Skowronka i zobaczyłem, jak skinął głową uradowany, że byłem taki spostrzegawczy... Odstawiłem butelkę przyglądając się, jak cesarz je. Umoczył w sosie kawałek zimnego mięsa, jakby chciał tylko skosztować, po czym skinął głową, żując powoli, a później skrzyżował widelec z nożem, co oznaczało, że już ma dość... upił trochę wina i długo wycierał brodę serwetką... A potem przyszła kolej na zupę i znów ci kucharze tak się uwijali, pewnie dlatego, że wciąż było im zimno i pili piwo, żeśmy nie nadawali nadstawiać filiżanek na tę zupę, tylko chochelki migwały, tak że nawet przebrani za kucharzy detektywi nie mogli się temu nadziwić. I jeszcze zapomniałem, że ci tajniacy kazali się sfotografować na pamiątkę z czarnymi kucharzami, a tymczasem nasi kucharze na podwórzu powoli obracali nad rozżarzonymi węglami tego

faszzerowanego „wielbłąda, którego pocierali moczonym w piwie wiechciem mięty; to był pomysł czarnych kucharzy. Ten ichni szef kucharzy cieszył się z tego konceptu i powiedział, a tłumacz to przetłumaczył, że za to mogą liczyć na Order Marii Teresy. A kiedy już to danie było gotowe, opadło napięcie ze wszystkich kucharzy, pomocy kuchennych, kelnerów, pikolaków i oberkelnerów, bo ci czarni kucharze uporali się ze wszystkim, chociaż ciągle wlewali w siebie piwo... A ja zostałem wyróżniony, bo sam cesarz, jak mi to powiedział tłumacz, wybrał mnie do serwowania jedzenia i napojów cesarzowi. Więc za każdym razem klękałem we fraku na jedno kolano, potem podawałem i cofałem się, ale wciąż dawałem baczenie, żeby w porę na dany znak dolać albo zabrać talerz. Tylko że cesarz jadł mało, ledwie muskał wargami, wahał niczym jakiś nadworny degustator, odrobinę przekąsił i moczył usta w winie, i gwarzył z premierem. A goście im dalej siedzieli od tego, który to przyjęcie wydawał, im mniejsze mieli godności, tym jedli i pili więcej, i coraz to żarłoczniej, a ci na samym końcu stołu i we wnękach albo w sąsiednich pomieszczeniach, ci jedli tak, jakby wciąż byli głodni, i nawet bułki zjadali, a jeden to zjadł posypane solą i pieprzem płatki cyklamenu z trzech doniczek... Detektywi we frakach stali w rogach i po kątach, niby że są kelnerami, i trzymając przerzucone przez zgięte ramię ściereczki popatrywali, żeby ktoś nie ukradł naszych złotych sztuców... I nadszedł najważniejszy moment obiadu, czarni kucharze naostrzyli długie szable, takie koszerne noże, potem dwaj Murzyni unieśli na ramionach ten rożen, trzeci wiechciem mięty przetarł pieprzny wielbłądzi brzuch, i weszli z tym do restauracji... Przeszli przez salę, cesarz wstał i wskazał ręką na pieczonego -wielbłąda, a tłumacz przetłumaczył, że to specjalność afrykańska i arabska... skromny poczęstunek od abisyńskiego cesarza... Dwaj pomocnicy „wnieśli do hotelu dwie stolnice używane przy świniobiciu, zestawili je, zbili dwiema klamrami i ułożyli wielbłąda na tym wielgachnym stole. Potem przynieśli noże i długimi cięciami przepołowili wielbłąda raz, później drugi, i buchnął niesamowity zapach, a w każdym płacie był kawałek wielbłąda i antylopy, a w tej antylopie indyk, a w indyku ryby i nadzienie, i zapieczone wieńce gotowanych jaj... Kelnerzy nadstawiali talerze i podawali tego pieczonego wielbłąda, wpięciu cesarzowi, a potem następnym. Ukłąłem, cesarz oczyma dał mi znak i podałem mu tę ich narodowa potrawę, która musiała być wyśmienita, bo wszyscy goście ucichli, i słychać było tylko cudowny szczeł naszych złotych widelców i noży... A później stało się coś, co jeszcze i nam, i mnie, i chyba nawet panu oberowi Skowronkowi nigdy się nie przydarzyło. Najpierw pewien radca rządowy, znany smakosz, był tak zachwycony potrawą, tym wielbłądem, że wstał i zaczął krzyczeć. Krzyczał, a jego twarz wyrażała najwyższy zachwyt, ale tak mu to smakowało, że nie zadowolił się tym wyczynem i zaczął się niby gimnastykować, jakby był na zlocie „Sokoła” czy coś w tym rodzaju, a potem bił się w piersi, po czym znowu wziął kawałek umoczony w sosie i teraz to danie natchnęło go tak, że nawet czarni kucharze z koszernymi nożami zastygli, patrząc na cesarza, ale on był chyba do takich scen przyzwyczajony, bo tylko się uśmiechał, więc czarni kucharze też się uśmiechnęli; uśmiechali się także, kiwając przy tym głowami, ci naczelnicy zawinięci w cenne materie we wzorki, jakie miała babcia na fartuchach albo na pstrych taftach. A radca rządowy nie wytrzymał, wybiegł z krzykiem do

holu, za chwilę biegiem wrócił, znowu nabił kawałek na widelec i potem wyciął największy numer, bo pognał krzycząc, wyskoczył przed hotel i tam pokrzykiwał, tańczył, piał z uciechy i bił się w piersi, potem wbiegł z powrotem, a w jego głosie był śpiew, a w jego nogach taniec dziękczynny za tak dobrze przyrządzonego wielbłąda, i ni stąd, ni zowąd pokłonił się trzem kucharzom głęboko, najprzód z rosyjska, w pas, a później aż do samej ziemi. Z kolei drugi łasuch, pewien emerytowany generał, ten tylko spoglądał w sufit i wydawał z siebie przeciągły, tęskny dźwięk, takie przeciągłe, błogie kwilenie, rosnące w kadencji z każdym nowym kęsem. I przeżuwał, kwilił i popiskiwał rozgryzając to mięsko, a kiedy łyknął żernoseckiego rieslinga, wyprostował się i zakwilił tak, że nawet czarni kucharze zrozumieli, o co chodzi, i zawołali radośnie: „Jes, jes, samba, jes.” I to chyba było przyczyną tego, że atmosfera zrobiła się zaraz sympatyczniejsza, premier i cesarz uścisnęli sobie ręce, a na to wbiegli fotografowie i wszystko obfotografowali, bez przerwy trzaskało ostre światło i w świetle tych bengalskich ogni nasi i abisyńscy dostojnicy ściskali sobie ręce...

Wychodząc Hajle Sellasje uklonił się, wszyscy goście też się kłaniali, generałowie obu armii wymieniali ordery, nawzajem się dekorowali, radcy rządowi przypinali sobie do fraków gwiazdy i przepasywali piersi szarfami, które dostali od cesarza, a ja, ten najmniejszy, ni stąd, ni zowąd zostałem wzięty pod rękę i podprowadzony do kanclerza cesarskiego, który uścisnął mi rękę za wzorową obsługę i przypiął mi co prawda ten najmniejszy ranga, ale za to największy rozmiarami order „Za Zasługi dla Tronu Cesarza Abisynii”, z niebieską szarfą. Stałem tak z tym orderem przypiętym do klapy fraka i z niebieską szarfą przełożoną przez piersi, spuściłem oczy i wszyscy mi tego zazdrościli, a najbardziej, jak zauważyłem, ten ober z hotelu „U Szroubków”, który właśnie miał dostać ten order. Widząc jego spojrzenie najchętniej bym mu go dał, bo brakowało mu tylko parę lat do emerytury i chyba czekał już tylko na to, jako że z takim orderem można by otworzyć hotelik gdzieś na Pogórze Karkonoskim albo w Czeskim Raju, hotelik „Pod Orderem Cesarstwa Abisynii”, ale żurnaliści i reporterzy obfotografowali mnie i zapisali moje nazwisko, więc chodziłem z tym orderem i niebieską szarfą, zbieraliśmy statki, sztucce i talerze i odnosili to wszystko do kuchni. Pracowaliśmy jeszcze do późnej nocy, a kiedy kobiety pod nadzorem detektywów przebranych za kucharzy i kelnerów umyły i powycierały trzysta kompletów złotych sztucców, pan ober Skowronek przeliczył je przy pomocy otera z hotelu pana Szroubka, tylko że musieli liczyć je jeszcze raz, potem znowu, a w końcu sam szef liczył małe łyżeczki do kawy. Przeliczył je i zbłądł, bo brakowało jednej łyżeczki, więc przeliczył raz jeszcze, i później zaczęli się zastanawiać, a ja zauważyłem, jak ten ober z hotelu pana Szroubka coś szefowi cicho powiedział, i tamci zrobili zaskoczone miny. Tymczasem wypożyczeni kelnerzy umyli się i teraz poszli do bocznych sal, gdzie zostało masę jedzenia, więc najpierw oni, a potem też kucharze i kelnerki, wszyscy przyszli, ale nie żeby się objadać, tylko w spokoju poprobować tych smakołyków. Wszyscy przyglądali się kucharzom, którzy analizowali smak potraw i zgadywali przy tym, z jakich przypraw zrobione były przeróżne sosy, i jak trzeba się zabrać do tej roboty, żeby mogło powstać takie przepyszne jedzenie, tak żeby radca rządowy Konopasek, który był degustatorem potraw na praskim Zamku, mógł krzyczeć z zachwytem... Ja jednak prawie nie jadłem,

wciąż widziałem, że szef mnie nie zauważa, że nie cieszy się z tego mojego nieszczęsnego orderu i że ober od Szroubka rozmawia po cichu z naszym oberem, panem Skowronkiem. I nagle zaświtało mi, że pewnie rozmawiają o tej złotej łyżeczce, na pewno myślą, że to jaja ukradłem. Nalałem sobie kieliszek koniaku, który był już tylko dla nas, i wypilem. Wlałem jeszcze raz i podszedłem do mojego obera, który obsługiwał angielskiego króla. Zagadnąłem go, czy się na mnie nie gniewa, i jeszcze powiedziałem, że dostałem ten order niezasłużenie, bo powinien go dostać ober od Szroubka, albo on, albo nasz szef. Ale nikt mnie nie słuchał, a ja spostrzegłem, jak pan Skowronek przygląda się mojej muszce, i to tak wnikliwie, że poczułem na sobie to samo spojrzenie co przed paroma dniami, kiedy patrzył na mój krawat, ten biały w niebieskie cętki, jak kropki na skrzydłach pazia królowej, ten krawat, który bez zezwolenia wypożyczyłem sobie z szafy, gdzie przechowywana jest odzież i przedmioty zapomniane przez naszych gości. I w oczach pana obera zobaczyłem, że skoro bez przyzwolenia wziąłem ten krawat, to dlaczego nie miałbym sobie przywłaszczyć złotej łyżeczki, którą jako ostatni odnosiłem ze stołu samego cesarza Abisynii. I rzeczywiście tak było, to ja ją odnosiłem i włożyłem do zlewozmywaka. I oblał mnie straszny wstyd, kiedy tak stałem z wyciągniętym kieliszkiem i chciałem się trącić z oberem, który był dla mnie na świecie tym największym i najwyższym, wyższym od samego cesarza, od prezydenta nawet, a on uniósł kieliszek, ale zawahał się, wciąż miałem nadzieję, że się ze mną trąci na okoliczność tego mojego nieszczęsnego orderu, ale on, który zawsze wszystko wiedział, teraz nie wiedział nic i trącił się z oberem od Szroubka, który był jego rówieśnikiem, a na mnie już nawet nie spojrzeł. Odszedłem więc ze swoim kieliszkiem, wypilem go i wtedy wszystko zaczęło mnie palić, czułem, że cały płonę, i nalałem sobie jeszcze jeden koniak... A potem, tak jak stałem, wybiegłem w noc przed nasz hotel, przed mój były hotel, bo nie chciałem już być na tym świecie. Wsiadłem do taksówki, taksówkarz zapytał, dokąd chcę jechać, a ja na to, żeby mnie zawiózł do lasu, że się chcę nalykać świeżego powietrza... Pojechaliśmy, wszystko przesuwano się do tyłu, najpierw światła, mnóstwo światła, potem to tu, to tam latarnia, a później już nic, tylko czasem na zakręcie mignęła mi z taksówki Praga, wreszcie stanęliśmy pod lasem... Zapłaciłem taksówkarzowi, a on przyglądając się mojemu orderowi i szarfie powiedział, że się nie dziwi mojemu zdenerwowaniu, że zna te sprawy, bo wielu oberkelnerów każe się wieźć do parku na Stromowce albo gdzie indziej, żeby sobie pospacerować... Roześmiałem się i oświadczyłem, że nie idę na spacer... ale że się chyba powieszę. Nie uwierzył mi. — Poważnie? — zaśmiał się. — A na czym? — Fakt, nie miałem na czym. — Na chusteczce do nosa — odparłem. — Taksówkarz wysiadł z auta, otworzył bagażnik, chwilę w nim szperał, a potem w świetle reflektora podał mi sznur, taki powróż. Uśmiechnął się, puścił do mnie oko i przekładając sznur przez pętlę z uśmiechem radził mi, jak się mam zgrabnie powiesić... A potem jeszcze opuścił szybkę i zakrzyknął: — Szczęśliwego powieszenia! — Odjechał pozdrawiając mnie światłami, a zanim zniknął za laskiem, jeszcze zatrąbił... Ruszyłem leśną ścieżką i po chwili usiadłem na ławeczce, i kiedy znowu to wszystko raz jeszcze rozważyłem, a przede wszystkim stwierdziłem, że pan ober już mnie nie lubi... powiedziałem sobie, że życie na tym świecie jest już nie dla mnie, bo gdyby chodziło o dziewczynę, to pal sześć, ale tu szło o obera, który

obsługiwał angielskiego króla i który myśli, że byłem zdolny ukraść łyżeczkę. Fakt, brakowało jej, ale przecież mógł ją ukraść ktoś inny. Bez sensu to wszystko... Czułem w palcach ten sznur, a potem zrobiło się tak ciemno, że musiałem iść po omacku i obmacywałem drzewa, które były „właściwie drzewkami. Później zauważyłem, że przedzieram się przez jeszcze mniejsze świerczki, taki zagajniczek. I wszedłem do lasu, gdzie były same brzozy, wysokie brzozy, tam trzeba by mi drabiny, żebym dosięgnął! którejś z gałęzi... A potem doszedłem do wniosku, że to nie takie proste, bo kiedy trafiłem na porządny las, gdzie gałęzie były dość nisko, były to sosny, ale stare gałęzie sterczały teraz tak, że musiałem czołgać się na czworakach... Więc pełzałem, a ten order obijał mi się po brodzie i twarzy, przypominając mi w ten sposób sprawę złotej łyżeczki, która zginęła w hotelu. W pewnym momencie zatrzymałem się, wciąż na czworakach, i znowu walczyłem to wszystko, i raz jeszcze dotarłem do tego bolesnego miejsca w mózgu, którego nie mogłem ominąć, do tego, że pan Skowronek już mnie nie lubi, że już nie będzie mnie wychowywał, że nie będziemy już się zakładać o to, co zamówi ten czy tamten gość albo czego zamawiać nie powinien, jakiej jest narodowości ten, który akurat wszedł... I jęknąłem, zupełnie jak radca Konopasek, kiedy przełknął parę kęsów tego pysznego nadziewanego wielbłąda... Postanowiłem, że się powieszę, ale kiedy uklękłem, coś dotknęło mojej głowy... Chwilę zostałem na kolanach, potem podniosłem ręce i wymacałem buty, czubki dwóch butów. Pomacałem trochę wyżej i wyczułem dwie kostki i pończochy na zimnych łydkach... Wstałem i mój nos znalazł się na wysokości pasa jakiegoś wisielca. Zląkłem się wtedy i pogałem przedzierając się przez stare, ostre gałęzie, raniąc twarz i uszy, ale przedostałem się na ścieżkę i tam padłem zemdłony, ze sznurem w ręce... Obudziły mnie światła latarek i ludzkie głosy. Otworzyłem oczy i widziałem, a właściwie nie tyle widziałem, co wiedziałem, że leżę w objęciach pana obera Skowronka i że on mnie głaszcze, a ja powtarzam bez przerwy: — Tam, tam... — i znaleźli tam wisielca, który uratował mi życie, bo niewiele brakowało, żebym się powiesił kawałek od niego albo razem z nim. Pan ober głaskał mnie po włosach i ocierał krew, a ja rozplakałem się i zawołałem: — Ta złota łyżeczka! — Pan ober szepnął: — Nie bój nic, znalazła się... — A ja na to: — Gdzie? — Woda ze zlewozmywaka nie spływała — odparł cicho — więc porozkręcali wszystko i ta łyżeczka siedziała już w kolanku... przebacz mi... zobaczysz, znowu wszystko będzie dobrze, tak jak dawniej... — Ale skąd wiedzieliście, gdzie jestem? — mówię. — Ober powiedział, że taksówkarzowi nie dawało to spokoju, więc zajechał pod hotel i przepytывał kelnerów, który z nich miałby powód, żeby się powiesić. Akurat hydraulik przyniósł tę łyżeczkę i ober, który obsługiwał angielskiego króla, od razu zorientował się, że to właśnie ja, i zaczęli mnie szukać...

No i znów miałem się w hotelu „Paryż” niczym pączek w maśle, pan ober Skowronek przekazał mi nawet klucze od piwnic z winem, likierami i koniakami, jakby chciał wynagrodzić mi to wszystko, co wydarzyło się przez tę złotą łyżeczkę. Ale szef nigdy mi nie darował, że dostałem order z szarfa, i traktował mnie jak powietrze, chociaż zarabiałem wtedy tyle pieniędzy, że pokryłem nimi już całą podłogę. Co trzy miesiące odnosiłem do kasy komunalnej całą podłogę stukoronówek, bo umyśliłem sobie, że zostanę milionerem, że dorównam wszystkim, że kiedyś wynajmę albo kupię hotelik, jakąś

niedużą chałupkę gdzieś w Czeskim Raju, i ożenię się z bogatą panną, a kiedy złożę do kupy pieniądze swoje i mojej żony, to będę w poważaniu jak inni hotelarze, tak że nawet jeśli nie będą mnie szanować jako człowieka, jednak będą musieli mnie poważać jako milionera, właściciela hotelu i innych nieruchomości, po prostu zmuszę ich, żeby się ze mną liczyli...

No tak, ale znów przydarzyła mi się niemiła historia, bo już po raz trzeci stawałem do poboru i tym razem także nie wzięli mnie do wojska, jako że mierzyłem za mało, i chociaż starałem się przekupić panów oficerów, to nie zostałem żołnierzem. W hotelu wszyscy się ze mnie naśmiewali, nawet sam pan Brandejs o to wypytywał, przez co znowu mnie ośmieszył, choć wiedziałem, że jestem mikrus i że mikrusem będę do samej śmierci, bo już nie urosnę, co najwyżej mogłem sobie dodać wzrostu tak, jak robiłem to do tej pory, czyli przez podwójne zelówki, a do tego nieustanne wyciąganie głowy, jakbym miał za mały kołnierzyk przy fraku. To była moja jedyna nadzieja, że wydłuży mi się szyja, jeśli będę wciąż nosił wysokie kauczukowe kołnierze...

Zacząłem też pobierać lekcje niemieckiego i chodzić na niemieckie filmy, czytałem niemieckie gazety i wcale nie dziwiło mnie, że praskimi ulicami w białych pończochach i zielonych kamizelkach przechadzali się studenci, a w końcu właściwie tylko ja obsługiwałem w hotelu niemieckich gości. Wszyscy nasi kelnerzy odnosili się do nich tak, jakby nie znali niemieckiego, nawet sam ober Skowronek rozmawiał z Niemcami tylko po angielsku albo po francusku. Kiedyś w kinie nadepnałem jakiejś kobiecie na bucik, a ta zagadnęła po niemiecku, więc ja ją po niemiecku przeprosiłem, a potem odprowadziłem tę kobietę. Była ładnie ubrana, a ja, chcąc się jej odwdziżyć za to, że rozmawia ze mną po niemiecku, powiedziałem, że to straszne, co wyczyniają Czesi z biednymi niemieckimi studentami, że na własne oczy widziałem, jak w alei Narodowej ściągnęli im z nóg białe pończochy, a na dwóch niemieckich studentach potargali brązowe bluzy. Odparła, że mam właściwe podejście, bo Praga jest dawną częścią Rzeszy, a zatem prawo do poruszania się po niej i noszenia się zgodnie ze swymi zwyczajami jest prawem niezbywalnym, i że cały świat przyjął postawę obojętną, ale wybije godzina, a z nią nadejdzie ich dzień, bo Wódz tak tego nie zostawi, przyjdzie i wyzwoli „wszystkich Niemców od Szumawy aż po Karpaty... Kiedy mówiła, zauważyłem, że patrzę jej prosto w oczy i że nie muszę podnosić wzroku, jak to bywało z innymi kobietami; a ja to zawsze miałem pecha, bo wszystkie kobiety, które przewinęły się w moim życiu, wszystkie były nie tylko wyższe ode mnie, ale na dodatek prawdziwe olbrzymki wśród kobiet, tak że kiedyśmy stali na wprost siebie, to ja miałem wzrok na poziomie szyi albo biustu, a teraz widziałem, że ona jest identycznie maleńka jak ja i że ma zielone, jarzące się oczy, i jest pochlapana piegami zupełnie tak samo jak ja, ale brązowe piegi na jej twarzy współbrzmiały z tymi zielonymi oczyma tak cudownie, że była to dla mnie chodząca piękność. Spozrzegłem też, że i ona przyglądała mi się tak samo, a miałem akurat na sobie ten piękny biały krawat w niebieskie cętki, tyle że ona wpatrywała się w moje żółte jak słoma włosy i duże jak u cielęcica, niebieskie oczy, a potem powiedziała, że Niemcy z Rzeszy tak bardzo pragną słowiańskiej krwi, tak bardzo pragną tych równin i słowiańskiej duszy, że już od tysiąca lat po dobroci, ale i gwałtem chcą się z tą krwią ożenić, i zdradziła mi, że wielu z pruskiej szlachty ma w swej krwi

słowiańską i że ta krew w oczach innych junkrów czyni tych szlachciców bardziej wartościowymi od pozostałych. Przytaknąłem dziwiąc się, że mnie tak rozumie, bo to nie było wypytywanie gościa, co by zjadł na obiad czy kolację; ja musiałem konwersować z tą panią, której nadepnałem na czarny bucik, więc mówiłem — trochę po niemiecku, a bardziej po czesku, ale ciągle wydawało mi się, że mówię po niemiecku, w tym niemieckim duchu... I tak dowiedziałem się, że panią na imię ma Liza, że pochodzi z Chebu, że jest tam nauczycielką gimnastyki i że jest mistrzynią okręgu w pływaniu. Rozchyliła płaszczyk i miała na piersiach odznakę, kółeczko z czterech F, niczym czterolistny kwiatek, i uśmiechnęła się do mnie wciąż patrząc na moje włosy. Speszyłem się, ale ona zaraz mnie skomplementowała, że mam najpiękniejsze na świecie blond włosy, a mnie aż z tego zatkało. Powiedziałem jej potem, że jestem oberem w hotelu „Paryż”. Powiedziałem to spodziewając się zaraz najgorszego, ale ona położyła rękę na moim ramieniu, a kiedy mnie dotknęła, jej oczy rozbliły tak, że się wystraszyłem, ona zaś stwierdziła, że jej ojciec ma w Chebie restaurację „Amsterdamską”... I umówiliśmy się do kina na Miłość na trzy czwarte. Przyszła w tyrolskim kapelusiku i w ogóle ubrana była tak, jak to lubiłem od dzieciństwa, w takim zielonym kaftaniku, właściwie szarym z zielonym kołnierzem, o-zdobionym haftowanymi dębowymi gałązkami. Było przed Bożym Narodzeniem i na dworze padał śnieg. A potem parę razy przyszła do mnie, do hotelu „Paryż”, na obiad albo kolację. Kiedy była pierwszy raz, pan ober Skowronek spojrzał na nią, potem na mnie i starym zwyczajem weszliśmy do wnęki. Roześmiałem się i mówię: — To jak, założymy się, co sobie ta panią zamówi? — A widziałem, że znów przyszła w tym kaftaniku, i dzisiaj dodatkowo w białych pończochach. Wyciągnąłem dwudziestokoronówkę i położyłem na pomocniku, ale pan ober Skowronek spojrzał na mnie obco, identycznie jak wtedy, kiedy chciałem się z nim tracić tamtego wieczora, kiedy to obsługiwałem abisyńskiego cesarza i zgubiła się złota łyżeczka. Trzymałem palce na tej dwudziestce, a on specjalnie pozwolił mi się cieszyć, że niby wszystko jest w porządku, więc też wyjął dwadzieścia koron i powoli położył je, ale zaraz prędko schował do pugilaresu, jak gdyby chciał pokazać, że te jego pieniądze mogą się od moich pobrudzić. Spojrzał raz jeszcze na pannę Lizę i machnął ręką, i od tej pory już się do mnie nie odzywał, a po fajrancie zabrał mi klucze od magazynu i patrzył na mnie tak, jakby mnie wcale nie było...jakby on nie obsługiwał angielskiego króla, a ja abisyńskiego cesarza. Ale mnie było już wszystko jedno, bo widziałem i wiedziałem, jak wszyscy Czesi są niesprawiedliwi dla Niemców. Zacząłem się wtedy wstydzić nawet tego, że w ogóle należałem do „Sokoła”, bo pan Skowronek był aktywnym sokołem, podobnie jak pan Brandejs, wszyscy zawzięci na Niemców, a przede wszystkim na pannę Lizę, która przyszła do mnie, wyłącznie do mnie, a ja nie mogłem jej obsłużyć, bo jej stół należał do rewiru innego kelnera. Przyglądałem się, jak ją po chamsku obsługiwali, jak przynieśli jej zimną zupę, w której kelner moczył wcześniej kciuki... Traf chciał, że przyłapałem za drzwiami kelnera na tym, jak splunął do talerza z faszerowaną cielęcina. Podskoczyłem, żeby mu ten talerz zabrać, ale kelner przylepił mi talerz do twarzy, potem mi w nią splunął, a kiedy zgarnąłem z oczu stygnącą galaretowatą maź, splunął raz jeszcze, żeby mi widział, jak mnie nienawidzi. I to był jakby jakiś sygnał, bo cała kuchnia zbiegła się do tych drzwi,

przybiegli też inni kelnerzy i każdy splunął mi w twarz, i pluli na mnie jeszcze długo, a w końcu przyszedł sam pan Brandejs i jako komendant „Sokoła” dzielnicy Stare Miasto splunął na mnie też i powiedział, że mnie zwalnia... a ja, taki opluty i utyłany sosem z pieczeni cielecej, wbiegłem do lokalu, do stołu panny Lizy, i pokazałem na siebie, obiema rękami pokazałem, co z jej powodu zrobili ze mną członkowie „Sokoła” i Czesi, a ona spojrzała na mnie, wytarła mi twarz serwetką i oświadczyła, że po czeskiej soldatesce niczego innego nie można się było spodziewać, ale za to, co dla niej wycierpiałem, ona mnie kocha...

A później przebrałem się, żeby ją odprowadzić, i kiedy wyszliśmy, zaraz przy Bramie Prochowej podbiegli czescy chuligani i tak zaprawili Lizę w twarz, aż jej ten tyrolski kapelusik poleciał na tory tramwajowe, a kiedy zacząłem jej bronić krzycząc po czesku: — Co wyrabiacie? I wy jesteście Czechami? Tfu! —jeden z tych bandziorów odepchnął mnie, dwóch chwyciło Lizę i przewróciło ją. Dwóch trzymało za ręce, a jeden podkasał jej spódnicę i z opalonych ud i tydek brutalnie ściągali białe pończochy. A ja, chociaż mnie bili, krzychałem: — Co wyrabiacie, czeska soldateska! — tak długo, aż nas puścili i odeszli, niosąc pończochy panny Lizy niczym jakiś biały skalp, białe trofeum. A my przez Bramę przedostaliśmy się na ryneček. Liza płakała i dyszała: — Czekaj no, bolszewicka hołoto, dostaniesz za swoje, tak zhańbić niemiecką nauczycielkę z Chebu!... — A ja czułem się w tej chwili jak wielki człowiek, ona mnie obejmowała, byłem taki rozgoryczony, że zacząłem szukać legitymacji sokolskiej, ale nie znalazłem jej, więc nie mogłem podrzeć... Naraz popatrzyła na mnie oczyma pełnymi łez i znów się rozplakała, i przytuliła swoją twarz do mojej, a potem całe ciało.

Wiedziałem już, że muszę ja chronić i bronić przed wszystkimi Czechami, którzy by tej małej Niemeczce z Egeru ¹chcieli coś zrobić, żeby jej nawet włos z głowy nie spadł, tej córce właściciela hotelu i restauracji „Amster-damska” z Chebu, który zeszłego roku jesienią został już przyłączony do Rzeszy, i całe Sudety powróciły do Rzeszy, do której należały przez tyle lat. No a teraz w sokolskiej Pradze dzieje się z biednymi Niemcami to właśnie, co sam na własne oczy widziałem i co tłumaczyło, dlaczego zabrane zostały Sudety i dlaczego to samo powinno przydarzyć się Pradze, gdzie było zagrożone i deptane życie i honor niemieckich obywateli...

A potem okazało się, że jestem zwolniony nie tylko z hotelu „Paryż”, bo nikt nie chciał mnie przyjąć nawet w charakterze praktykanta; za każdym razem na drugi dzień docierała wiadomość, że jestem sympatyzującym z Niemcami Czechem, a do tego sokołem, który sobie przygruchał niemiecką nauczycielkę gimnastyki. Długo byłem bez pracy, aż wreszcie przyszły niemieckie wojska, zajmując nie tylko Pragę, ale cały kraj... Dwa miesiące przedtem panna Liza zniknęła mi z oczu, pisałem do niej i nawet do jej ojca, ale wszystko na nic. A następnego dnia po zajęciu Pragi poszedłem na spacer i na Rynku Staromiejskim zobaczyłem, jak armia Rzeszy gotuje w kotłach smaczne zupy i rozdaje je w menażkach ludności. I kiedy się tak zapatrzyłem — kogóż to ja widzę w sukieneczce w prążki z czerwoną odznaką na piersiach i chochlą w ręce? Lizę. Nie zagadałem do niej patrząc przez chwilę, jak nalewa i z uśmiechem wręcza miski, aż wreszcie się ocknąłem i też ustawiłem się w kolejce, a

¹ Dawna nazwa Chebu

kiedy przyszła kolej na mnie, podała mi miskę ciepłej zupy. Popatrzyła na mnie i nie przestraszyła się, tylko ucieszyła i z dumą wypięła pierś, żebym podziwiał jej wojskowy strój frontowej siostry miłosierdzia czy co to był za mundur, a ja powiedziałem, że od tamtego czasu nie znalazłem pracy, od tamtego czasu, kiedy to stanąłem w obronie jej honoru, tam pod Bramą Prochową, wtedy, co miała na sobie białe pończochy. A ona poprosiła o zastępstwo i od razu powiesiła się na mnie, śmiała się rozradowana, a ja miałem wrażenie, ona chyba też, że właściwie tylko z powodu tych jej białych pończoch i tego, że opluli mnie w hotelu, że tylko dlatego armia Rzeszy zajęła Pragę. Spacerowaliśmy Przykopami, umundurowani żołnierze pozdrawiali pannę Lizę, a ja za każdym razem im się odklaniałem i właśnie tam wpadłem na pewien pomysł, Liza chyba też. Skręciliśmy za Bramę Prochową i przeszliśmy obok miejsca, gdzie trzy miesiące temu leżała na chodniku, a tamci ściągali z niej białe pończochy, potem weszliśmy do hotelu „Paryż”. Rozglądałem się, niby że szukam wolnego miejsca — wszędzie siedzieli już niemieccy oficerowie, ja stałem z panną Lizą w stroju siostry miłosierdzia, a kelnerzy i pan ober Skowronek wszyscy byli bladzi i w milczeniu obsługiwali niemieckich gości. Usiadłem przy oknie i po niemiecku zamówiłem kawę, wiedeńską białą kawę z kieliszkiem rumu, tę, którą podawaliśmy dawniej, na wzór hotelu „Sacher”, Wiener Kaffe bespritzer Nazi. Cudowne to było uczucie, kiedy zjawił się sam pan Brandejs, cały w ukłonach, a mnie ukłonił się szczególnie grzecznie, i ni stąd, ni zowąd zagadał. Mówił o tym niemiłym wydarzeniu i przeproszał... Aleja mu na to, że nie przyjmuję tych przeprosin, że jeszcze zobaczymy... A kiedy płaciłem panu oberowi Skowronkowi, powiedziałem: — No i widzisz pan, guzik to panu pomogło, że obsługiwałeś pan angielskiego króla... — Podniosłem się i wszedłem pomiędzy stoły, oficerowie armii niemieckiej pozdrawiali pannę Lizę, a ja oddawałem im ukłony, jakby te pozdrowienia przeznaczone były też dla mnie...

Tej nocy panna Liza wzięła mnie do siebie, ale najprzód byłem z nią w jakimś wojskowym kasynie na Przykopach, w jakimś brązowym domu. Piliśmy szampana za zajęcie Pragi, oficerowie przepijali do Lizy, do mnie nawet też, a ona za każdym razem opowiadała, jaki to byłem dzielny, że broniłem jej germańskiego honoru przed czeską soldateską, a ja kłaniałem się i dziękowałem za pozdrowienia i wzniesione kielichy, tyle że nie wiedziałem, bo i skąd, że te pozdrowienia przeznaczone były wyłącznie dla Lizy, a mnie ledwie tolerowali traktując jako dodatek do Lizy, przełożonej wojskowych sanitariuszek, jak dowiedziałem się z tytułowania przy toastach... Ale miałem takie cudowne uczucie, że mogę uczestniczyć w tej uroczystości, że jestem między rotmistrzami i pułkownikami, że jestem między młodymi ludźmi o identycznych niebieskich oczach i identycznych płowych włosach jak ja, który co prawda nie umiem porządnie po niemiecku, ale czuję się Niemcem, który niczym Śpiąca Królewna musiałem spotkać się z panną Lizą, nadepnąć jej na czarny bucik i przebudzić się, zupełnie tak jak to jest w tej bajce. A kiedy szliśmy z tej uroczystości dokądś, gdzie jeszcze nigdy nie byłem, Liza poprosiła mnie, żebym zajrzał do swoich akt, bo na pewno muszę mieć jakiegoś germańskiego przodka, a ja jej powiedziałem tylko tyle, że mój dziad ma na nagrobku wypisane Johann Detsche i że był dworskim koniuszym. Zawsze wstydziłem się tego koniuszego, ale kiedy Liza to usłyszała, to

jakbym urósł w jej oczach, bardziej, niż gdybym był czeskim hrabią. Wydawało się, że dzięki temu Detsche padły wszystkie mury i cienkie ściany, które nas dzieliły. Milczała całą drogę, potem otworzyła bramę starej kamienicy i stąpaliśmy po schodach, a ona na każdym piętrze całowała mnie długo i głaskała spodnie w kroku, a kiedy weszliśmy do jej pokoju, zapaliła na stole lampę i cała zwilgotniała, i oczy, i usta, a na jej oczach pojawiło się bielmo, taka błona. Przewróciła mnie na kanapę i znowu długo całowała, obmacała i przeliczyła językiem wszystkie moje zęby, nieustannie przy tym postępując i jęcząc niczym ciągle otwierana i zamykana przez wiatr furtka. A potem nie dało się już zrobić nic innego niż to, na co czekałem, z tym, że nie wyszło to ode mnie, tak jak bywało dawniej, ale od niej. To ona miała na mnie ochotę i pozwalała mi na wszystko. Rozbierała się powoli, patrząc, jak ja to robię, a myślałem, że skoro jest w wojsku, to musi mieć wojskową garderobę, jakąś halkę albo spód, że siostrzyczki z lazaretu na pewno noszą wyfasowaną bieliznę, ale ona miała wszystko identyczne jak panienki, które chodziły do hotelu „Paryż” na oględziny do panów maklerów, identyczne jak panienki u „Rajskich”. A potem nasze nagie ciała przylgnęły do siebie, wszystko zrobiło się jakieś takie ciekłe, jakbyśmy byli ślimakami przylepionymi do siebie oślizgłymi, wysuniętymi z muszli ciałami. Liza dygotała przeraźliwie, drżała cała, a ja po raz pierwszy poznałem, że jestem zakochany i kochany, było to coś całkiem innego niż dawniej. Wcale mnie nie prosiła, żebym uważał albo żebym był ostrożny, wszystko działo się tak najzupełniej po prostu, ruchy i scalenie, a potem droga pod górę, coraz jaśniej, aż wreszcie eksplozja światła i stłumionego rżenia i jęku... Później też się mnie nie bała, nawet przez chwilę. Wypięła brzuch w stronę mej twarzy i mocno objęła nogami głowę przy łonie, i nie wstydziła się choćby przez chwilę, ba, na odwrót, jakby to było całkowicie naturalne, uniosła się i pozwoliła, żebym długo lizał ją językiem, aż wreszcie wyprężyła się i dała mi posmakować, żebym językiem i na języku przeżył wszystko to, co odegrało się w jej ciele... Później, kiedy leżała na plecach z założonymi pod głowę rękami i rozrzuconymi nogami, gdzie płonęła kępka jasnych włosów przylizanych gładko do góry, moje oczy spoczęły na stole. Był na nim bukiet z wiosennych tulipanów i gałązek bazi, i jeszcze parę gałązek świerczyny. I ja, niczym we śnie — nie, nie pod wpływem wspomnienia, ono zjawiało się dopiero potem, dopiero potem przypomniałem sobie powracający motyw — zerwałem gałązki, połamane na kawałki i obłożyłem nimi jej przyrodzenie. Piękny był jej brzuch usłany dookoła gałązkami świerczyny. Spoglądała na mnie kątem oka, a kiedy pochyliłem się i pocałowałem ją między te gałązki, czując wokół ust kłujące igliwie, pochwyliła delikatnie moją głowę w dłoń, podniosła się i przycisnęła łono do mojej twarzy tak silnie, że aż jęknąłem z bólu, i kilkoma gwałtownymi ruchami brzucha osiągnęła rozkosz aż do przejmującego krzyku. Opadła na bok, oddychając tak ciężko, więc pomyślałem, że umiera albo zaraz umrze... Ale to nie było ani jedno, ani drugie. Po chwili nachyliła się nade mną rozczapierzając wszystkie dziesięć palców i odgrazając się, że wydrapie mi oczy i podrapie twarz i całe ciało, taka była wdzięczna i zaspokojona. I znowu rozczapierzała paznokcie i kurczowo je zaciskała, by po chwili upaść z płaczem, a z cichutkiego płaczu przejść do leciutkiego śmiechu... A ja byłem spokojny i cichy, leżałem zwiotczały i widziałem, jak zwinnymi palcami łamie resztki gałązek świerczyny, tych

złomów, tak jak to robią myśliwi, kiedy zastrzelą zwierzynę, i widziałem, jak okrywa mój brzuch, moją zwiotczałą męskość, całe łono miałem pełne gałązek. Potem podźwignęła mnie nieco i zaczęła głaskać rękami i całować pachwiny, i powoli doznawałem erekcji, aż naraz gałązki podniosły się i ukazał się między nimi mój członek. Rósł powoli zrzucając gałązki, ale Liza językiem wyrównywała je wokół, a potem uniosła głowę i wpakowała sobie moje przyrodzenie w całości do ust, aż gdzieś po przęłyk. Chciałem ją powstrzymać, ale ona przytłamsiła mnie odpychając moje ręce. Patrzyłem w sufit pozwalając jej robić ze mną to, na co miała ochotę. Nigdy bym się po niej nie spodziewał takiej dzikości. Żarłocznie, gwałtownymi ruchami głowy wyssała mnie aż do szpiku, nie odsuwając w ogóle gałązek, które kaleczyły jej usta do krwi, pewnie taki to już u Germanów zwyczaj... o mało co strach mnie nie obleciał... Później jej język sunął po moim brzuchu zostawiając na mnie lepka ślinę, zupełnie jak ślimak. Pocałowała mnie, a jej usta pełne były nasienia i świerkowego igliwia, ale ona nie traktowała tego jako czegoś nieczystego, na odwrót, dla niej to było ukoronowanie, jakby część mszy: — Oto jest moje ciało i moja krew, oto jest moja ślina, oto są twoje i moje soki, i to nas złączyło, i łączyć będzie na zawsze... — Tak mi powiedziała, bo wymieniliśmy to wraz z zapachem soków i owłosienia... Wystarczy wam już, co? Na dzisiaj koniec.

ALE GŁOWY NH ZNALAZŁEM

Posłuchajcie, co wam teraz powiem.

Dostałem nową posadę gdzieś w górach, nad Dieczinem, w pierw jako kelner, a później ober. Kiedym się w tym hotelu zjawił, obleciał mnie z lekka strach, bo spodziewałem się jakiegoś zwykłego hoteliku, a to było jakby małe miasteczko albo duża wieś pośród lasów i gorących leśnych źródeł. Powietrze ciągnęło tamtędy tak świeże, że można by je pakować do słoików. Wystarczyło wystawić się pod miły powiew i powoli łykać, niczym ryby skrzelami, a wtedy słyszelibyście całkiem wyraźnie, jak ten zmieszany z ozonem tlen przepływa przez wasze o-skrzela, jak wasze płuca i wnętrzości się napompują. To tak, jakbyście jeszcze przed przyjazdem tutaj, gdzieś na dole złapali gumę, i to dawno, a dopiero teraz w tym powietrzu napompuywali ją do tylu atmosfer, że jedzie się nie tylko bezpieczniej, ale i przyjemniej. Liza, która przywiozła mnie wojskowym samochodem, czuła się tutaj jak u siebie w domu i ciągle się uśmiechała, kiedy oprowadzała mnie długą aleją, tworzącą główny dziedziniec. Były tam takie niemieckie rogate posągi, figury królów i cesarzy, wszystko z marmuru albo skrzącego się jak cukier białego wapienia. Identyczne były też budynki administracyjne, niczym liście akacji odchodzące od głównej kolumnady. Tam zresztą wszędzie były pomniejszych kolumnady, tak że gdybyście chcieli wejść do któregoś z tych budynków, to musielibyście przejść szpalerem identycznych rogatych posągów, a wszystkie ściany także ozdobione były reliefami pokazującymi chlubną niemiecką przeszłość, kiedy to oni biegali jeszcze z toporkami i okrywali się w skóry; coś jak u Jiraska w Starych podaniach czeskich, z tym że odzienie było niemieckie. Liza wszystko mi tłumaczyła, a ja nie mogłem się nadziwić, i przypomniał mi się parobek z hotelu „Cichy Kącik”, który lubił opowiadać o tym, jak to niewiarygodne faktem się stało, bo właśnie mnie też coś takiego się przytrafiło. Liza z dumą rozwodziła się, że tutaj jest najzdrowsze powietrze w środkowej Europie i że jeszcze jedno takie miejsce znajduje się pod Pragą nad Ouholiczkami, i że jest to pierwszy europejski ośrodek hodowli uszlachetnionych ludzi, bo partia narodowosocjalistyczna doprowadziła tu do pierwszej krzyżówki czystej krwi niemieckich dziewcząt ze stuprocentowymi żołnierzami, zarówno z Heereswaffe, jak i SS — wszystko naukowo opracowane, i że kopuluje się tu codziennie w duchu narodowosocjalistycznym, podobnie jak na całego kopulowali starożytni Germanie, ale przede wszystkim przyszłe położnice noszące w swoich łonach nowych ludzi będą właśnie tu rodziły i dopiero po roku dzieci rozjadą się do Tyrolu, Bawarii i Szwarzwaldu albo nad morze, żeby tam w żłobkach i przedszkolach wychowywać się na nowego człowieka, z tym, że już bez matek, tylko pod nadzorem nowej szkoły. I Liza pokazała mi cudne maluśkie domki zbudowane w stylu wiejskich chałup, z kwiatami zwisającymi z okiennych parapetów, tarasów i drewnianych balkonów, i zobaczyłem też te przyszłe matki; jedna w drugą jak rzepy, same blondyny, dziewczyny zupełnie jak nie z tego stulecia, jakby nasze gdzieś spod Humpolca albo z Hany, i to z takich zapadłych wiosek, że nosiły jeszcze halki w paski i takie bluzki, jakie u nas noszą członkinie „Sokoła”, albo takie, jaką miała na obrazie Bożena, kiedy prała bieliznę i spodobała się przejeżdżającemu akurat

Oldrzychowi². Wszystkie miały piękne piersi i wszystkie idąc — bo tutaj te dziewczyny ciągle powolutku spacerowały, przechadzały się szpalerami, jak gdyby należało to do ich obowiązków — wpatrywały się w posągi rogatych wojowników, a czasami zatrzymywały się przed pięknymi niemieckimi królami i cesarzami i pewnie utrwały w swoich mózgach te twarze i postaci, no i dzieje tych sławnych ludzi z dawnych czasów. Później jeszcze dowiedziałem się — usłyszałem to z okien klas, w których odbywały się wykłady o tych legendarnych mężach i gdzie, jak mówiła Liza, przyszłe matki były egzaminowane z historii, którą musiały nie tyle znać, co wkuć na pamięć — że to należy do obowiązku tych kobiet i że te obrazy z głów dziewcząt powoli spływają przez ich ciało w dół: najprzód jawią się niczym kropla śliny, potem jak kijanka, jeszcze później jako coś w rodzaju rzekotki czy ropuchy, aż wreszcie robi się mały człowieczek, homunkulus, który powoli, miesiąc za miesiącem rośnie, a kiedy minie miesięcy dziewięć, staje się z niego człowiek, i wtedy cała ta edukacja i to oglądactwo obowiązkowo muszą się w tym nowym stworzeniu uzewnętrznić... Liza obeszła ze mną wszystkie kąty, cały czas pod rękę, i zauważyłem wtedy, że jak tylko zerknęła na moje białe włosy, od razu stąpała jakby weselej, a kiedy przedstawiła mnie swojemu przełożonemu jako Detsche, tak jak mój dziadek miał wypisane na grobie w Cwikowic, to wiedziałem już, że Liza marzy o tym, by spędzić tutaj tych dziewięć miesięcy, a nawet więcej, i że pragnie ofiarować Rzeszy potomka czystej krwi... Aleja, jak sobie wyobraziłem, że z tym przyszłym dzieckiem ma być identyczny cyrk jak u nas, kiedyśmy chodzili z krową do buhaja albo z kozą do rozplodowego kozła, i wpatrzyłem się w aleję wytyczoną przez kolumny i posągi, to zobaczyłem, że na jej końcu nic widzę nic, a -właściwie widzę coś, co napędza mi stracha, taki mały obłoczek przeraźliwej zgryzoty otaczającej mnie ze wszystkich stron... No i zaraz uprzytomniłem sobie — i to mnie uratowało — że przez mój mikry wzrost nie wzięli mnie w „Sokole” do drużyny, chociaż na poręczach i kółkach zwiąłem się nie gorzej niż ci wysocy, i jeszcze przypomniła mi się historia ze złotą łyżeczką w hotelu „Paryż” i to, jak wszyscy opluli mnie tylko dlatego, że zakochałem się w niemieckiej nauczycielce gimnastyki, ale teraz komendant socjalistycznego obozu dla wybrańców osobiście podał mi rękę i co więcej, kiedy zerknął na moje włosy koloru słomy, to uśmiechnął się miło, jakby zobaczył piękną dziewczynę albo łyknął ulubionego likieru czy wódki, a ja cały się wyprostowałem. I chociaż nie miałem twardego kołnierza przy fraku, to chyba pierwszy raz pomyślałem, że nie trzeba być dużym, wystarczy się za takiego uważać. Rozglądałem się spokojnie dokoła, bo przestałem być popychadłem, pikolakiem czy małym kelnerem, który od dziecka aż do końca życia miał zostać mikrusem i pozwalać mówić do siebie „kurduplu” i „gnojku”, i wysłuchiwać obelżywych docinków w związku z moim nazwiskiem Dziecień, bo tutaj byłem Herr Detsche, dla Niemców nie miało ono nic wspólnego z dzieckiem, na pewno kojarzyło im się z czymś innym, a chyba w ogóle nie potrafili go z niczym w niemczyźnie powiązać. I tak zacząłem być szanowanym człowiekiem, już tylko dzięki temu, że nazywałem się Detsche, a jak mi powiedziała Liza, takiego nazwiska zazdrościć mi będą nawet junkrzy z Prus i Pomorza, którzy w swoich zawsze mają ślad rdzenia słowiańskiego, tak samo jak ja, von Detsche, kelner sekcji piątej,

² Legendarne postaci, bohaterowie licznych utworów literackich, m.in. J. Jungmanna i M. Kopeckiego

gdzie troszczyłem się o pięć stołów w południe i podczas kolacji oraz o pięć ciężarnych niemieckich dziewczyn. Kiedy tylko na mnie dzwoniły, przynosiłem im mleko, puchary zimnej górskiej wody, placki tyrolskie albo półmiski mięsa na zimno i w ogóle wszystko, co było w karcie...

Dopiero tutaj rozkwitłem i tak jak u pana Cichego czy w hotelu „Paryż” byłem dobry na rewirze, to tutaj stałem się pupilkiem tych ciężarnych Niemek. Zresztą podobnie traktowały mnie panienki w barze hotelu „Paryż”, kiedy był czwartek i do chambre separee przychodzili maklerzy... ale te Niemki, i Liza też, wszystkie z upodobaniem przyglądały się moim włosom i frakowi, a później Liza załatwiła, że w niedzielę albo w święta mogłem serwować posiłki przepasany tą niebieską szarfą z orderem w kształcie złotych rozprysków, z czerwonym kamieniem pośrodku i z napisem Yiribus Unitis, i dopiero teraz dowiedziałem się, że nawet w Abisynii są w obiegu talary Marii Teresy...

I tak w tym leśnym miasteczku — tu, gdzie każdego wieczora żołnierze wszystkich rodzajów broni pokrzepiali się dobrym jadem i popijali dla większej ochoty specjalne wina reńskie albo mozelskie, ale dziewczyny piły wyłącznie puchary mleka, żeby potem noc w noc mężczyźni mogli być do nich dopuszczeni, rzecz jasna w sposób niemal do ostatniej chwili naukowy — zyskałem przydomek kelnera, który obsługiwał abisyńskiego cesarza. Byłem tu w takiej samej roli jak pan Skowronek, ober z „Paryża”, ten, co obsługiwał angielskiego króla. Miałem też praktykanta, którego szkoliłem identycznie jak pan Skowronek mnie, żeby rozpoznawał, z jakich stron pochodzi ten czy tamten żołnierz i co sobie zamówi. I też zakładaliśmy się o dziesięć marek, i tak samo odkładaliśmy je na pomocnika, a ja prawie zawsze wygrywałem. Wtedy właśnie uświadomiłem sobie, że poczucie wygranej jest decydujące, że jeśli tylko człowiek zwątpi albo da to sobie wmówić, to ciągnie się to za nim przez całe życie i nigdy już nie stanie na własnych nogach, zwłaszcza w swojej ojczyźnie i w swoim środowisku, gdzie spoglądają na niego jak na gówniarza, na wiecznego pikolaka, kim wśród swoich ja właśnie miałem być. Ale tutaj byłem przez Niemców szanowany i wyróżniany...

Każdego popołudnia, gdy świeciło słońce, brałem puchary mleka albo lodów, a czasem zgodnie z zamówieniem ciepłe mleko czy herbatę, i siedłem na niebieskie pływalnie, gdzie pływały sobie te ciężarne Niemki, zupełnie nagie i z rozpuszczonymi włosami. Traktowały mnie — i to mi schlebiali — jak jednego z lekarzy. Mogłem się im przyglądać, jak falowały ich jasne ciała, jak rozkładały ręce i nogi, jak po energicznych ruchach całe ciało wyprężało się, żeby po chwili ręce i nogi znów wpadły w ten cudowny pływacki rytm. Ale mnie już właściwie nie zależało na tych ciałach, zakochałem się — i ten widok mnie paraliżował — w płynących włosach, które niczym jasny dym palonej słomy snuły się za tymi ciałami. Włosy, które podczas silnych ruchów rąk i nóg rozpościerały się całą swoją powierzchnią, na moment jakby nieruchomiały, ich końce odrobinę falowały niczym roleta; do tego cudowne słońce, a w tle niebieskie albo zielone kafelki, w których maleńkie wodne fale odbijały odpryski promieni słonecznych; wyglądało to jak lane kluski. I jeszcze cienie i ruchy ciał na ścianach i na mokrej posadzce basenu, a ja, kiedy dopłynęły, opuściły nogi i stały tak z gołymi piersiami i brzuchami, po których ściekała woda, zupełnie jak rusalki, ja podawałem im pucharki, a one powoli piły albo jadły, znów zanurzały się i złożywszy dłonie jak do modlitwy w rytmicznym tempie

rozgarniały wodę, pływając znowu nie tyle dla siebie, ile dla nie narodzonych jeszcze dzieci. Przez tych parę miesięcy widziałem tam, tyle że już w krytych basenach, jak matki pływały razem z maluszkami dziećmi, tymi trzymiesięcznymi brzdącami; tak samo jest z niedźwiedzicą i jej młodymi czy też z fokami tuż po urodzeniu albo z kaczątkami pływającymi zaraz po wylęgu. Później zorientowałem się, że kobiety, które tu zaszły w ciążę, nosiły w brzuchach dzieci i kąpały się, faktycznie traktowały mnie jak wsiowego pastucha, chociaż odzianego we frak, czasami czułem się jak powietrze, jakbym był ich wieszakiem, bo wcale a wcale się mnie nie wstydziły. Byłem dla nich kimś w rodzaju królewskiego błazna czy karzełka, bo kiedy wychodziły z wody, rozglądały się, czy nie są podglądane zza parkanu, i jak kiedyś podszedł je jakiś pijany esesman, to przyciskając ręczniki do brzuchów i zakrywając łokciami piersi uciekły z piskiem do kabin, ale jak przyniosłem na tacy puchary, naguski stały rozmawiając sobie spokojnie: jedną ręką oparte o stojaki, drugą powoli i starannie wycierały swoje złote, kędzierzawe podbrzusza. Długo podcierały krocze, potem pośladki, a ja stałem obok, one zaś brały pucharki i popijały jak gdyby nigdy nic, jakbym był wózkiem do zbierania naczyń. Mogłem je do woli obmacywać wzrokiem, ale z mojej strony nic nie było w stanie zakłócić ich spokoju; wciąż delikatnie i starannie wycierały krocza ręcznikami frotte, a potem, uniósłszy ręce, wysuszały dokładnie skórę na piersiach, w ogóle nie przejmując się moją obecnością, jakby mnie tam po prostu nie było... Naraz nadleciał samolot i one z krzykiem i śmiechem rozpiezchły się po kabinach, żeby po chwili przyjąć te same pozycje co przedtem, a ja ciągle stałem trzymając tacę z parującymi pucharami. ...

W wolnych chwilach pisałem długie listy do Lizy, najpierw gdzieś pod Warszawę, którą już zdążyli zdobyć, później do Paryża, a potem, pewnie z powodu tych zwycięstw, tutejsze rygory nieco zelżały. Zaraz za miasteczkiem zbudowali panoptika, strzelnicę, karuzelę i huśtawki, zupełnie tak samo jak podczas odpustu na świętego Macieja w Pradze: identyczne atrakcje, nawet frontony tych bud miały wymalowane nimfy, faunów i przeróżne alegoryczne postaci kobiece i zwierzęta, podobnie jak u nas, a z kolei na strzelnicach, karuzelach i burtach huśtawek kłębiły się germańskie hordy w rogatych hełmach, i ja z tych obrazów czerpałem ogólną wiedzę o Niemczech. Przez cały rok, jak tylko miałem wolne, przyglądałem się każdemu po kolei i wypytywałem o wszystko referenta od kultury, a ten z zapalem mi tłumaczył, zwracając się do mnie „Mein lieber Herr Detsche”. Tak pięknie wymawiał to „Detsche”, że bezustannie go molestowałem, aby z tych obrazów i reliefów uczył mnie chwalebnej historii niemieckiej, żebym i ja mógł kiedyś splodzić niemieckie dziecko, tak jak to uzgodniliśmy z Lizą, na której zwycięstwo nad Francją zrobiło takie wrażenie, że po powrocie ofiarowała mi swoją rękę, tyle że musiałem o nią poprosić jej ojca, właściciela restauracji „Amsterdamska” w Chebie. I tak oto niewiarygodne faktem się stało: w Chebie musiałem się poddać badaniom sądowym sędziego i lekarza wojskowego z SS, zresztą zgodnie z pisemnym podaniem, w którym wyliczyłem wstecz całą swoją rodzinę i nadmieniałem o cmentarzu w Cwikowie, na którym leży dziadek Johann Detsche, i powołując się na jego aryjskie, germańskie pochodzenie zwróciłem się z uniżoną prośbą o wyrażenie zgody na ślub z Lizą Elżbietą Papanek, i jeszcze poprosiłem, tak jak prawo Rzeszy tego wymagało,

żeby zbadano mnie od strony cielesnej, czy w myśl ustaw norymberskich jako przedstawiciel innej narodowości mogę nie tylko spółkować, ale i zapłodnić aryjską germańską krew. I kiedy w Pradze plutony egzekucyjne wykonywały wyroki, podobnie jak w Brnie i wszędzie tam, gdzie sądy miały prawo skazywać na śmierć, ja stałem nagi przed lekarzem, który trącał laską moje przyrodzenie, potem musiałem się odwrócić, a on zajrzał mi do tyłka, w czym pomocna była ta sama laska, i w końcu zważył w dłoni moje jądra i podyktował na głos, co stwierdził, widział i sprawdził dotykiem, i jeszcze mnie poprosił, żebym się poonanizował i przyniósł mu odrobinę nasienia w celu przeprowadzenia naukowych badań, bo, jak powiedział ten lekarz okropną chebską niemczyzną, której wprawdzie nie rozumiałem, ale domyśliłem się po tym, z jaką wściekłością mówił, że jeśli już jakiś zasrany Czech chce się ożenić z Niemką, to jego jaja muszą produkować nasienie przynajmniej dwa razy lepsze niż sperma zaplutego parobka w najbardziej zawszonym hotelu miasta Cheb. I jeszcze dodał, że flegma, którą mi ta Niemka strzyknie między oczy, będzie dla niej taką samą hańbą jak dla mnie zaszczytem... A mnie naraz wydało się, że widzę w gazetach obwieszczenie, że tego samego dnia, w tym czasie, kiedy Niemcy rozstrzelują Czechów, ja zabawiam się tutaj swoim przyrodzeniem, żeby dostąpić zaszczytu ożenku z Niemką. Nagle opanowała mnie groza, gdzieś tam odbywają się egzekucje, a ja stoję tu z przyrodzeniem w garści przed lekarzem i nie mogę doznać erekcji i dostarczyć paru kropel spermy. Za moment drzwi się otworzyły i stanął w nich ten lekarz trzymając w palcach moje papiery. Pewnie dopiero co przeczytał dokładnie, o kogo chodzi, bo rzekł przyjaźnie: — Herr Detsche, was ist derm los? — Poklepał mnie po ramieniu i dał mi jakieś zdjęcie, zapalił światło i zobaczyłem wtedy zbiorową pornografię. Wszystko to już znałem, dawniej wystarczyło, żebym na coś takiego spojrział, wziął te fotki do ręki, i od razu mi stawał, ale teraz im dłużej się na nie patrzyłem, tym wyraźniej widziałem obwieszczenia w gazetach, że tacy a tacy zostali skazani i rozstrzelani, każdego dnia nowi, niewinni... A ja tu stoję, jedną ręką trzymam się za przyrodzenie, drugą odkładam na stół pornograficzne zdjęcia i dalej nie potrafię osiągnąć tego, czego ode mnie zażądano, żebym później mógł zapłodnić niemiecką kobietę, moją narzeczoną Lizę. W końcu musiała przyjść młoda pielęgniarka i zrobiła to kilkoma ruchami, przy których nie mogłem i nawet nie musiałem myśleć o niczym, bo dłoń młodej pielęgniarki była tak wprawna, że po paru minutach odniosła na kartce dwie krople mojego nasienia, które pół godziny później zostało ocenione jako wyśmienite, absolutnie zdolne do godnego zapłodnienia aryjskiej vaginy... No więc urząd do spraw ochrony niemieckiego honoru i krwi nic sprzeciwił się mojemu ożenkowi z Aryjką krwi niemieckiej i dostałem zgodę na ślub, ostemplowaną kilkoma silnymi uderzeniami pieczętek, a w tym samym czasie czescy patrioci byli skazywani na śmierć przez identyczne uderzenia identycznych pieczętek. Ślub odbył się w Chebie, w czerwonej sali urzędu miasta. Wszędzie wisiały czerwone flagi ze swastyką, urzędnicy byli ubrani w brunatne mundury z czerwonymi opaskami na ramieniu, a na opaskach też widniała swastyka. Ja miałem na sobie frak, a na piersiach tę niebieską szarfę z orderem, tym, co dostałem od abisyńskiego cesarza, za to Liza, moja narzeczona, znów była w tym swoim myśliwskim stroju z kamizelką ozdobioną dębowymi gałązkami, a w klapie miała swastykę na

czzerwonym polu. Właściwie nie był to ślub, tylko jakaś ceremonia wojskowo-państwowa, podczas której bez ustanku rzecz była o krwi, honorze i obowiązku, aż wreszcie burmistrz, też -w mundurze, oficerkach i brunatnej koszuli, poprosił nas, czyli młodą parę, żebyśmy podeszli do czegoś w rodzaju ołtarza, z którego zwisała długa flaga ze swastyką, a na stoliku stało oświetlone od dołu popiersie Adolfa Hitlera, który był jakby zachmurzony — tak to wyglądało, bo światło żarówek kładło mu się cieniem na zmarszczkach. Burmistrz ujął dłoń moją i panny młodej i okrył je tą flagą, a potem z uroczystą miną podał nam przez to sukno rękę, i to był właśnie moment zaślubin. Powiedział nam, że od tej chwili należymy do siebie i że naszym obowiązkiem jest nieustannie myśleć o partii narodowosocjalistycznej i płodzić dzieci, które muszą być wychowane też w duchu tej partii, i o mało się przy tych słowach nie rozplakał. Ale później uroczyście oświadczył, żebyśmy się tak bardzo tym nie przejmowali, bo nie możemy oboje polec w boju o Nową Europę, ale oni, żołnierze i partia, będą ten bój prowadzić aż do ostatecznego zwycięstwa... I potem z płyty gramofonowej rozległo się „Die Fahne hoch, die Rei-hen dicht geschlossen”, i wszyscy towarzyszyli tej płycie, Liza też, a ja wtedy przypomniałem sobie, że dawniej śpiewałem Na strahovských hradbach³ i Kde domov muj⁴; i teraz też nuciłem ze wszystkimi, tyle że po cichu. Liza lekko dotknęła mnie łokciem i spiorunowała wzrokiem, więc zaintonowałem razem z innymi... „SA marschierf... I to nawet z sercem, a pod koniec zupełnie tak, jakbym był Niemcem, bo jak się rozejrzałem, zobaczyłem, któż to jest świadkiem mojego ślubu: byli nawet pułkownicy i wszyscy partyjni kacykowie z Chebu. Wiedziałem, że gdybym miał ślub u siebie, to cała impreza przeszłaby bez echa, ale w Chebie wyglądała niczym jakieś historyczne wydarzenie, ponieważ Liza była tu znana... Wreszcie ceremonia się skończyła; stałem wyciągając ręce do gratulacji i pot zaczął mnie oblewać, bo ja wyciągałem rękę, ale żaden z oficerów Wehrmachtu i SS ręki mi nie podał, znowu byłem dla nich marnym kelnerzyną, pikolakiem, tym czeskim kurduplem, gnojkiem, za to prawie wszyscy rzucili się na Lizę gratulując jej tak prowokująco, że zostałem sam, opuszczony przez wszystkich. Burmistrz poklepał mnie wprawdzie po ramieniu, ale kiedy wyciągnąłem do niego rękę, on mi swojej nie podał. Stałem tak przez chwilę, jakby wyciąganie ręki całego mnie sparaliżowało. Po chwili burmistrz ujął mnie pod ramię i zaprowadził do biura, żebym podpisał i zapłacił za akt ślubu, i wtedy spróbowałem jeszcze raz — zostawiłem na stole sto marek -więcej, ale jeden z urzędników łamaną czeszczyzną powiedział mi, chociaż ja rozmawiałem po niemiecku, że tutaj nie ma zwyczaju dawania napiwków, że tu nie restauracja ani kantyna czy gospoda, tylko urząd twórców Nowej Europy, w której decyduje krew i honor, a nie jak w Pradze terror i łapówki czy inne kapitalistyczne i bolszewickie wymysły.

Przyjęcie weselne odbywało się w restauracji „Amster-damska” i tam znów widziałem, że chociaż każdy przepijał także do mnie, to -wszystko kręciło się wokół Lizy. Zacząłem więc wczuwać się w rolę wprawdzie tolerowanego Aryjczyka, ale jednak Bóhmisch, chociaż miałem żółte, jaśniutkie włosy, a na piersiach szarfę, przy fraku zaś ten order w kształcie złotych rozprysków. Ale nic nie

³ Czeska pieśń patriotyczna

⁴ Czeski hymn

dałem po sobie poznać, udawałem, że tego nie widzę, uśmiechałem się i nawet czułem się dumny, że jestem mężem tak poważanej kobiety, bo wszyscy oficerowie, na pewno nieżonaci, zalecali się do niej albo przynajmniej mieli na to ochotę, lecz żaden z nich jej nie zdobył, tylko ja, który ją oczarowałem. Tacy żołnierze nie potrafili pewnie nic innego, jak wskoczyć kobiecie do łóżka w oficerkach, i tylko mają w głowie zachowanie czystości krwi i honoru, a przez myśl im nie przejdzie, że w łóżku potrzebna jest miłość, miłosna gra i pieszczoty — to właśnie, co potrafiłem ja, co już dawno zrozumiałem „U Rajskich”, kiedy okryłem brzusek nagiej panienki margerytkami i fiołkami alpejskimi. .. a dwa lata później brzuch tej zdeklarowanej Niemki, przełożonej sanitariuszek, wysokiej szczeblem partyjniaczki, która przyjmowała teraz gratulacje. I nikt z obecnych nie mógł wyobrazić sobie tego, co ja widziałem: jak leży na plecach, naga, a ja okrywam jej brzuch zielonymi gałązkami świerczyny, a ona traktuje to jak wyróżnienie, kto wie, czy nie większe niż wtedy, kiedy burmistrz uściśnął nam obojgu rękę przez czerwoną flagę, ubolewając przy tym, że nie możemy oboje paść w boju o Nową Europę, za tego nowego narodowosocjalistycznego człowieka. I kiedy Liza zauważyła, że się uśmiecham, że przystałem na tę grę, na która zostałem skazany przez tamten urząd, ujęła kielich i spojrzała na mnie. Wszyscy zamarli na ten widok, a ja wstałem, żeby się zrobić nieco wyższym. Staliśmy tak twarzą w twarz z kielichami w palcach, a oficerowie spoglądali na nas, wyciągali szyję, żeby lepiej widzieć, wgapiali się i zachodzili w głowę, co jest grane, jakby prowadzili przesłuchanie. Wtem Liza roześmiała się identycznie jak wtedy, kiedyśmy byli razem w łóżku, a ja zachowywałem się z francuską galanterią. Patrzyliśmy na siebie, jakbyśmy oboje byli nadzy, i przez moment na jej oczach zjawilo się bielmo, taka błona jak w chwili, kiedy kobiety nie mdleją, ale pozbywają się ostatnich zahamowań przyzwalając, żeby postąpiono z nimi tak, jak tego wymaga sytuacja, kiedy to otworem staje nowy świat, świat miłosnych gier i pieszczot... I przy wszystkich zaczęła mnie długo całować. Zamknąłem oczy; trzymaliśmy kielichy z szampanem, a kiedyśmy się całowali, nasze kielichy przechyliły się i wino powoli ściekało na obrus. Całe towarzystwo zamilkło i od tego momentu wszyscy byli jakby oszołomieni, spoglądali na mnie z szacunkiem i przez cały czas się zastanawiali, aż wreszcie doszli do wniosku, że znacznie lepiej będzie, jeśli niemiecka krew skuma się ze słowiańską niż z niemiecką, i w ciągu paru godzin stałem się co prawda obcym, ale obcym, którego z lekką zawiścią czy też nienawiścią wszyscy szanują. Nawet kobiety przyglądały mi się badawczo zastanawiając się, jaki byłbym z nimi w łóżku. I chyba stwierdziły, że jestem zdolny do jakichś ekstra igraszek i rozpusty, bo zaczęły słodko wzdychać i przewracać oczami, i wdawały się ze mną w rozmowy, chociaż płatało mi się der, die, das. I te kobiety, które musiały rozmawiać ze mną tą ich straszną niemczyzna, powoli, jak do przedszkolaka kierować zdania, rozkoszowały się moimi rodzajnikami i pewnie uważały, że braki w mojej niemieckiej konwersacji mają swoisty urok, który je bawił, a przy tym przydawał mim -wypowiedziom czaru słowiańskich równin, brzózek i łąk... Ale żołnierze, ci z Heereswaffe i ci z SS, wszyscy patrzyli na mnie bykiem, najwyraźniej rozeźleni, bo wreszcie połapali się, czym tak przyciągnąłem piękną płowowłosą Lizę, że zamiast niemieckiego honoru i krwi wybrała zmysłową i piękną miłość... wobec której oni, chociaż obwieszeni orderami i

medalami za wyprawy na Polskę i Francję, byli bezsilni...

A kiedy wróciliśmy z podróży poślubnej do miasteczka nad Dieczinem, tam gdzie byłem kelnerem, Liza zapragnęła mieć dziecko. Ale cały ten rytuał nie był dla mnie; ja jako prawdziwy Słowianin ulegałem nastrojom, zawsze działałem pod wpływem chwili, więc kiedy powiedziała mi, żebym się przygotował, to poczułem się identycznie jak wtedy, gdy zgodnie z prawami norymberskimi niemiecki lekarz zażądał, żeby mu na białym papierze przynieść trochę nasienia. No, więc tym razem było to samo, kiedy Liza powiedziała, żebym się przygotował, że właśnie tego wieczora będzie mogła począć tego nowego człowieka, przyszłego budowniczego Nowej Europy, bo już od tygodnia słuchała z płyt Wagnera, Lohengrina i Zygfryda, i nawet już zdecydowała, że jeśli będzie chłopiec, to będzie się nazywał Zygfryd Detsche. Przez cały tydzień chodziła przyglądając się tym wszystkim scenom na reliefach kolumnad i podcieni, wystawała tam wczesnymi wieczorami patrząc, jak ku błękitnemu niebu wznoszą się niemieccy królowie i cesarze, germańscy bohaterowie i półbogowie, a ja w tym samym czasie myślałem o tym, że znowu okryję cały jej brzuch kwiatami, że najpierw będziemy baraszkować jak dzieci, tym bardziej że jesteśmy Detsche. Tego wieczora Liza przyszła w długim giele, z oczyma bez miłości, za to przepelnionymi obowiązkiem i tą ichnią krwią i honorem. Podała mi rękę mamrocząc coś po niemiecku i zapatrzyła się w niebo, jakby z sufitu i przez sufit popatrywali na nas ci wszyscy z germańskiego nieba, ci Nibelungowie, a nawet sam Wagner, którego Liza zaklinała, żeby jej pomógł zająć w ciążę tak, jak tego pragnie, zgodnie z nowym germańskim honorem, i żeby w jej brzuchu zaczęło się nowe życie nowego człowieka, który stworzy i wprowadzi nowy ład nowej krwi, nowej idei i nowego honoru. A ja, kiedy to usłyszałem, poczułem, że odchodzi ode mnie wszystko, co mężczyzną czyni męskim, i tylko leżałem wgapiając się w sufit i marząc o utraconym raj, o tym, jakie to było piękne przed małżeństwem, o tym, jak ze wszystkimi kobietami żyłem kiedyś niczym jakiś psi bękart, teraz zaś zostałem postawiony przed zadaniem niczym rasowy pies z rasową suką, a wiedziałem i widziałem, ile z tym bywa zachodu, jak to hodowcy muszą czekać całymi dniami na ten właściwy moment. Pamiętam, przyjechał kiedyś do nas jeden hodowca z drugiego końca republiki z suką i musiał odjechać z niczym, bo uhonorowany nagrodą foksterier jej nie chciał, a wreszcie, jak przyjechali jeszcze raz, poszli do stajni, wsadzili psicę do kosza i dama ręką w rękawiczce musiała wprowadzić gdzie trzeba psie przyrodzenie, a on z pejcem nad łbem musiał tę sukę pokryć, chociaż zrobił to pewnie z taką samą niechęcią, z jaką ta rasowa suka dawała pierwszemu lepszemu kundlowi. No, a pan sztabskapitan miał bernardyna i przez całe popołudnie nie mogli go spiknąć z suką aż z Szumawy, bo ta psica była większa od psa... Wreszcie inżynier Marzin zaprowadził je na zbocze ogrodu, gdzie -wykopał spory głaz. Przez godzinę przygotowywali teren na ten ślub bernardynów, w końcu pod wieczór, złani potem, kiedy ostatnim ruchem łopaty wyszykowali zbocze, wtedy się to stało. Ustawili psa na schodku i ten dorównał suce wzrostem, i dzięki temu doszło do połączenia, tyle że na siłę, z musu, bo tak na żywioł to wilczur z dziką radością zwącha się z suką jamnika albo suka setera irlandzkiego z pincerem... A ja byłem w identycznej sytuacji... I tak niewiarygodne faktem się stało, bo miesiąc później musiałem chodzić na wzmacniające zastrzyki.

Zawsze kluli mnie w tyłek całym zestawem igieł, tępych jak gwoździe, żeby mi podbudować psychikę, więc kiedy zaliczyłem już chyba z dziesięć serii, pewnej nocy nam się to udało: zgodnie z przepisami pokryłem Lizę... I zaszła w ciążę, ale z kolei ona musiała brać zastrzyki wzmacniające, ponieważ doktorzy obawiali

się, że nie donosi albo poroni tego nowego człowieka. I tak oto nic nie zostało z naszej miłości, a z tego narodowosocjalistycznego spółkowania ostał się tylko jakiś tam akt w gieźle. Liza nie dotknęła wtedy nawet mojego przyrodzenia, byłem po prostu do niej dopuszczony, zgodnie z regulaminem i ładem nowego Europejczyka, i to mnie przygnębiło. A w ogóle wszystkie te ceregiele z dzieckiem to była czysta nauka, chemia, a przede wszystkim zastrzyki. Liza przez strzykawki z igłami jak gwoździe miała pokłute pośladki, tak że musieliśmy się skupić na opatrywaniu blizn; rany po zastrzykach jątrzyły się, zwłaszcza moje, a przecież moim obowiązkiem było spłodzić piękne, nowe dziecko.

W tym czasie przydarzyła mi się niemiła historia. Już parę razy zauważyłem, że w sali, gdzie odbywały się wykłady o sławetnej przeszłości dawnych Germanów, teraz słyhać było rosyjski. Żołnierze w przerwach między obowiązkami zapładniania pięknych płowowłosych dziewczyn uczyli się jeszcze rosyjskiego, tych podstawowych zwrotów. I raz, kiedy słuchałem sobie pod oknem kursu rosyjskiego, kapitan zapytał mnie, co o tym myślę, a ja na to, że ani chybi będzie wojna z Rosją. Wtedy zaczął wrzeszczeć, że podburzam ludność, na co ja, że oprócz mnie i niego nikogo tutaj nie ma, ale on krzychał, że mamy pakt z Rosją i że to jest podburzanie i rozsiewanie fałszywych pogłosek. Dopiero „wtedy uświadomiłem sobie, że to ten sam kapitan, który był świadkiem Lizy na ślubie, i że nie podał mi ręki ani nie pogratulował, bo on był tym, który zalecał się do Lizy przede mną, a ja wlażem mu w paradę i teraz nadeszła pora, żeby się na mnie odegrać. Rzecz jasna, złożył na mnie donos i stanąłem przed komendantem tego miasteczka, gdzie hodowano Nową Europę. .. A kiedy się na mnie nawrzeszczał, że gadam bzdury, ogłoszono alarm. Zadzwoił telefon, komendant odebrał i natychmiast pobladł, bo wyszło na moje: właśnie wybuchła wojna, tak jak przewidziałem. Na korytarzu komendant spytał: —Jak pan na to wpadł? — A ja odparłem skromnie, że obsługiwałem abisyńskiego cesarza...

Następnego dnia urodził mi się syn i Liza dała mu na chrzcie imię Zygfryd, tak jak to -widziała na ścianach podcieni i jak słyszała w utworach muzycznych Wagnera, który był dla niej inspiracją przy poczęciu tego chłopaczka. Ale ja mimo to dostałem wymówienie i przykazano mi, żebym po urlopie zgłosił się w nowym miejscu, w restauracji „Koszyczek” w Czeskim Raju, położonej na skalnym dnie zupełnie jak w koszyczku. A hotel był pogrążony w porannych mgłach i przezroczystym powietrzu; ten hotelik też był przeznaczony dla zakochanych, dla par melancholijnie spacerujących po skałach i miejscach widokowych, a potem wracających na obiad czy kolację, rączka w rączkę albo mocno do siebie przytulonych. I byli ci nasi goście całkowicie odprężeni, spokojni, bo chociaż „Koszyczek” też był przeznaczony dla Heereswaffe i SS, dla oficerów, którzy przed wyjazdem na front wschodni spotykali się tu po raz ostatni ze swoimi żonami i kochankami, to wszystko działo się tu całkiem inaczej niż w tamtym miasteczku, gdzie hodowano nową rasę, dokąd żołnierze przyjeżdżali w roli

rozplodowych ogierów czy knurów, żeby jeszcze tego samego wieczora albo w ciągu dwóch dni naukowo zapłodnić germańskim nasieniem niemieckie samice... Tak, w „Koszycku” wszystko odbywało się zupełnie inaczej, bardziej w moim guście i dlatego zamiast wesołości panował tutaj melancholijny smutek, nastrój sentymentalny, czego nigdy, nigdy bym się po żołnierzach nie spodziewał. Niemal -wszyscy nasi goście byli jak poeci przed napisaniem wiersza, ale nie dlatego, że już taką mieli naturę; na pewno byli z nich tacy sami bezczelni, chamscy ordynusi jak i inni Niemcy, wciąż pijani po zwycięstwie nad Francją, chociaż jedna trzecia oficerów z dywizji Grossdeutschland padła w tej galijskiej kampanii... Po prostu tych oficerów czekała inna droga, inne przeznaczenie, inny bój, bo to już inna para kaloszy iść na rosyjski front, który w listopadzie klinem •wbił się pod samą Moskwę, ale dalej nie mógł, więc armie rozpełzły się na bok, aż pod Woroneż i jeszcze dalej, na Kaukaz. No i te odległości, i wieści z frontu, a przede wszystkim z za frontu, gdzie partyzanci uprzykrzali drogę na front tak bardzo, że na tyłach też powstał front; powiedziała mi to Liza, która stamtąd przyjechała, i ta ruska kampania wcale jej nie cieszyła. Przywiozła mi maleńki kuferek, a ja na początku nie miałem pojęcia, jak cenna jest jego zawartość. Był to kuferek pełen znaczków pocztowych. „Skąd to wytrzasnęła?” — pomyślałem. I okazało się, że już w Polsce i we Francji Liza przetrząsała mieszkania żydowskie i w Warszawie podczas wywózki Żydów wpadły jej w ręce te znaczki, które, jak powiedziała, po wojnie będą miały taką wartość, że będziemy sobie mogli za nie kupić dowolny hotel w dowolnym miejscu.

No, a ten mój synek, który tu był ze mną, dziwne z niego było dziecko. Nie mogłem się w nim dopatrzeć ani jednego swojego rysu, czegoś, co by miał po mnie albo po Lizie. Nie było w nim nawet tego, co przedstawiała scena z Walhallą, i ani śladu Wagnerowskiej muzyki, ba, na odwrót, był jakiś zastrachany i już w trzecim miesiącu brała go rzucawka.

A ja obsługiwałem gości ze wszystkich regionów Niemiec, starałem się rozpoznawać, a potem już zupełnie bezbłędnie odgadywałem, że ten niemiecki żołnierz jest z Pomorza, tamten z Bawarii, inny z Nadrenii; zawsze odróżniałem żołnierza z nad morza od tego z głębi kraju, robotnika od wieśniaka... To była moja jedyna rozrywka; bez odpoczynku obsługiwałem; od rana do wieczora, do późnej nocy, bez wolnego dnia, więc bawiło mnie już tylko zgadywanie, co kto sobie zamówi i skąd pochodzi. To samo robiłem z kobietami przyjeżdżającymi tutaj z tajemniczą misją, ale ja wiedziałem, że były nią smutek i strach i jeszcze taki przejmujący żal. Nigdy już w całym swoim życiu nie widziałem małżeństw czy par kochanków/, które byłyby dla siebie tak czułe i troskliwe, i żeby w oczach było tyle ciepła i rozrzewnienia. Przypominało mi to, jak nasze dziewczęta śpiewały „Czemu płaczą czarne oczy” albo „Zajęczały góry” czy coś w tym stylu. W okolicy „Koszycka” w każdą pogodę spacerowały pary, zawsze młody umundurowany oficer z młodą kobietą, milczący i zapatrzony w siebie bez reszty, i ja, który — choć obsługiwałem abisyńskiego cesarza — nie rozumiałem wcześniej nic, dopiero teraz odkryłem, na czym to polega. Po prostu możliwość, że taka para nie zobaczy się nigdy więcej, sprawiała, że stawali się pięknymi ludźmi. To właśnie był ten nowy człowiek, nie zwycięski, rozwrzeszczany i butny, ale na odwrót — człowiek pokorny i refleksyjny, z pięknymi

oczami spłoszonego zwierzątka... I tak oczami tych par kochanków — bo i małżonkowie w obliczu frontu znowu stawali się kochankami — nauczyłem się patrzeć na krajobraz, na kwiaty na stole, na bawiące się dzieci, na to, że każda godzina jest darem bożym, bo tego dnia i w nocy przed wyjazdem na front kochankowie już nie spali i nie chodziło im o to, żeby być razem w łóżku, ponieważ oprócz łóżka było coś więcej — oczy i stosunek do drugiego człowieka, którego w ciągu prawie całego swego kelnerskiego żywota nie dane mi było poznać w takim stopniu, w jakim widziałem i przeżywałem właśnie tutaj... I chociaż byłem kelnerem, czasem nawet oberkelnerem, to czułem się tutaj jak widz w olbrzymim teatrze czy kinie, oglądający smutne miłosne kawałki... I zrozumiałem też, że najbardziej ludzkim wyrażeniem stosunku człowieka do człowieka jest cisza, godzina ciszy, później kwadrans, a wreszcie tych parę ostatnich minut, kiedy zajeżdża powóz, czasem wojskowa bryczka, kiedy indziej auto, i dwoje cichych ludzi „wstaje, długo patrzy na siebie, wzdycha, a potem ostatni pocałunek i postać oficera wypręża się w bryczce, siada i pojazd rusza pod górkę. Ostatnie spojrzenie do tyłu, powiewająca chusteczka i później, kiedy powóz czy też samochód powoli chował się za wzgórkami niczym zachodzące słońce i nie było już widać nic, przed wejściem do „Koszyca” stała kobieta, Niemka, człowiek we Izach, wciąż machająca, przebierająca paluszkami, z których wypadła chusteczka... Potem odwracała się i ze szlochem pędziła po schodach do pokoiku i tam niczym mniszka, która w klasztorze natknęła się na mężczyznę, padała twarzą na poduszki, zagłębiając się w długim, pokrzepiającym płaczu... Następnego dnia kochanki z zaczerwienionymi oczami odjeżdżały na stację, a ten sam powóz, bryczka czy auto przywoziły nowych kochanków ze „wszystkich stron świata, ze „wszystkich garnizonów, miast i wsi, żeby przeżyli tu ostatnią randkę przed wyjazdem na front. Lecz wieści stamtąd były tak kiepskie i mimo że armie posuwały się w szybkim tempie, Liza z powodu tego blitzkriegu robiła się coraz bardziej nerwowa i mówiła, że już tu nie wytrzyma, odwiezie Zygryda do Chebu, do restauracji „Amsterdamska”, a sama pojedzie na front, bo tam jej będzie lepiej...

I tak niewiarygodne znowu stało się faktem. Minął rok i wyjechałem z „Koszyca”. Pożegnałem się machając do chwili, kiedy powóz skrył się między pagórkami, i nawet trochę popłakałem, a potem koleją pojechałem do nowego miejsca pracy. Te cenne znaczki miałem w zwykłym kuferku razem z jedzeniem, w takiej fibrowej walizeczce, którą ktoś wyrzucił. W katalogu Zumsteina sprawdziłem wartość niektórych znaczków i wiedziałem od razu, że nie będę już musiał okładać swego pokoju stukoronówkami, bo nawet gdybym użył ich jako tapet, gdybym wykleił nimi sufit, przedpokój i ubikację, i jeszcze kuchnię, gdybym całe mieszkanie oblepił zielonymi kafelkami stukoronówek, to i tak nie byłaby to suma, którą kiedyś zgramę za te znaczki. Według Zumsteina za jedno cztery znaczki powinienem dostać tyle, że zostanę milionerem, więc już sobie rachowałem w duchu, co to będzie jak kiedyś „wrócę, bo Niemcy wojnę mają już przegraną, ich koniec jest tuż-tuż. Jak zjawił się wysoki rangą oficer, umiałem z jego twarzy wyczytać całą sytuację, te twarze były moimi gazetami i doniesieniami z bitewnych pól. Nawet gdyby przykryli oczy błyszczącymi binoklami, to i tak bym to poznał; choćby założyli ciemne okulary, ja widziałem wyraźnie, jak to się skończy, a gdyby zasłonili

twarz pończochą albo czarną maską, to na podstawie generalskiego kroku, sylwetki i zachowania odgadłbym, jak wygląda sytuacja na polu walki... Przechadzałem się po peronie i w pewnym momencie znalazłem się przed lustrem. Spojrzałem i zobaczyłem obcego człowieka. Patrzyłem na siebie tak jak na tych Niemców, którzy pochodzili z różnych stron, mieli odmienne zawody, upodobania i choroby, a ja, ponieważ obsługiwałem abisyńskiego cesarza, wszystko to odgadywałem, bo jakby nie było, szkolił mnie pan ober Skowronek, który z kolei obsługiwał angielskiego króla... Przyglądałem się sobie i kątem tego przenikliwego spojrzenia zobaczyłem siebie dokładnie takim, jakim się przedtem nie widziałem, jako sokoła, który badał się u nazistowskich lekarzy, czy będzie mógł spółkować z niemiecką nauczycielką gimnastyki, gdy w tym samym czasie ginęli czescy patrioci. A kiedy Niemcy rozpętali wojnę z Rosją, ja miałem ślub i śpiewałem „Die Reihen dicht geschlossen”, i podczas gdy ludzie cierpią, ja żyję sobie wygodnie w niemieckich hotelach i hotelikach, gdzie usługuję Wehrmachtowi i SS, więc jak się wojna skończy, nie wolno mi będzie wrócić bezkarnie do Pragi. Widziałem, jak wiszę na pierwszej latarni, i to nic powieszony przez kogoś, tylko własnoręcznie; jak wlepiam sobie w najlepszym razie dziesięć lat albo i więcej... Stałem tak bladym rankiem na całkowicie opustoszałej stacji i gapiłem się na siebie jak na faceta, który idzie mi naprzeciw, a potem zaczyna się jednak oddalać, aleja, który obsługiwałem abisyńskiego cesarza, muszę spojrzeć prawdzie w oczy... I tak jak kiedyś byłem wścibski i rozkoszowałem się cierpieniem lub intymnymi kłopotami obcych ludzi, teraz identyczną metodą przyglądam się sam sobie i na ten widok robi się niedobrze, tym bardziej że jeszcze marzę, by zostać milionerem i pokazać Pradze i tamtejszym hotelarzom, że jestem jednym z nich, a nie jakimś tam pierwszym z brzegu, może nawet od nich lepszym, a to zależy już wyłącznie ode mnie. Co mam zrobić, żeby móc wrócić do swoich i kupić ten największy hotel, by dorównać Szroubkowi i panu Brandejsowi, tym sokołom, którzy mnie przejrzeni i z którymi można rozmawiać tylko z pozycji siły, z pozycji mojego kufierka z czterema znaczkami, które Liza zdobyła w Warszawie albo gdzieś w Lembergu⁵, a ja za nie kupię sobie hotel... hotel Detsche... Dziecię... Chyba żeby coś kupić w Austrii albo w Szwajcarii?... radziłem się swego obrazu w lustrze, a za mną cicho przejeżdżał pośpieszny skład, lazaret prosto z frontu... Kiedy stanął, zobaczyłem w lustrze zaciągnięte rolety, ale teraz jedna roleta podniosła się, ręka puściła sznurek i ujrzałem leżącą na łóżku kobietę w nocnej koszuli. Ziewała, jakby chciała sobie zwichnąć zuchwę, a przy tym tarła oczy, aż wreszcie wyjrzała. Gdzie stoimy? Patrzyłem na nią, ona na mnie, i okazało się, że to Liza, moja żona. Widziałem, jak zerwała się, mignęła w płocie przedziałów i wyskoczyła w tym nocnym stroju na peron, i zanim się zorientowałem, rzuciła mi się na szyję, całując mnie jak za panińskich czasów, a ja, który obsługiwałem abisyńskiego cesarza, zauważyłem, że zmieniła się tak samo jak ci „wszyscy oficerowie, którzy po powrocie z frontu spędzali w „Koszycku” przyjemny tydzień z żoną albo kochanką, widocznie Liza widziała i przeżyła niewiarygodne historie, które stały się faktem... I znów była tą dawną nauczycielką gimnastyki. Wiozła wojskowy transport kalek, i to tam, dokąd i ja jechałem, do Chomutowa, do lazaretu nad

⁵ Niemiecka nazwa Lwowa

jeziorem. Wsiadłem z tym kuferkiem, pociąg ruszył i wszedłem do przedziału Lizy, a kiedy za zamkniętymi drzwiami i spuszczoneymi zasłonkami rozebrałem ją z koszuli, dygotała przy tym jak dawniej, gdy była jeszcze wolna, bo ta wojna chyba uczyniła ją wolną, pokorną, ona w rewanżu rozebrała mnie i leżeliśmy w swoich objęciach nadzy, i pozwalała się całować po brzuchu i nie tylko, a wszystko w rytm kołyszących się i resorujących buforów.

Na stacji w Chomutowie czekały już karetki, ciężarówki i autobusy, takie szpitale na sześciu kołach. Nie posłuchałem Lizy i stanąłem na końcu opróżnionego peronu, gdzie zostawili mnie w spokoju tylko dlatego, że wysiadłem z Lizą, która zameldowała się u komendanta stacji. A potem wyładowywali to, co ten pociąg przywiózł z frontu, świeżych, nadających się do transportu okaleczonych żołnierzy, wszystkich którzy nie mogli chodzić, z amputowanymi nogami, jedną lub obiema, i zapakowali ich do samochodów, cały peron kalek. Kiedy tak się im przypatrywałem, doszedłem do przekonania, chociaż nikogo nie rozpoznałem, że to wszyscy ci, którzy byli dopuszczeni do kobiet w miasteczku nad Dieczinem, wszyscy ci, którzy żegnali się w „Koszyczku”, a to jest właśnie ostatnia scena w ich komedii, sztuce, filmie. Więc pojechałem z pierwszym transportem tam, gdzie mi zlecono, do kantyny wojskowego szpitala, z kuferkiem na kolanach, a skórzaną walizę rzuciłem na bagażnik na dachu, pomiędzy żołnierskie plecaki i tobołki. Jeszcze tego dnia przespacerowałem się po okolicy i obozie rozciągającym się na zboczu pagórka, takiego czereśniowo-wiśniowego sadu, który schodził aż do kamienistego jeziora przypominającego jezioro Genezaret albo świętą rzekę Ganges, bo sanitariusze zwozili na długich deskach kaleki z gnijącymi ranami po amputacjach do tego jeziora, w którym nie było ani śladu żyjątka, ani jednej rybki; wszystko w tej wodzie wymarło i już nigdy, dokąd będzie biło źródło w tym pirytowym kamieniołomie, nigdy nie zjawi się tam życie. Kalecy leżeli w wodzie; ci, którzy już się trochę podkurowali, pływali wolno, brakowało im jednej albo obu nóg do kolan, a niektórzy wcale nie mieli nóg i rękami niczym żaby poruszali te kadłuby w niebieskiej wodzie, skąd wystawały im same głowy. Wyglądało to trochę jak w basenach nad Dieczinem; dla mnie były to te same chwaty, tyle że kiedy już się napływali, spędzili w jeziorze czas przykazany im przez lekarza, wtedy podciągali się na rękach i wypelzali na brzeg jak żółwie, leżąc tam i czekając, aż sanitariusze zawiną ich w płaszcze kąpielowe i ciepłe koce, a potem wszystkich, setki ich było, jednego za drugim ułożą na promieniście zbiegających się deskach i powoli odtransportują na główny dziedziniec przed restauracją, gdzie przygrywała damska kapela i serwowano posiłki... Najbardziej wstrząsnęła mną grupa z przetrąconym rdzeniem pacierzowym, ci, którzy wlekli za sobą całą dolną część ciała; wyglądali i na lądzie, i na wodzie jak syreny; i jeszcze beznodzy, ci mieli tak maleńki korpus, jakby głowa była osadzona wprost na nogach. Niemniej lubili grać w ping-ponga, mieli takie chromowane składane wózki, którymi potrafili poruszać się tak szybko, że grali nawet w futbol, tylko zamiast nóg używali rąk. I w ogóle, kiedy się odrobinę podreperowali, i jednonodzy, i bezręcy, i ci z poparzonymi twarzami, wszyscy nabierali niesamowitej ochoty do życia, grywali w futbol, ping-ponga i szczypiorniaka aż do zmroku, musiałem ich zwoływać fanfarami, odgrywać capstrzyk na kolację. I „wszyscy, kiedy przyjechali na tych swoich wózkach albo

przykuśtykali o kulach, wszyscy tryskali zdrowiem, ponieważ na tym oddziale, gdzie serwowałem posiłki, była już tak zwana rehabilitacja, natomiast na trzech pozostałych oddziałach lekarze operowali tych rannych na froncie, leczyli prądem i jontoforezą, żeby ich złożyć do kupy... A ja przez tych kalekich miewałem przedziwne przywidzenia: wciąż miałem przed oczyma członki, które stracili, ale czasem widziałem te brakujące członki, a potem one znikwały. Wystraszyłem się — co to właściwie ma znaczyć? Przytykałem sobie wtedy palec do czoła i mówiłem sam do siebie: Dlaczego to tak widzisz? Boś obsługiwał abi-syńskiego cesarza, boś został wyszkolony przez obera Skowronka, który obsługiwał angielskiego króla.

Raz w tygodniu jeździliśmy z Lizą do Chebu, do hotelu „Amsterdamskiego”, żeby odwiedzić synka... Liza znowu wróciła do pływania; to było coś dla niej, ciągle pluskała się w tym jeziorze i dzięki pływaniu jej ciało zrobiło się tak jędrne i piękne jak rzeźba z brązu, że zawsze nie mogłem się doczekać chwili, kiedy będziemy razem i Liza będzie chodziła po domu naga, zasuniemy zasłony... Tak, Liza zmieniła się całkowicie. Kupiła sobie książkę, którą napisał jakiś niemiecki sportowiec, Foure czy Fuke, i to było o kulcie nagiego ciała, a ponieważ Liza miała piękne ciało, przystała do nudystów, chociaż wcale się do nich nie zgłosiła. Rano podawała mi kawę w samej spódnicy, czasem naga, a kiedy na mnie spojrzała, pochylała z zadowoleniem głowę i uśmiechała się, bo widziała w mych oczach, że mi się podoba, czyli że jest piękna... Ale z Zygfydem, naszym synkiem, mieliśmy kłopot. Cokolwiek dostał do ręki, wszystko wyrzucał, aż pewnego razu laźł na czworakach po podłodze „Amsterdamskiej” i wziął młotek, a dziadunio dla żartu podał mu gwoździe i chłopiec przytrzymał go, i jednym uderzeniem wbił w podłogę... No i później, kiedy inne dzieci bawiły się grzechotkami i misiami i nawet już biegały, nasz Zygfyrd raczkował na czworakach po podłodze i darł się dotąd, dopóki nie dostał młotka z gwoździami, by z dziką frajdą wbijać je w podłogę. Inne dzieci zaczynały już gaworzyć, ale nasz synek mało że nie chodził, to nawet nie mówił „mama” i tylko dygotał cały na widok młotka i gwoździ, i dopóki nie spał, dopóty „Amsterdamską” wstrząsały uderzenia młotka, a cała podłoga upstrzona była wbitymi gwoździami, dzięki czemu miał tak wyrobioną prawą rękę, że już z daleka widać było mocne ramię... Ilekroć byliśmy tam z „wizytą, nie mogłem tego wytrzymać, zresztą synecek nie poznawał ani mnie, ani swojej matki, i tylko ciągle się darł, żeby mu dać młotek i gwoździe, a gwoździe były na kartki albo na lewo. Musiałem więc załatwiać gwoździe, gdzie się tylko dało, a synecek wbijał sześciocentymetrowe ćwieki w podłogę, ja zaś po każdym uderzeniu łapałem się za głowę, bo dopiero teraz zorientowałem się, że to dziecko, facet, który jest moim synkiem, jest i zostanie kretyńcem. I kiedy inne dzieci w jego wieku pójda do szkoły, Zygfyrd zacznie dopiero chodzić, inne dzieci skończą szkołę, Zygfyrd dopiero nauczy się jako tako czytać, a kiedy inne ożenią się, wtedy on będzie zaznajamiał się z zegarkiem, przynosił gazety i siedział w domu, bo będzie do niczego, chyba żeby przybijał gwoździe... I tak patrzyłem na swego synka, a podczas każdej kolejnej wizyty wyobrażałem sobie podłogę kolejnego pokoju przebitą na wylot gwoździami, i moje przewidywania ciągle się sprawdzały, bo przyglądałem się naszemu chłopcu nie jako synowi, lecz jak obcemu gościowi... Ale ten chłopiec z bzikiem na punkcie wbijania

gwoździ w podłogę nie był takim zwyczajnym szajbusem. Te jego gwoździe zabijane młotkiem w deski podłogi zaczęły nabierać innego znaczenia, bo kiedy syreny wyły na alarm i „wszyscy uciekali do schronów, Zygfyrd cieszył się z tego i promieniał; inne dzieci miały wtedy pełne majtki, ale Zygfyrd klaskał rączkami i wyglądał tak pięknie, jakby nigdy nie był chory na padaczkę i na głowę. A kiedy padały bomby, Zygfyrd wbijał gwoźdź za gwoździem w deskę, którą zabierali dla niego do piwnicy, i zanosił się przy tym ze śmiechu... I ja, który obsługiwałem abisyńskiego cesarza, cieszyłem się z tego, że mój synek, choć jest przygłup, to potrafi zwiastować przyszłość wszystkich niemieckich miast, o których wiedziałem, że skończą tak samo jak podłogi hotelowych pokoi. Kupiłem trzy kilo gwoździ i Zygfyrd przed południem wbijał je w podłogę kuchni, a po południu, kiedy on przybijał bretnale do podłogi w pokoju, ja w pocie czoła wyciągałem gwoździe z kuchni i cieszyłem się w duchu, że dywanowe naloty marszałka Teddera identycznie wbijały w ziemię bomby, dokładnie według planu, bo mój chłopiec wbijał bretnale w lini prostej i pod „właściwym kątem... Słowiańska krew znów zwyciężyła i byłem dumny z chłopca, bo chociaż jeszcze nie mówił, to już zaczął chodzić, zawsze jak Biwoj⁶, z młotkiem w silnej ręce...

Ni stąd, ni zowąd zaczęły mi się zjawiać obrazy, o których już dawno zapomniałem, a one nagle były przede mną, i to takie świeże i ostre, że stawałem z tacą pełną mineralnych jak porażony gromem. Wystarczyło parę sekund nad pirytowym jeziorem, żebym dopełnił sobie portret Zdeńka, tego obera z hotelu „Cichy Kącik”, co to się tak w wolnej chwili lubił zabawiać, że przepuszczał wszystkie pieniądze, jakie miał przy sobie, a zawsze było tego parę tysięcy... I zjawił mi się obraz jego wuja, emerytowanego kapelmistrza wojskowego, który rąbał w lesie drewno na swojej parceli, gdzie miał domek tonący w kwiatkach i zaszyty w iglastym gąszczu. Ten wujo, jako że był kapelmistrzem jeszcze za Austrii, stale nosił tamten mundur, nawet kiedy rąbał drewno, bo napisał dwie galopki i kilka walczyków, które wciąż były grywane, ale nikt już nie wiedział, kim był ten kapelmistrz, wszyscy myśleli, że dawno umarł. I kiedyśmy raz ze Zdeńkiem mieli wolny dzień i jechali powozem, usłyszeliśmy wojskową orkiestrę dętą. Zdeniek stanął w powozie i kazał -woźnicy, żeby się zatrzymał. Później podszedł do wojskowych muzykantów, którzy akurat grali wujowego walczyka; stały już tam autobusy, bo cała orkiestra miała za chwilę pojechać na jakiś konkurs wojskowych kapel. Zdeniek pogadał z kapelmistrzem, dał mu wszystkie pieniądze, jakie miał przy sobie, cztery tysiące koron na piwo dla żołnierzy, byle zrobili to, co im poleci. Wysiedliśmy więc z powozu i weszliśmy do pierwszego autobusu, a po godzinie jazdy zatrzymaliśmy się w lesie. Sttu dwudziestu muzykantów -w mundurach i ze swoimi wypolerowanymi instrumentami wolno kroczyło leśną drogą, a potem skręciliśmy na ścieżkę wysadzaną gęstymi krzakami, nad którymi wznosiły się wysokie sosny. W pewnym momencie Zdeniek dał znak, żeby poczekali, a sam przez dziurę po sztachetach zniknął w gęstwinie parceli. Kiedy wrócił, opowiedział swój plan, a potem na jego znak żołnierze, jeden po drugim, leżeli przez płot w zarośla, a Zdeniek niczym na froncie dawał rozkazy, żeby obścapił domek otoczony krzakami, skąd rozlegały się uderzenia siekierki. I tak cała orkiestra cicho obścapiła pieniek i

⁶ Bohater jednej z legend z tomu *Stare podania czeskie* A. Jiraska

starego mężczyznę w starym austriackim mundurze -wojskowego kapelmistrza, a na dany przez Zdeńka znak dyrygent wojskowej orkiestry machnął złotą buławą, zakomenderował głośno i z krzaków wynurzyły się -wypucowane instrumenty dęte, a orkiestra zagrała dziarską galopkę, kompozycję Zdeńkowego wuja, którą wojskowi wieźli na konkurs. Stary kapelmistrz właśnie przepołowił polano i zamarł w tej pozycji, a orkiestranci podeszli parę kroków, wciąż jednak do połowy pasa zanurzeni w sosnowym i dębowym poszyciu, tylko kapelmistrz ze złotą buławą stał w tej zieleni po kolana, podrzucając buławę, i orkiestra grała galopkę, instrumenty pobłyskiwały w słońcu, a stary kapelmistrz powoli rozejrzał się i jego twarz przybrała taki niebiański wyraz, jakby umarł... Orkiestra skończyła galopkę, ale od razu przeszła na koncertowego walczyka i wtedy stary kapelmistrz aż przysiadł z siekierką na kolanach i rozplakał się... Dyrygent wojskowej orkiestry z tą złotą buławą przybliżył się, dotknął ramienia starca i gdy ten podniósł wzrok, przekazał mu ją i wuj Zdeńka wstał, a jak nam potem powiedział, myślał, że umarł i trafił do nieba do wojskowej orkiestry, że w niebie gra wojsko i że Bóg jest dyrygentem tej orkiestry i przekazuje mu swoją buławę... I starzec dyrygował tę swoją kompozycję, a kiedy skończył, z krzaków wyszedł Zdeniek i podał wujowi rękę, życząc mu dużo zdrowia... I za pół godziny orkiestra wsiadła do autobusów, a na odjezdne zagrali Zdeńko-wi tusz, uroczystą fanfary, Zdeniek stał wzruszony, kłaniał się i dziękował nawet wtedy, gdy autobusy, a z nimi i fanfary zniknęły na leśnej drodze, smagane gałęziami buków... Z tego Zdeńka był po prostu anioł, a każde jego wychodne, które spędzaliśmy razem, było podobne jedno do drugiego. Przez dziesięć dni główkował, jak przepuścić te tysiące, a tymczasem ja zamykałem się u siebie i układałem na ziemi stukoronówki, potem chodziłem na bosaka po tych banknotach niczym po wykafelkowanej podłodze albo kładłem się na nich, jakby to była zielona łąka. Więc Zdeniek raz urządził jednemu kamieniarzowi wesele dla jego córki, kiedy indziej wybraliśmy się z chłopcami z sierocińca do konfekcji i tam ubraliśmy ich wszystkich w białe marynarskie ubrania, albo jak był odpust, opłacił z góry za cały dzień wszystkie karuzele i huśtawki i tego dnia wszyscy mogli się wozić za darmo, a znowu innego wolnego dnia nakupiliśmy w Pradze najpiękniejszych bukietów i flaszki likierów i chodziliśmy od jednego szaletu do drugiego, składając babkom klozetowym życzenia z okazji imienin, których nie miały, urodzin, które już minęły, ale Zdeniek był szczęściarzem, bo zawsze jedna z tych babć akurat miała imieniny albo urodziny...

Pewnego dnia powiedziałem sobie, że pojadę do Pragi i podskoczę do hotelu „Cichy Kącik” wywiedzieć się, czy Zdeniek jeszcze tam robi, a jeśli nie, to gdzie może być, i że skoczę też tam, gdzie byłem u babci na wychowaniu, zobaczyć, czy jest tam jeszcze taka klitka, przed której oknem pojawiały się gacie i koszule, kiedy z klozetowego okna na górze wyrzucali je goście łaźni Karola, a babcia łątała te brudne gatki i sprzedawała potem robotnikom i murarzom na budowach... Stałem na stacji w Pradze i kiedy znalazłem pociąg na Tabor, podciągnąłem rękaw, żeby zobaczyć, która godzina, a jak podniosłem wzrok, zobaczyłem, że pod trafiką stoi Zdeniek. Zdrętwiałem — znowu niewiarygodne faktem się stało. Zamarłem z ręką odchylającą rękaw, a przy tym widziałem, jak Zdeniek rozgląda się, jakby już długo czekał, a potem uniósł rękę. Na pewno na kogoś czekał, bo też

chciał zerknąć na zegarek. A tu naraz przyskoczyli trzej faceci w skórzanych płaszczach i schwycili mnie za ręce. Trzymałem ciągle rękę na zegarku i widziałem, że Zdeniek przygląda mi się nieprzytomnie; pobladł i stał tak patrząc, jak Niemcy pakują mnie do samochodu i odwożą. A ja zastanawiałem się: dokąd wiozą i dlaczego? Zajechaliśmy do Pankrac, brama się otworzyła, a tamci poprowadzili mnie niczym jakiegoś złoczyńcę i wrzucili do celi... Nagle w głowie mi przejaśniało i zacząłem się cieszyć z tego, co się stało, i bałem się, żeby mnie za prędko nie wypuścili. Ba, życzyłem sobie, bo wojna i tak miała się ku końcowi, życzyłem sobie, żeby mnie zamknęli, wysłali do obozu koncentracyjnego, marzyłem, żeby uwięzili mnie właśnie Niemcy — moja szczęśliwa gwiazda znowu świeci. Otworzyły się drzwi i zostałem poprowadzony na przesłuchanie, a kiedy powiedziałem wszystkie dane personalne i dlaczego przyjechałem do Pragi, śledczy spowaźniał i spytał, na kogo czekałem. Ja na to, że na nikogo. Wtedy otworzyły się drzwi i weszło dwóch w cywilu. Rzucili się na mnie, rozkwasili mi nos, wybili dwa zęby. Kiedy padłem na ziemię, pochyłili się nade mną i znowu pytali, na kogo czekałem i kto miał mi przekazać informacje. Odparłem, że przyjechałem do Pragi tak sobie, na wycieczkę, na co jeden z nich nachylił się, uniósł mi twarz, a potem schwycił za włosy i walił głową o podłogę, a śledczy krzychał, że spoglądanie na zegarek było umówionym znakiem i że należę do podziemnej organizacji bolszewickiej... Potem mnie odnieśli i umieścili z innymi więźniami. Ci wyciągnęli mi połamane zęby, otarli krew i porzbijany łuk brwiowy, a ja śmiałem się i śmiałem, i jakoś niczego nie czułem, ani tego bicia, ani ran czy skaleczeń. Więźniowie patrzyli na mnie jak na jakiegoś gieroja, bo esesmani wrzucając mnie tam wrzeszczeli: „Ty bolszewicka świniol!” Ale dla mnie to określenie zabrzmiało jak kojąca muzyka, jak przesympatyczny zwrot, bo już rozumiałem, że to jest bilet powrotny do Pragi, jedyny wywabiacz, który może zlikwidować błoto, w jakie wdepnąłem biorąc za żonę Niemkę, i to, że stałem w Chebie przed nazistowskimi lekarzami, którzy sprawdzali, czy moje przyrodzenie jest godne spółkowania z germańską Aryjką... Ta pokiereszowana twarz, tylko za to, że spojrzałem na zegarek, jest legitymacją, która kiedyś pozwoli mi wkroczyć do Pragi w roli bojownika antyfaszystowskiego, a przede wszystkim tym Szroubkom, Brandejdom i reszcie hotelarzy pokażę, że jestem jednym z nich, bo jeśli przeżyję, na pewno kupię sobie któryś z tych wielkich hoteli w Pradze albo gdzie indziej, ponieważ dzięki temu kuferkowi ze znaczkami — tak jak chciała Liza — mógłbym kupić nawet dwa hotele i jeszcze przebierać: Austria czy Szwajcaria? Tylko że w oczach hotelarzy austriackich albo szwajcarskich nie znaczyłem nic, im nie potrzebowałbym niczego pokazywać ani udowadniać, z nimi nie miałem żadnych dawnych porachunków, przed nimi nie musiałem się przechwalać. Ale mieć hotel w Pradze i wejść do kolegium hotelarzy, a z czasem dochrapać się funkcji sekretarza wszystkich praskich hoteli, o tak, wtedy by mnie już musieli poważać — nie kochać, nie, tylko się ze mną liczyć, bo „w końcu o to mi właśnie chodziło...

W sumie siedziałem na Pankracu czternaście dni. Kolejne przesłuchania wykazały, że zaszła pomyłka. Faktycznie czekali na człowieka, który miał spoglądać na zegarek. Dopadli łączniczkę, z której wyciągnęli wszystko, co ich interesowało, włącznie z tym, że miał to być ktoś inny. Przypomniałem

sobie wtedy, że tam stał Zdeniek i że też chciał popatrzeć na zegarek — przecież Zdeniek jest moim przyjacielem i widział, że wzięli mnie zamiast niego, a on musi być kimś bardzo ważnym, więc gdyby nawet nikt z celi, to na pewno Zdeniek wstawi się za mną; na wszelki wypadek wracając z przesłuchania, zanim wepchnęli mnie do celi, odnowiłem sobie krwotok z nosa i znowu zaśmiewałem się, zadowolony, że mi z nosa chlustała krew... W końcu zostałem zwolniony, śledczy mnie przeprosił, ale nadmienił przy tym, że w interesie Rzeszy lepiej ukarać omyłkowo dziewięćdziesięciu dziewięciu sprawiedliwych, aniżeli pozwolić umknąć jednemu jedynemu winnemu... I tak pod wieczór znalazłem się przed brama pankrackiego więzienia, a ze mną wyszedł inny zwolniony... Ten, ledwo wyszedł, osunął się na chodnik. Jeździły zaciemnione na fioletowo tramwaje, przechodnie sunęły w górę i na dół, młodzi ludzie trzymali się za ręce, w zapadającym zmierzchu dzieci bawiły się jak gdyby nigdy nic, jakby wcale nie było wojny, jakby na świecie istniały tylko kwiaty, objęcia i miłosne spojrzenia. A dziewczyny w ciepłym zmierzchu miały takie seksowne bluzki i spódniczki, że i ja z przyjemnością oglądałem to, co było przeznaczone dla męskich oczu, wszystko celowo z erotycznym podtekstem... — To ci dopiero cudo — rzekł ten mężczyzna, kiedy już doszedł do siebie, a ja ofiarowałem mu się z pomocą. — Jak długo? — mówię. A on, że odsiedział dziesięć lat... Chciał wstać, ale miał kłopoty, musiałem go podierać. Spytał, czy się nie spieszę. Odparłem, że nie, a kiedy zapytał, za co siedziałem, powiedziałem, że za nielegalna działalność. Poszliśmy na tramwaj i tam znowu musiałem mu pomóc przy wsiadaniu do wagonu. Na dworze i w tramwaju, wszędzie było pełno ludzi, a wszyscy jakby wracali z jakiejś potańcówki albo się na nią wybierali, i wtedy po raz pierwszy stwierdziłem, że prażanki są ładniejsze od Niemek, mają lepszy gust, a Niemki noszą wszystko jak mundur, te ich ubiory, dirndle, zielone kostiumy i myśliwskie kapelusiki zawsze mają coś wspólnego z wojskiem... Siedziałem obok siwego mężczyzny; mógł mieć nie więcej niż trzydziestkę, zresztą powiedziałem, że mimo tej siwizny nie wygląda na swoje lata, a potem ni stąd, ni zowąd zapytałem: — Kogo pan zabił? — Zawahał się, długo spoglądał na sterczące piersi dziewczyny, która jedną ręką trzymała się uchwytu, wreszcie spytał: — Skąd pan wiedział? — Odpowiedziałem, że obsługiwałem abisyńskiego cesarza... Dojechaliśmy do pętli jedenastki, zrobiło się już ciemno i ten morderca poprosił mnie, żebym z nim poszedł do jego mamusi, żebym go odprowadził, bo sam mógłby paść gdzieś po drodze... Zapaliliśmy czekając na autobus, który się pojawił nawet szybko, i pojechaliśmy trzy przystanki wysiadając przy Koniczkowym Młynie. Morderca powiedział, że lepiej iść od tyłu, przez wioskę Makotrzasy, bo znajdzie do domu prędzej, zrobi mamusi niespodziankę i będzie mógł błagać o przebaczenie... Odrzekłem, że dojdę z nim do skraju wsi, do wrót jego rodzinnego domu, jego ojcowizny, a potem cofnę się do głównej drogi i dalej pojedę okazją. Robiłem to wszystko nie ze współczucia czy z dobrego serca; wciąż myślałem o tym, żeby mieć jak najwięcej alibi na zakończenie wojny, a jej koniec już tuż-tuż... Pomaszerowaliśmy w gwiaździstą noc. Zakurzona droga przez zaciemnioną wieś zaprowadziła nas w podmokłą okolicę, niebieską jak kalka, z wąziutkim księżycem, którego pomarańczowe światło rzucało za nami, przed nami albo na przydrożne rowy cienki, ledwie widoczny cień... Potem weszliśmy na wzgórek, tak mały, jakby tam lekko westchnęła ziemia, i on

powiedział, że już stąd zobaczymy jego rodzinny dom i wioskę... Ale z górki nie było widać ani jednego budynku... Morderca zrobił niepewną minę. — To niemożliwe, pomyliło mi się? Chyba za tym drugim pagórkem... — wymamrotał zaniepokojony. Uszliśmy sto metrów i wtedy i mordercę, i mnie ogarnął strach... Mordercy zrobiło się słabo, i to jeszcze bardziej, niż kiedy wyszedł z bramy pankrackiego więzienia... Usiadł ocierając czoło, które lśniło, jakby ciekła po nim woda... — Co jest? — mówię. — Tutaj była wieś, a teraz nie ma nic, zwidy mam albowm zwariował czy co? — zamamrotał morderca. — A jak się ta wieś nazywała? — mówię. Powiedział, że Lidice... — No tak — ja na to — tej wsi już nie ma. Niemcy ją zrównali z ziemią, ludzi rozstrzelali, a niektórych wywieźli do kacetu. — Morderca spytał: — Ale dlaczego? — Bo zabili protektora Rzeszy, a ślady zamachowców prowadziły tutaj... — Morderca siedział z rękami zwisającymi z podkurczonych kolan niczym dwie płetwy... Później -wstał i jak pijany chodził po tej księżycowej okolicy. W końcu zatrzymał się przy takim palu, padł przed nim i objął go, ale to nie był pał, tylko pień jakiegoś drzewa, z którego sterczała jedna jedyna przycięta gałąź, jakby zostawiona do wieszania ludzi. — To właśnie — rzekł morderca — to jest nasz orzech, tutaj był nasz ogród, a tutaj, gdzieś tutaj... — Stapał powoli, potem klęknął i rękami wymacał zasypane fundamenty domu i zabudowań gospodarskich, robił to na pewniaka, niczym niewidomy czytający w alfabecie Braille'a i pomagający sobie wspomnieniami, a kiedy obmacał już na kolanach cały rodzinny dom, usiadł pod pniem i zakrzyknął: — Mordercy!

— Wstał z zaciśniętymi pięściami, a w mdłym blasku księżycy widać było, że na szyi wystąpiły mu niebieskie żyły... A kiedy się już na morderców wykrzyczał, usiadł ten morderca na ziemi, odchylił się, założył ręce pod kolana i huśtał się jak w bujanym fotelu, patrząc na tę gałąź przekreślającą mały sierp księżycy, i mówił, a brzmiało to jak spowiedź: — Pięknego miałem tatkę, piękniejszego niż ja teraz, gdzie mi tam do niego, chociaż przystojny jestem... Tatko był babiarz, a kobiety leciały na niego jeszcze bardziej niż on na nie. No i tatko zaglądał do sąsiadki, byłem o niego zazdrosny, a mamusia bardzo to przeżywała. Wypatrzyłem, że tatko — o, niech pan zobaczy — łapał za tę gałąź, rozhuśtywał się na niej, potem zgrabnie hop, i już był po drugiej stronie płotu, gdzie czekała ładna sąsiadka. Pewnego razu poczekałem na tatkę i kiedy przeleciał przez płot, pokłóciliśmy się i w tej kłótni zabiłem tatkę siekierą.

Nie chciałem go zabić, ale kochałem mamusię, a ona tak to przeżywała... a teraz został tylko pień orzecha... a moja mamusia pewnie też nie żyje... — Może jest w kaciecie, niedługo wróci — mówię. Morderca podniósł się i zapytał: — Pójdzie pan ze mną popytać? — A ja mu na to: — Czemu nie, znam niemiecki... — I powędrowaliśmy w kierunku Kladna. Przed północą byliśmy w Kroczehlawach, gdzie zapytaliśmy niemiecki patrol o budynek gestapo, i patrol wyjaśnił nam, jak tam dojść. W końcu stanęliśmy przed bramą. Na pierwszym piętrze działo się coś wesołego, gwar, hałas, jakieś pobrzękiwania i jazgotliwy kobiecy śmiech... Była pierwsza po północy, patrole zmieniały się. Spytałem dowódcę warty, czy można mówić z komendantem gestapo, a ten wrzasnął: — Was? — i żebyśmy przyszli rano, ale akurat otworzyły się drzwi i wytoczyła się z nich rozbawiona grupka umundurowanych esesmanów. Wychodzili żegnając się wesoło niczym z jakiejś popijawy, imienin

czy urodzin, podobnie jak u nas z hotelu „Paryż” co dzień wychodzili podochoceni goście, kiedy już był na nich czas albo zamykaliśmy... A na najwyższym stopniu stał jakiś oficer ze świecznikiem w ręce. Był pijany, w rozchełstanej mundurze, włosy opadające na czoło, z uniesionym na pożegnanie świecznikiem. Kiedy nas dostrzegł, zszedł na sam próg i zapytał dowódcę warty, który oddał mu honory, kim jesteśmy. A dowódca, że chcemy z nim porozmawiać. A morderca do mnie, żebym przetłumaczył, co zaraz powie, że on był w kryminale dziesięć lat i teraz wrócił do domu, do Lidie, ale nie znalazł ani domu, ani matki, więc chciałby wiedzieć, co stało się z mamusią... Komendant na to zaśmiał się, z przechylnego świecznika niczym lzy kapąły na ziemię strużki gorącego wosku... I ruszył do góry, ale za moment wrzasnął: — Halt! — Zszedł z powrotem i spytał, za co dostał tych dziesięć lat. A morderca rzekł, że zabił ojca... Komendant wziął świecznik z kapiącymi bez przerwy świecami, zbliżył go do twarzy mordercy i od razu jakby pojaśniał; najwyraźniej ucieszył się, że tej nocy los zesłał mu kogoś, kto wypytuje o swoją mamusię, a przy tym zamordował własnego ojca i jest w sytuacji, w jakiej często bywał i on, też morderca, czy to na rozkaz, czy z własnej inicjatywy... I ja, który obsługiwałem cesarza i często byłem świadkiem, jak to niewiarygodne faktem się stało, widziałem, jak morderca w służbie Rzeszy, morderca pełna gębą, przystrojony grzechoczącymi mu na piersiach odznaczeniami, stąpa schodami pod górę, a za nim kroczy pospolity morderca, ojcobójca. Chciałem odejść, ale dowódca warty chwycił mnie za ramię i wskazał schody, na które mnie brutalnie popchnął...

Znalazłem się więc przy dużym, zastawionym biesiadnymi resztkami stole; przypominało mi to stół weselny czy po wystawnym przyjęciu, kiedy goście już sobie poszli: resztki tortów, puste i zaczęte a nie dopite butelki, a pośrodku stołu siedział pijany esesman i znowu wypytywał o to, a ja tłumaczyłem, co to się stało przed dziesięciu laty przy tym pniu orzecha, ale najbardziej cieszyło go, jak doskonała jest organizacja na Pankracu, że więzień nie dowiedział się o tym, co się stało w Lidicach i z Lidicami... Ale tego wieczora jeszcze coś bardziej niewiarygodnego faktem się stało: ja, w roli tłumacza z pokiereszowaną, gojącą się twarzą, sam nie rozpoznany, w komendancie gestapo rozpoznałem jednego z uczestników mojego ślubu, tego pana oficera, który mi nie pogratulował i nawet nie podał ręki, chociaż nadstawiłem kieliszek i strzeliłem obcasami lakierków. Stałem z wyciągniętą ręką i kieliszkiem chcąc trącić się na swoje szczęście, ale nie spotkałem się z wzajemnością. I poczułem się wtenczas strasznie upokorzony, a ja tego nie cierpiałem, poczerwieniałem wtedy aż po korzonki włosów, tak samo jak kiedy pan hotelarz Szroubek nie chciał się ze mną napić i pan Skowronek też — ten, co to obsługiwał angielskiego króla... A teraz los podstawia mi następnego, który zlekceważył moją szczerą chęć zbratania się przy kieliszku... I siedzi teraz przede mną, nadęty, i łaskawie wstaje, i budzi jakiegoś szefa archiwum, a potem razem z nami bierze rejestry i szpera w nich przy biesiadnym stole, kartkując strony i mocząc je w porozlewanych sosach i likierach, aż wreszcie znajduje tę właściwą i czyta na głos o tym, co się stało, i że mamusia mordercy jest w kacecie, i jak dotąd nie ma przy jej nazwisku ani daty, ani krzyżyka oznaczającego zgon.

Kiedy na drugi dzień wróciłem do Chomutowa, byłem już zwolniony, już to do nich dotarło, i samo podejrzenie wystarczyło, żebym musiał pakować manatki. Znalazłem też list, że Liza pojechała do Zygryda, do „Amsterdamskiej” w Chebie, i żebym do nich przyjechał, a kuferek zabrała. Podjechałem więc autem pod sam Cheb, ale tam musiałem poczekać, ponieważ ogłoszono nalot na Cheb i Asz. Leżę w rowie z żołnierzami i słyszę dudnienie, taki rytmiczny, regularny odgłos pracującej maszyny, i wtedy jak żywy stanął mi przed oczyma mój syneczek; widziałem go, jak codziennie, więc na pewno i dzisiaj — bo kupiłem mu pięć kilo ośmiocalowych gwoździ — jak rytmicznie, regularnie sunie i mocnymi uderzeniami młotka za jednym zamachem wbija w podłogę gwoźdź obok gwoźdź, i to z takim zachwytem, jakby gęsto siał szpinak czy rzodkiewkę... Nalot przeszedł, wsiadłem do wojskowego samochodu i kiedy dojeżdżaliśmy do Chebu, zobaczyliśmy idących stamtąd ludzi, starych Niemców, którzy wyśpiewywali jakieś piosenki, wesołe piosenki. Być może przez to, co widzieli, powariowali albo im odbiło, a może taki już mieli zwyczaj, pośpiewać sobie w nieszczęściu coś wesołego. I zaraz powitał nas pył i złoty dym, w rowach widzieliśmy też trupy i zaczęły się ulice z płonącymi domami. Służby sanitarne odgrzebywały na wpół zaspanych, klęczące sanitariuszki bandażowały głowy i ręce, ze wszystkich stron rozlegał się jęk i lament, a ja pomyślałem o tym, jak przejeżdżałem tędy w powozie na swój ślub i wszyscy byli upojeni zwycięstwem nad Francją i Polską. I widziałem pożerane przez ogień czerwone flagi ze swastyką; paliły się te flagi i sztandary z chrzęstem, jakby płomieniom szczególnie przypadły do smaku, płomieniom stąpającym po czerwonym płótnie w górę i podwijającym się czarnym końcem niczym ogon morskiego konika... Wreszcie stanąłem przed gorejącą, zwałoną ścianą hotelu „Amsterdamskiego”... I kiedy powiał lekki wietrzyk rozgarniając beżowe kłęby dymu i pyłu, zobaczyłem, że na ostatnim piętrze siedzi mój syneczek, bez przerwy bierze gwoździe i mocnymi uderzeniami wbija je w podłogę. Widziałem z tej odległości, jak gruba jest jego prawa ręka, właściwie nie zostało z niej nic oprócz grubego przegubu, zwyrodniałego łokcia i masywnego bicepsu, który jednym uderzeniem co rusz wbija gwoździe w podłogę, jakby nie spadły bomby, jakby nic się na świecie nie działo... Następnego dnia ludzie wrócili, powychodzili ze schronów, ale Liza, moja żona, nie przyszła. Mówili, że została gdzieś na podwórzu. Zapytałem o maleńki odrapany kuferek i powiedzieli mi, że Liza miała go zawsze przy sobie. .. Wziąłem więc kilof i cały dzień przetrząsałem podwórze. Drugiego dnia dałem syneczkowi tych pięć kilo gwoździ i on wesoło wbijał je w podłogę, podczas gdy ja szukałem swojej żony, a jego mamusi. Dopiero trzeciego dnia natrafiłem na jej buty i pomału, chociaż Zygryd darł się i płakał, że nie ma gwoździ i nikt mu ich nie przynosi, więc przynajmniej walił młotkiem w główki już wbitych bretnali, ja powoli wydostawałem z rumowiska swoją Lizę. Kiedy dokopałem się do połowy jej ciała, zobaczyłem, że skulona w kłębek ochrania fibrowy kuferek, który najprzód starannie ukryłem, a dopiero potem odgrzebałem całą swoją żonę, ale bez głowy. Podmuch powietrza urwał jej głowę, której szukaliśmy jeszcze przez dwa dni, a w tym czasie syneczek wciąż walił młotkiem, wbijał gwoździe w podłogę i w moją głowę. Czwartego dnia wziąłem kuferek i poszedłem bez pożegnania, a za mną słabły uderzenia młotka i wbijanych gwoździ,

odgłosy, które potem słyszałem prawie przez całe życie, bo tego wieczora mieli przyjechać z zakładu dla niedorozwiniętych dzieci po mojego syneczka Zygryda, natomiast Lizę pochowaliśmy we wspólnym grobie, niby z głową, ale był to tylko zwinięty i przymocowany do tułowia szal, żeby ludzie nie pomyśleli sobie Bóg wie czego... chociaż z powodu tej głowy przekopałem całe podwórze. Wystarczy wam, co? Na dzisiaj koniec.

JAK TO ZOSTAŁEM MILIONEREM

Posłuchajcie, co wam teraz powiem.

Ten kuferek z cennymi znaczkami pocztowymi przyniósł mi szczęście. Co prawda nie od razu, bo po zakończeniu wojny beknałem z małego dekretu, chociaż podałem adres tego komendanta gestapo, mordercy tylu ludzi, który uciekł i ukrył się gdzieś w Tyrolu, a ja od swego teścia z Chebu wywiedziałem się, gdzie przebywa, i Zdeniek dostał pozwolenie od amerykańskich urzędów, i pojechał po niego samochodem z dwoma żołnierzami. Nakrył go ubranego w tyrolskie spodnie i z zapuszczoną brodą, jak kosił łąkę.

Ale nawet gdybym go przymknął osobiście, to i tak sokoły z Pragi wpakowałyby mnie do kryminału, nie za to, że wziąłem sobie Niemkę za żonę, lecz za to, że podczas gdy ginęły tysiące czeskich patriotów, ja stałem przed nazistowskim urzędem do spraw krwi i ochrony niemieckiego honoru i pozwalałem się badać, ja, członek „Sokoła”, poddałem się dobrowolnie badaniom, czy mogę być dopuszczony do spółkowania z germańską aryjską kobietą, więc właśnie za to dostałem pół roku z małego dekretu... Potem jednak zacząłem sprzedawać te znaczki i dostałem za nie takie sumy, że pokryłem nimi dziesięć podłóg swojego mieszkania, a kiedy uzbierałem już sumę pokrywającą czterdzieści podłóg, kupiłem na peryferiach Pragi hotel z czterdziestoma pokojami... Tyle że zaraz pierwszej nocy wydawało mi się, że w najwyższym mansardowym pokoju co minutę ktoś z łomotem wali ciesielskim tasakiem, wbijając w podłogę gwoździe, a później już codziennie, i nie tylko w tym pierwszym pokoju, ale też w drugim, trzecim, dziesiątym, a wreszcie i w czterdziestym, we wszystkich naraz, zdawało mi się, że po każdej z tych podłóg łązi na czworakach mój synek, czterdziestu syneków, i każdy trrach! wbija w podłogę gwoździe, w jedną podłogę po drugiej, i tak co dzień, aż do czterdziestu... A kiedy czterdziestego dnia ogłuszony uderzeniami wypytywałem, czy ktoś słyszy walenie młotkiem, i nikt tego nie słyszał oprócz mnie, wymieniłem ten hotel na inny. Specjalnie wziąłem hotel tylko z trzydziestoma pokojami, ale historia zaczęła się identycznie jak w pierwszym, więc uznałem, że pieniądze za te znaczki nie były uczciwie zdobyte, że zabrano je komuś przemocą i ten ktoś został przy tym zabity, a być może znaczki należały do jakiegoś rabina cudotwórcy, bo uderzenia i gwoździe wbijane w podłogę były przeznaczone dla mojej głowy; przy każdym uderzeniu czułem, jak bretnal wchodzi mi w czaszkę, wsuwa się w nią do połowy, a później cały. W końcu nie mogłem nawet przełykać, bo te długie gwoździska przebiły mi się aż do gardła... Ale nie zwariowałem, ponieważ mój cel był jasny: mieć hotel i dorównać wszystkim hotelarzom, nie chciałem więc i nie mogłem ustąpić, bo żyłem tylko tym obrazem, że może kiedyś dochrapię się tego co pan hotelarz Brandejs, nie trzystu złotych nakryć tak jak on, ale tylko stu kompletów złotych sztućców, i że będą u mnie mieszkali słynni cudzoziemcy... Zacząłem więc budować hotel zupełnie inny niż wszystkie. Kupiłem pod Pragą opuszczony kamieniołom i zacząłem tam wszystko udoskonalać i upiększać, tak jak to było w hotelu „Cichy Kącik”. Najważniejszą częścią hotelu była olbrzymia kuźnia z glinianym klepiskiem i dwoma kominami; zostawiłem w niej nawet cztery

kowadła, wszystkie młoty i kleszcze wiszące na czarnych ścianach. Pokupowałem skórzane fotele i stoły, wszystko według rady architekta, pomyślna, który u mnie spełniał swoje marzenia i był identycznie zapalony jak ja, bo ja, jeszcze tego samego dnia kiedy kuźnia została zaadaptowana, zostałem tam spać. W tych kominach i kowalskich piecach, na roznach, na oczach gości miały się piec szaszłyki i żywańskie pieczenie. I tej pierwszej nocy usłyszałem uderzenia, tyle że słabiutkie, bo w gliniane klepisko gwoździe wchodziły jak w masło, więc przycichło także w mojej głowie i z jeszcze większym zapalem zabrałem się do przygotowywania pokoi gościnnych, takich małych kabin, które powstały z długiego baraku, przypominającego te w kacetach. Dawniej były tu szatnie dla robotników i ubikacje, ale ja zamieniłem je w pokoiki, w trzydzieści małych pokoi, i na próbę kazałem zrobić podłogę z nie obrobionych chropowatych kafelków, takich, jakie bywają we Włoszech i Hiszpanii, i w ogóle tam, gdzie jest gorąco. I zaraz pierwszego dnia nasłuchiwałem, ale usłyszałem tylko, jak gwoździe ześlizgują się z mojej głowy krzesząc iskry, tak twarda była ta masa, a potem po nieudanych próbach uderzenia całkiem ucichły, a ja wyzdrowiałem i zacząłem sypiać jak dawniej... Prace przy budowie szły tak szybko, że po dwóch miesiącach hotel był już otwarty. Nazwałem go „Przełom”, bo coś się we mnie przełamało i odeszło. To był naprawdę pierwszorzędny hotel, noclegi były wyłącznie na uprzednią rezerwację. Stał w lesie, a pokoje otaczały łukiem niebieskie jezioro na dnie kamieniołomu z granitową skałą, wznoszącą się na wysokość czterdziestu metrów. Kazałem alpinistom zasadzić alpejskie rośliny i ozdobne krzewy rosnące w podobnych warunkach, a co więcej, w poprzek stawiku zwisała stalowa lina, jeden jej koniec był przywiązany na szczycie, więc lina opadała na sam dół. Każdego wieczora była u mnie atrakcja, bo wynająłem artystę, który używał takiego stalowego kółka, przez które przechodził krótki pręt. Artysta wyczekiwał na odpowiedni moment, odbijał się i zjeżdżał z tej wysokości, i nad jeziorem, oświetlony przez fosforyzujący strój, puszczał pręt, kółko zjeżdżało samo, on zaś na moment zawisał w powietrzu, składał się w scyzoryk, po czym wyprostowywał się i z wyciągniętymi rękami zanurzał w głębokim jeziorze, a potem powoli płynął w obcisłym fosforyzującym stroju do brzegu, gdzie stały stoliki i krzeselka. Wszystko było białe; kazałem pomalować wszystko na białe, biel była teraz moim kolorem. Miałem tam po prostu Barrandow⁷, tyle że oryginalny, i mogłem obecnie rywalizować z każdym, ale szczerze mówiąc... ten numer z kółkiem to był pomysł pikolaka, który jednego popołudnia wszedł na tę górę, tam ujął kółko i zjechał w dół, a kiedy był pośrodku, puścił pręt. Wszyscy goście krzyknęli z przerażenia i wstali, a inni opadli na foteliki, wszystkie fotele były w ludwikowskim stylu, a pikolak wyprostował się, potem złamał się w powietrzu i we fraku skoczył na głowę, nikonąc w głębinie, jakby go jezioro pochłonęło... A ja momentalnie wiedziałem, że tak musi być każdego wieczora, obowiązkowo w fosforyzującym stroju. Stracić na tym nie mogłem, a choćby nawet, to czegoś takiego nikt nie miał, nie tylko w Pradze, ale w całych Czechach i pewnie w całej środkowej Europie... Dowiedziałem się później, że nawet na świecie, bo kiedyś zameldowali mi, że przyjechał i zamieszkał u mnie pisarz, nazywał się Steinbeck... Wyglądał jak kapitan marynarki albo rozbójnik i podobało mu się tutaj, ta kuźnia

⁷ Miasteczko filmowe pod Pragę

zamieniona na salę restauracyjną, ogień i ci kucharze pracujący na oczach gości, a kiedy szaszłyki czy pieczenie już dochodziły, goście od tego patrzenia tak głodnieli, tak się rwali do jedzenia, że przypominali wtedy dzieci... Ale ten pisarz najbardziej sobie upodobał wszystkie te maszyny do kruszenia granitu, takie zakurzone młyny z odsłoniętym mechanizmem o strukturze rusztowania, wszystko było widać niby na wystawie młynów albo samochodów, które są pokazane w przekroju, żeby silnik też był widoczny. Więc ten pisarz był oczarowany maszynami stojącymi na równinie przed kamieniołomem, skąd roztaczał się widok na okolicę. Stały tam te maszyny niczym dziesiątki rzeźb, takie frezarki czy tokarki do kamieni, teraz porzucone, niczym dzieła pomyślonych rzeźbiarzy. I ten pisarz, Steinbeck mu było, kazał sobie ustawić tam biały stół z białymi ażurowymi fotelami i krzesłami i codziennie tam popijał, przed południem jedną, a wieczorem drugą butelkę francuskiego koniaku... I popatrywał przez te maszyny na okolicę, smętną okolicę pod Wielkimi Popowicami, ale dla niego ta okolica była cudowna, a maszyny były dziełami sztuki, więc powiedział mi, że czegoś takiego jeszcze nie widział, jeszcze w takim hotelu nie mieszkał, że w Ameryce coś takiego mógłby mieć tylko jakiś sławny aktor, taki Gary Cooper albo Spencer Trący, a z pisarzy stać by na to było wyłącznie Hemingwaya, i ile bym za to chciał, a ja odparłem: dwa miliony... Obliczał coś na stole, a potem poprosił mnie, żebym przyszedł, wyjął książeczkę czekową i rzekł, że kupuje i że wystawi dla mnie czek na pięćdziesiąt tysięcy dolarów... Zapytałem parę razy: — Ile? — a on za każdym razem dodawał: sześćdziesiąt, siedemdziesiąt, osiemdziesiąt tysięcy dolarów... Ale ja widziałem już i wiedziałem, że nie mogę sprzedać hotelu, tego całego interesu, choćby nawet za milion dolarów, bo hotel „Przełom” był szczytem moich marzeń, ukoronowaniem moich wysiłków, i że teraz jestem pierwszym hotelarzem wśród hotelarzy, bo takich hoteli, jakie mają pan Brandejs czy pan Szroubek, są na świecie setki, tysiące, ale nikt nie ma takiego jak ja... Zdarzyło się raz, że zjechali samochodem najwięksi prascy hotelarze, z panem Brandejsem i Szroubkiem włącznie, i zamówili kolację. Kelnerzy i pikolacy jak najstaranniej, jak najgustowniej przygotowali dla nich stół, a ja tylko dla nich zainstalowałem dziesięć reflektorów oświetlających od dołu skałę, ukrytych między różnecznikami i rozstawionych tak, żeby podświetlona była cała skała, żeby uwypukliły się ostre krawędzie, fantastyczne cienie, kwiaty i krzaczki, i postanowiłem, że jeśli ci hotelarze zechcą się ze mną pogodzić i przyjąć mnie do siebie, i jeśli zaproponują członkostwo w kolegium hotelarzy, to zapomnę o wszystkim tak jak i oni. Ale udawali, że nigdy mnie nie widzieli, a na dobitkę usiedli plecami do wszystkich wspaniałości mojego lokalu, lecz ja zachowywałem się identycznie, wypiąłem się na nich i czułem się zwycięzcą, bo -widziałem, że tamci odwrócili się plecami do niepowtarzalnych atrakcji mojego interesu tylko dlatego, że widzieli i przekonali się, że ich zakasowałem, bo właśnie u mnie gościł Steinbeck i jeszcze Maurice Chevalier, z powodu którego przyjechało tu pełno kobiet, które zatrzymały się w pobliżu „Przełomu”, i Chevalier przyjął je rano w piżamie, a one, te wielbicielki, rzuciły się na niego, ściągnęły z pieśniarza piżamę i porozrywały ją na kawałeczki, tak żeby każdej został na pamiątkę strzępek tej piżamy, a gdyby mogły, rozszarpałyby samego Chevaliera zabierając na pamiątkę kawałki mięsa, każda wedle swego upodobania, chociaż tak na oko chyba każda

wyrwałaby słynnemu śpiewakowi najpierw serce, a potem jego męskość... A za Chevalierem ściągnęło tylu dziennikarzy, że fotografia mojego „Przełomu” była nie tylko we wszystkich naszych, ale i w zagranicznych pismach; dostałem numery „Frankfurter Allgemeine”, „Zuricher Zeitung”, „Die Zeit” i nawet w „Herald Tribune” był mój hotel z kobietami szalejącymi wokół Chevaliera pośrodku poletka, na którym stały te rzeźby z maszyn, maszyny otoczone białymi stolikami i krzesłami, których oparcia miały stylizowane wąsy winorośli zrobione z żelaznych płytek przez kowali-artystów... Więc ci hotelarze przyjechali nie po to, żeby się ze mną pogodzić, tylko dlatego, że to, co zobaczyli, było o wiele bardziej wspaniałe i piękniejsze od tego, co sobie wyobrażali, a przede wszystkim dlatego, że teraz, kiedy już to zobaczyli, przekonali się, że kupiłem ten kamieniołom i całą resztę za psi pieniądź. I pewnie jeszcze zazdrościli mi pomysłu, że zostawiłem wszystko w tym stanie, w jakim to kupiłem, a hotel zainstalowałem w środku, i ktoś, kto się choć trochę znał na rzeczy, doceniał to i mnie też, niczym jakiego artystę... i to był dla mnie szczyt wszystkiego, to zrobiło ze mnie człowieka, który wie, że nie żyje nadaremnie. Z czasem i ja zacząłem patrzeć na ten mój hotel jak na dzieło sztuki, moje dzieło, i to tylko dlatego, że tak go -widzieli inni... otworzyli mi oczy, a ja dopiero potem, wprawdzie późno, ale jednak zrozumiałem, że te maszyny też są rzeźbami, pięknymi rzeźbami, których nie oddałbym za nic. Ba, w końcu stwierdziłem, że mój „Przełom” przypomina zbiory podróżników Holuba i Naprstka, i na pewno nadejdzie chwila, kiedy na każdej maszynie, na każdym kamieniu, na wszystkim będzie naklejka „Obiekt chroniony”... A mimo to czułem się poniżony przez hotelarzy, bo dalej dawali mi do zrozumienia, że do nich nie należę, że nie jestem im równy stanem, chociaż byłem od nich lepszy. Nocami często żałowałem, że nie ma już starej Austrii, bo gdyby były manewry i zamieszkałby u mnie nie sam cesarz, ale choćby tylko arcyksiążę i ja bym go obsłużył, przygotował ekstra kwatery i także dania, to na pewno nadałby mi szlachecki tytuł, może nie z tych najwyższych, powiedzmy barona... Rozmarzyłem się, a kiedy nadeszły wielkie upały, na polach wszystko usychało, ziemia pękała, a dzieci wrzucały do szczelin w ziemi błagalne liściki, ja marzyłem o zimie, jak to spadnie śnieg i przyjdą mrozy, a -wtedy wypoleruję taflę jeziora i postawię na niej dwa stoliki, na nich dwa stare patefony, jeden z niebieską, a drugi z różową muszlą, podobne do dużych kwiatów, kupię stare płyty i będę puszczał same stare walczyki i charakterystyczne intermezza, w kuźni będzie płonąć ogień, na brzegu jeziora w stalowych koszach palić się będą polana, a goście będą jeździć na łyżwach, nakupię pełno starych łyżew, takich na rzemyki, albo je każę zrobić, i panowie klęcząc będą przypinać łyżwy paniom, i będzie się serwować gorące poncze... Tak sobie marzyłem, a tymczasem gazety i partie polityczne klóciły się, kto zapłaci za tę suszę, podczas której tak pięknie marzyły mi się zimowe igraszki w „Przełomie”. W parlamencie posłowie i członkowie rządu też się klócili w sprawie suszy i w końcu u-zgodnili, że straty pokryją milionerzy. Przyjąłem tę uchwałę z zadowoleniem, bo milionerem byłem i ja, liczyłem na to, że jako milioner trafię do gazet, że moje nazwisko pojawi się obok Szroubka, Brandejsa i reszty. Uznałem, że suszę zesłała mi moja szczęśliwa gwiazda, a to nieszczęście jest moim szczęściem, dzięki któremu znajdę się tam,

gdzie zawsze marzyłem śnić o tym, jak to arcyksiążę nadaje mi szlachecki tytuł i ja, ciągle taki maleńki jak dawniej, kiedy robiłem za pikolaka, teraz jestem wielki, jestem milionerem... Ale upływały miesiące i nikt mi niczego nie przysłał, nikt nie chciał, żebym zapłacił milionerski haracz. Kupiłem już dwa patefony, kazałem przywieźć przepiękny orkiestron i jeszcze starą karuzelę z tak wielkimi końmi na biegunach, jeleniami i reniferami, że poleciłem karuzelę rozmontować, a konie, jelenie i renifery ustawiłem na okalającym jezioro krawężniku i każdy gość siadał z małżonką jak na szezlongu, tej francuskiej kanapce podobnej do zwróconych ku sobie dwu foteli, na których można było siedzieć z panią i konwersować. Ustawiłem parę jeleni i parę koni obok siebie, jak gdyby szykowało się paradna przejażdżka, i naprawdę chwyciło to. Faceci ze swoim damskim towarzystwem przesiadywali wciąż na koniach i jeleniach, przygrywał im orkiestron, a goście huścili się na tych drewnianych zwierzętach z przepięknymi czaprakami, cudnymi oczami i w ogóle, wszystko było piękne, bo to była niemiecka karuzela jakiegoś bogatego właściciela strzelnicy i lunaparku... Kiedyś niespodzianie wpadł do mnie Zdeniek, który był w powiecie wielką figurą, kto wie, może i w województwie. Zmienił się nie do poznania, nie był już tym kim dawniej. Huścili się na koniu rozglądając się wokół, a kiedy przysiadłem na sąsiednim koniu, cicho przemówił, a potem na dowód swoich słów wziął złożony papier i zanim zdążyłem mu przeszkodzić, powoli podał pismo, które głosiło, że jestem milionerem i że mam zapłacić milionerski haracz. Zdeniek zeskoczył i wrzucił w ogień to dla mnie tak •wspaniałe pismo, ten mój awans. Uśmiechnął się smutno, dopił mineralną — on, który zawsze pił wyłącznie mocne trunki — i ze smutnym uśmiechem poszedł sobie. Czekala na niego limuzyna, czarne auto, które miało go powieźć tam, skąd przyjechał, do polityki, którą robił i w którą chyba wierzył, która go pochłonęła i pewnie była piękna, skoro potrafiła mu zastąpić te wszystkie jego brawurowe numery, kiedy to prawie zawsze przepuścił całą forszę, jaką miał przy sobie, a on zawsze wykręcał jakiś ludoma-ński numer, jak gdyby ta forsa go parzyła, więc rozdawał ją ludziom sądząc, że ona im się należy... Wydarzenia goniły jedno za drugim, a ja, tak jak to sobie wymarzyłem, urządziłem w „Przełomie” bombowe wieczory i popołudnia, więc były i patefony, i ślizgawki, i ognie, zarówno w kuźni, jak i wokół zamrożonego jeziora, ale przyjeżdżający goście byli smutni albo dla odmiany weseli, z tym, że nie była to ta wesołość, jaką znałem, raczej taka wesołość na siłę, jaką okazywali Niemcy, kiedy cieszyli się wiedząc, że ze swymi żonami i kochankami są w „Koszyczku” po raz ostatni, a potem prosto na front... I ci moi goście też się ze mną żegnali, podawali rękę i machali z samochodów, jakby odjeżdżali ten ostatni raz i już nigdy więcej nie mieli tu przyjechać. A kiedy jednak się zjawili, znowu zachowywali się tak samo; byli melancholijni, przygnębieni, bo chociaż tam się jeszcze tego tak nie odczuwało, to przecież w polityce wszystko wzięło w łeb. Był Luty⁸ i wszyscy moi goście wiedzieli, że to ich koniec, szastali forszę na prawo i lewo, ale radość i nie udawana wesołość zniknęły. I ja dzieliłem ten grobowy nastrój i już nie zamykałem się co noc, żeby za zaciągniętymi zasłonami niczym w pasjansie rozkładać na podłodze stu-koronówki z codziennego utargu, który każdego dnia odnosiłem rano do banku, gdzie naskładałem

⁸ Chodzi o tzw. "Zwycięski luty" 1948 roku, kiedy w Czechosłowacji władzę przejęli komuniści

już milion koron — właśnie w tych dniach... Nadeszła wiosna taka jak wtedy, kiedy niemieccy oficerowie, przynajmniej niektórzy, wracali do „Koszyczka”, i moi goście, moi stali bywalcy przestali przychodzić. Dowiedziałem się, że zostali straceni, aresztowani, niektórzy uciekli za granicę... I przychodzili inni goście, utargi były nawet większe, aleja wciąż myślałem, co też stało się z tymi, którzy bywali u mnie każdego tygodnia. Kiedyś zjawili się dwóch takich i powiedzieli mi, że są milionerami i że następnego dnia muszą się przygotować, spakować solidne buty, koc, skarpetki na zmianę i jedzenie, bo zostaną przewiezieni do jakiegoś obozu, ponieważ są milionerami... Ucieszyłem się, że też jestem milionerem, przyniosłem książeczkę bankową i pokazałem ją tym moim gościom — jeden miał fabrykę sprzętu gimnastycznego, drugi robił interes na sztucznych zębach — a oni dopiero wtedy mi to powiedzieli. Więc pokazałem im tę książeczkę i zaraz poszedłem i wziąłem plecak, solidne sznurowane buty, skarpetki na zmianę i konserwy. Przygotowałem się, bo na pewno i po mnie przyjdą, ponieważ ten fabrykant od sztucznych zębów powiedział, że wszyscy prascy hotelarze dostali takie wezwanie... Nad ranem odjeżdżali z płaczem, bo nie mieli odwagi uciec za granicę, nie chcieli już niczego ryzykować. Mówili mi tylko, że Ameryka i Narody Zjednoczone coś z tym zrobią i że dostaną wszystko z powrotem, i wrócą do swoich willi i rodzin... A ja czekałem dzień, dwa, potem tydzień, z Pragi dostałem wiadomość, że wszyscy milionerzy są już w obozie, urządzonym w seminarium duchownym Świętego Jana pod Skałą, w ogromnym klasztorze i pensjonacie dla przyszłych księży, którzy zostali stamtąd wyrzuceni... I tego dnia, kiedy przyszli do mnie z powiatu, zdecydowałem się. Powiedzieli dyskretnie, że rada narodowa zabiera mi „Przełom”, że na razie jestem jego administratorem, a wszystkie prawa majątkowe przechodzą w ręce ludu... A ja zakipiałem z nienawiści, domyśliłem się, że znowu była to robota Zdeńka, i pojechałem do powiatu. Wylądowałem w jego gabinecie, a on wpierv wcale się nie odzywał, tylko uśmiechał się smutno, a potem ze swego stołu wziął jakieś papiery i na moich oczach je podarł, i oświadczył, że na własną odpowiedzialność zniszczył moje wezwanie za to, że wtedy z tym patrzyeniem na zegarek, niby która godzina, wpadłem zamiast niego. A ja mu na to, że tego się po nim nie spodziewałem, myślałem, że jest moim kumplem, ale on robi mi świństwo, bo ja przez całe życie chciałem właściwie tylko jednego, reszta mnie nie obchodziła — mieć hotel i być milionerem... I poszedłem sobie, a w nocy zjawiłem się przed bramą oświetlonego seminarium, przy której stał milicjant z karabinem. Zameldowałem mu, że jestem hotelarzem milionerem i że chcę rozmawiać w ważnej sprawie z komendantem... Milicjant zatelefonował i po chwili wpuścił mnie do bramy, a stamtąd do biura, gdzie też siedział milicjant, ale bez karabinu. Miał przed sobą jakieś wykazy i papierzyska, i flaszkę z piwem, z której nieustannie popijał... a kiedy dopił, sięgnął pod stół i wyciągnął ze skrzynki kolejną butelkę, otworzył ją i łapczywie pociągnął, jakby gasił pierwsze pragnienie... Zapytałem go, czy nie brakuje im jakiegoś milionera... bo nie dostałem wezwania, a też jestem milionerem... Przeglądał papiery przejeżdżając ołówkiem po nazwiskach i rzekł, że nie jestem milionerem i że bym spokojnie wracał do domu... Ja wtedy, że to musi być pomyłka, bo jestem milionerem, ale on złapał mnie za ramię, wyprowadził pod bramę, popchnął i wrzasnął: — Jak pana nie mam na -wykazie, znaczy się milionerem pan nie jesteś!

— Wyjąłem książeczkę bankową i pokazałem mu, że mam na niej milion, sto koron i dziesięć halerzy... — A to co? — spytałem triumfalnie. Spojrzał na książeczkę, a ja go molestowałem: — Niech mnie pan nie wypędza... — I on się ulitował, zaciągnął mnie do seminarium i oświadczył, że jestem internowany, zapisując wszystkie moje dane i niezbędne informacje...

Ten internat dla studiujących teologię przypominał bardziej kryminał, koszary albo bursę dla ubogich studentów, tyle że na korytarzach w każdym załamaniu, między oknami, wszędzie wisiał krucyfiks na zmianę ze scenami z żywotów świętych. I prawie na każdym z tych obrazów przedstawiona była męka, przerażający horror oddany przez malarza z taką dokładnością, że w porównaniu z tym czterystu milionerów mieszkających w księżych celach po czterech albo sześciu to była mucha. Tak po prawdzie spodziewałem się, że będzie tu panował terror i represje jak wtedy, kiedy po wojnie siedziałem pół roku w kryminale z małego dekretu, ale gdzie tam, w tym seminarium Świętego Jana to była groteska. W refektarzu urządzono sąd. Milicjanci zjawili się z czerwonymi opaskami na ramionach i z karabinami, rzemienie ciągle im opadały, mundurów nie mieli szytych na miarę, ale jakby specjalnie źle wyfasowane, dla niskich były za duże, a dla wysokich małe, więc woleli chodzić porozpinani. I sadzili nas tak, że za każdy zaczęty milion dostawał milioner rok, czyli ja za dwa miliony dostałem dwa lata, ten fabrykant od sprzętu gimnastycznego, jako że miał cztery miliony, dostał cztery lata, a najwięcej zarobił hotelarz Szroubek, dziesięć lat, bo miał dziesięć milionów. Ale najbardziej głowili się, w jakich rubrykach zapisać te wyroki i dane personalne, i jeszcze mieli cholerny problem, jak nas wieczorem porachować, bo każdego wieczora kogoś brakowało, a to dlatego, że chodziliśmy z bańkami po piwo do sąsiedniej wsi, i pewnie jeszcze dlatego, że nasi wartownicy wciąż pili, no i nie mogli nas zliczyć, chociaż liczenie zaczynało się już po południu. Zastosowali więc metodę odliczania do dziesięciu — jeden liczył, drugi klaskał i wtedy trzeci upuszczał kamyczek, a później, kiedy doszli do ostatniego, rachowali kamyczki dodając do wyniku zero i tę resztę, która nie była okrągłą dziesiątką. Ale i tak codziennie było nas albo więcej, albo mniej, chociaż byliśmy wszyscy. A jak się zdarzyło, że liczba internowanych milionerów zgadzała się, została zapisana i wszyscy z ulgą odetchnęli, to w tym momencie przychodzili czterej milionerzy ze skrzynkami i bańkami piwa, więc żeby już nie mieszać, uznawali ich za nowych i każdy z tych milionerów fasował kolejne lata, według milionów, które zgłosił wcześniej.

Był to wprawdzie internat, ale bez płotu. Milicjanci siedzieli w bramie, a milionerzy wychodzili i wracali przez ogród, ale milicjanci zawracali ich do bramy, którą każdorazowo otwierali i zamykali, do tego jeszcze na klucz, chociaż wokół nie było ani płotu, ani muru. Milicjanci też skracali sobie czasem drogę przez ogród, ale zawsze odzywało się w nich poczucie obowiązku, więc zawracali i z kluczem w ręce obchodzili bramę przez ogród, otwierali ją, wchodzili i znów zamykali, a dopiero potem szli do internatu. Były też kłopoty z wiktem, ale prędko zniknęły, bo komendant i milicjanci woleli jeść z milionerami, a tym, co im przywozili z milicyjnej stołówki, tym się skarmiało prosiaki, które kupił milioner, fabrykant od sztucznych zębów. I na początku było dziesięć, później dwadzieścia prosiąt i wszyscy cieszyli się na świniobicie, bo byli tam też milionerzy właściciele wielkich rzeźni,

którzy obiecywali takie specjały, że milicjanci tylko się oblizywali i sami podsuwali pomysły, jakie to pyszności można z prosiaka przyrządzić. No i po jakimś czasie gotowało się tu nie jak w internacie dla przyszłych duchownych, ale jak w bogatych klasztorach, na przykład u krzyżowców. A jak któremuś z milionerów skończyły się pieniądze, wtedy komendant wysyłał takiego milionera po pieniądze do domu. Najpierw jeździł z nim milicjant w cywilu, ale później wystarczyła przysięga i internowany mógł wyskoczyć do Pragi i podjąć pieniądze z książeczki, z tego miliona czy milionów, bo komendant dawał zaświadczenie, że te pieniądze są na cele publiczne. I takeśmy sobie w tym internacie dogadzali; było nawet układane menu, które komendant otrzymywał do wglądu, żeby raczył wyrazić swoje uwagi, bo milionerzy traktowali milicjantów jako swych gości, no i w jadalniach i refektarzach zasiadaliśmy wszyscy razem... Milioner Tejnora dostał raz zgodę na wyjazd do Pragi po kwartet muzykantów, takich byle grajków, i kiedy przyjechał z nimi taksówką, bo tutaj z czasem wszyscy wozili się taksówką aż do krzyżówki, przeszli obok zamkniętej bramy do tego milionerskiego kacetu, a jako że była już północ, zbudzili wartownię i z powrotem wyszli przed bramę, której rozespiani wartownicy nie potrafili otworzyć, więc milioner przeszedł przez ogród z drugiej strony, wziął od nich klucz, wyszedł na powrót przed bramę i otworzył ją, ale potem nie mógł zamknąć, bo klucz coś nie pasował, więc znów wszedł do środka, tam zamknął bramę i oddał klucz... Często myślałem, jaka szkoda, że Zdeniek nie jest milionerem, ten byłby tu w swoim żywiole i na pewno rozkurzyłby nie tylko wszystkie swoje pieniądze, ale też tych, którzy nie mieli fantazji, co z tymi milionami zrobić... Po miesiącu wszyscy ukarani milionerzy byli opaleni, bo opalaliśmy się na stoku, tymczasem milicjanci byli bladzi, ponieważ jak nie stali w bramie, to sporządzali raporty. Siedzieli po celach i za nic nie mogli sklecić raportu o stanie osobowym, bo niektóre nazwiska, jak Nowak czy Nowy powtarzały się nawet trzykrotnie itepe, a do tego bez przerwy musieli być w pełnym rynsztunku, karabiny i ładownice wciąż im się zsuwały, a oni wciąż gumowali i przepisywali te raporty, które w końcu robił za nich każdy milioner hotelarz po kolei, bo dla nich to było jak ułożenie menu. A ponieważ po tym katolickim seminarium został też majątek, w którym było dziesięć krów i udój z tyłu wymion nie wystarczał na poranną kawę — a podawało się tu prawdziwą białą kawę, do której wlewało się kieliszek rumu, co wprowadził pan hotelarz Szroubek, który nauczył się tego w „Cafe Sacher” w Wiedniu — więc fabrykant od lakierów i sproszkowanych barwników dokupił pięć krów i teraz mleka było już dość. Niektórzy nie cierpieli białej kawy i rano gołnął sobie taki kieliszek rumu albo pili ten rum z garnca, takiej kamionki, bo jedli jeszcze w nocy, więc musieli się napić na lepsze trawienie.

Raz w miesiącu przychodziły na widzenie rodziny i to było piękne. Komendant kupił biały sznur do wieszania bielizny i rozciągnął go wokół nie istniejącego muru, a jak sznura zabrakło, zrobił obcasem linię dzielącą internowanych i internat od zewnętrznego świata... I kiedy przychodziły żony z dziećmi i plecakami i torbami z jedzeniem, węgierskim salami i konserwami z zagranicznych firm, a myśmy się starali wyglądać na zabiedzonych, chociaż byliśmy opaleni i dobrze odżywieni, to gdyby ktoś nie wiedział, kto jest kto, na pewno pomyślałby, że siedzą ci, którzy przyszli na widzenie, a kryminał jest

z drugiej strony, bo widać było, że internowanie milionerów gorzej znosili krewni niż sami milionerzy. A jako że wszystkiego zjeść się nie dało, więc my, milionerzy, dzieliliśmy się z milicjantami, którym wszystko tak smakowało, że wydebili od komendanta zgodę na dwa widzenia miesięcznie, co dwa tygodnie jedno... Zdarzyło się kiedyś, że nie mieliśmy pod ręką czterdziestu czy pięćdziesięciu tysięcy, i komendant zezwolił, żeby fachowcy wyszperali z klasztornej biblioteki cenne książki, i wozilo się je samochodem do Pragi, do antykwariatu... A potem ktoś wpadł na pomysł, że można by sprzedawać pościel i nocną bieliznę, i wyprawki dla przyszłych księży od Świętego Jana pod Skałą, na której stokach opalaliśmy się i ucinaliśmy poobiednie drzemki... ale to właściwie była musztarda po obiedzie, bo milionerzy wcześniej o tym pomyśleli i od dawna już przebierali w tych pięknych prześcieradłach, tych długich nocnych koszulach z podgórszych tkalni, od dawna wynosili w walizkach piękne ręczniki, całymi grosami; pełno tego było w magazynach, bo każdy przyszły ksiądz dostawał na odchodnym wyprawkę, której nikt nie kontrolował, nikt nie ewidencjonował, a teraz to wszystko było do dyspozycji milicjantów i milionerów, żeby w tym milionerskim obozie nie załęgła się jakaś choroba zakaźna, cholera, krwawa biegunka czy tyfus... Z czasem na urlop wybierali się i milionerzy, tamci mieli do nas zaufanie i wiedzieli, że nie uciekniemy, a gdyby nawet, co dwa razy rzeczywiście się przytrafiło, ale wtedy przyprowadziliśmy innego milionera, dobrego znajomego, żeby sobie odpoczął od rodziny... Kiedyś milicjanci przebrali się w cywilne ciuchy, a my, milionerzy, wzięliśmy ich mundury i pilnowaliśmy samych siebie. Najbardziej cieszyliśmy się z warty w niedzielę albo z soboty na niedzielę, bo to była taka groteska, jakiej by sam Chaplin nie wymyślił. Całe popołudnie zabawialiśmy się w likwidację obozu milionerów. Dowódca warty, milioner Tejnora w milicyjnym przebraniu, oznajmił, że obóz ulega likwidacji i milionerzy mogą iść do domu, ale milionerzy się pochowali, więc ci przebrani za milicjantów perswadowali im opisując, jakie to piękne jest życie na wolności, że nie będą tam cierpieć i jęczeć pod knutami milicjantów, tylko prowadzić wolne życie milionerów... Ale milionerzy nie chcieli tego nawet słuchać i wtedy milioner Tejnora przebrany za milicjanta zarządził akcję przymusowej likwidacji obozu.

Wywlekaliśmy więc z cel milionerów, tych, co mieli po dziesięć i osiem milionów, czyli po dziesięć i osiem lat, a potem nie mogliśmy znaleźć kluczy, żeby otworzyć bramę, więc milionerzy obiegli ją, otworzyli z zewnątrz, znów obiegli bramę i ustawili się, a my, którzyśmy się temu przyglądali, ryczeliśmy ze śmiechu, bo milionerzy zostali przez milicjantów wywleczeni na zewnątrz i zamknięto za nimi bramę. Milionerzy doszli na wzgórek, tam się rozejrzeli, zastanowili chwilę, po czym wrócili i zaczęli się dobijać do bramy kryminału, prosząc na klęczkach milionerów przebranych za milicjantów, żeby im udzielili azylu... I ja się z tego śmiałem, ale tak naprawdę wcale mi do śmiechu nie było, bo chociaż byłem z milionerami, to i tak nie dostałem się między nich, mimo że spałem z samym panem Szroubkiem, hotelarzem. Zachowywał się w stosunku do mnie jak obcy, ba, nie pozwolił nawet, żebym mu podał łyżkę, która spadła. Podniosłem ją i trzymałem w wyciągniętej ręce, stojąc w tej naszej sali jadalnej, tak jak przed laty z kieliszkiem, kiedy to nikt nie chciał się ze mną trącić, a pan hotelarz poszedł po nową łyżkę i jadł nią zupe, tę zaś, którą położyłem mu przy jego sztuccach, z

obrzydzeniem popchnął serwetka, aż spadła na podłogę. I wszyscy widzieli, jak pan hotelarz kopnął tę łyżkę nogą, aż poleciała pod refektarzowy stół na duchowne szaty... Śmiałem się, chociaż wcale nie było mi do śmiechu, bo jak tylko zaczynałem mówić o swoim milionie, o swoim lokalu „Przełom”, wtedy wszyscy milionerzy milkli spoglądając gdzieś indziej; oni nie uznawali tego mojego miliona, moich dwóch milionów, i zrozumiałem, że mnie tylko wśród siebie tolerują, ale nie jestem ich godny, ponieważ ci milionerzy mieli swoje miliony od dawna, jeszcze przed tą wojną, natomiast ja byłem wojennym dorobkiewiczem, którego do swojego grona nie tylko nie chcą, ale i nie mogą przyjąć, bo nie byłem standes-mesig. Pewnie tak samo byłoby z tym moim marzeniem, gdyby arcyksiążę nadał mi szlachectwo i zrobił mnie baronem, ale minio to baronem bym nie był, bo szlachta by mnie między siebie nie przyjęła, identycznie jak nie pobratali się ze mną milionerzy. Rok wcześniej oczywiście mogłem mieć złudzenie, że kiedyś mnie między siebie przyjmą, co więcej, byłem przekonany, że dorównuję im jako właściciel restauracji „Przełom”; w końcu podawali mi nawet rękę, rozmawiali przyjaźnie, ale to wszystko było tylko na pokaz, bo każdy bogaty człowiek stara się zyskać przychylność szefa hotelu czy obera w restauracji, stać go nawet na to, żeby poprosić obera o jeden kieliszek więcej, i wtedy ober trąca się z nim i pije... Ale gdyby taki bogacz spotkał tego swojego obera na ulicy, to nie zatrzymałby się na krótką pogawędkę. Taki to już jest bon ton, mieć obskoczonego obera, ponieważ z takim oberem czy właścicielem hotelu, z takim człowiekiem warto mieć dobre układy, bo ten ma wpływ na to, co się serwuje do jedzenia i picia albo jaki się dostanie numer w hotelu... I za to trącenie się kieliszkiem, wspólne „na zdrowie” i za parę ciepłych słów taki ober jest zobowiązany do dyskrecji... Widziałem też, że te miliony powstają i powstawały tak samo jak u pana Brandejasa, który dla całego personelu kazał robić kartoflane kluski, zarabiał na drobiazgach, podobnie i tutaj pierwszy widział i wiedział, jak dobrać się do tych pięknych ręczników i prześcieradeł, jak je w walizie przemyścić przez bramę i wyekspediować do domu, nie dlatego, że mu były potrzebne, ale jego milionerska dusza nie pozwalała przepuścić okazji, która sama pchała się w ręce, albo przynajmniej nie wypaść z wprawy i zgarnąć te piękne rzeczy z wyprawki przyszłych duchownych.

Moim zadaniem była tam opieka nad gołębiami i miałem pod sobą dwieście par gołębi pocztowych. Komendant zlecił mi, żebym im czyścił gołębnik, dawał wodę i karmę. Codziennie po obiedzie szedłem z wózkiem do kuchni po odpadki... Aha, o mało bym zapomniał powiedzieć, jak to komendantowi przejadło się mięso i zamarzyły mu się placki ziemniaczane i jeszcze naleśniki z powidłami śliwkowymi, tartym serem i polaną kwaśną śmietaną. Akurat milioner Barta, krawiec, miał widzenie i zaproponował komendantowi, żeby jego żona została jako kucharka od tych mącznych potraw, bo pochodzi ze wsi... I tak zjawiała się tam pierwsza kobieta, a ponieważ mięso już się nam przejadło, więc do kryminału przyszły jeszcze trzy małżonki, trzy milionerki, z panią Bartową jako główną specjalistką od mącznych potraw na czele... A kiedy milionerzy, którzy udowodnili, że mają obywatelstwo austriackie czy francuskie, zostali zwolnieni i dziesięć cel zrobiło się wolnych, wtedy pozostali milionerzy wymyślili, że w tych celach można by zakwaterować małżonki, które raz w

tygodniu przyjeżdżałyby do milionerów w odwiedziny, bo przecież to niehumanitarne, żeby żonatemu człowiekowi odmawiać prawnie poślubionej kobiety. I zaczęły tam bywać na zmianę piękne kobiety, zawsze po dziesięć, a ja stwierdziłem, że to nie były żony, lecz kobiety z dawnych barów; sam rozpoznałem dwie klientki, już w latach, ale wciąż piękne, ślicznotki, które przychodziły do hotelu „Paryż” na oględziny w czwartki, kiedy zbierali się maklerzy... No tak, polubiłem te moje gołębie, tych dwieście par gołębi, które były tak punktualne, że dokładnie o drugiej siadywały na kalenicy klasztorного budynku, skąd miały widok na kuchnię, z której wyjeżdżałem z wózkiem, a na nim były dwa worki karmy, resztki warzyw itepe, i ja, który obsługiwałem abisyńskiego cesarza, karmiłem gołębie; nikt inny nie chciał tego robić, bo nie była to praca dla milionerskich rączek. Musiałem wyjeżdżać dokładnie z wybiciem drugiej, gdyby zaś zegar nie bił, a świeciłoby słońce, wówczas punktualnie według słonecznego zegara na murze kościoła. Ledwie wyjeżdżałem, wszystkie czterysta gołębi sfruwało z dachu lecąc mi naprzeciw, a za nimi sunął taki cień i szelest piór i skrzydeł, jakby z worka wysypywała się mąka albo sól. Gołębie obsiadały wózek, a te, które się tam nie pomieściły, siadały mi na ramionach albo leciały obok, łopocząc skrzydłami wokół mych uszu i zasłaniając mi prawie cały świat. Czuję się jakby okryty olbrzymim welonem rozpostartym za mną i przede mną i — przysłonięty całkowicie tym welonem z łopoczących skrzydeł i z osmiuset pięknych niczym czarne jagody oczy — ciągnąłem to wszystko trzymając dyszel obiema rękami. Milionerzy o mało nie pękali ze śmiechu widząc mnie obsypanego gołębiami, a ja docierałem w końcu na podwórko, gdzie one zabierały się do jedzenia dziobiąc tak długo, aż oba worki były puste, a rondle jakby kto wymiół. Kiedyś się spóźniłem, komendant akurat zajał włoską zupę z parmezanem, a ja czekając na rondel usłyszałem, że wybija druga, i zanim się obejrzałem, przez otwarte okno wleciały do kuchni gołębie. Obsiady wszystkich obecnych, wytrąciły łyżkę komendantowi obozu internowania, więc pędem stamtąd wybiegłem, a na progu gołębie obsypały mnie i zaczęły delikatnie dziobać. Popędziłem przed siebie, zasłaniając rękami twarz i głowę, ale gołębie leciały za mną. Przewróciłem się, gołębie polatywały wokół, a potem mnie obsiady. Usiadłem i ja i zobaczyłem wtedy, że te otaczające mnie gołąbki łaszą się, a ja jestem dla nich życiodajnym Bogiem. I spojrzałem wstecz na swoje życie, i teraz widziałem siebie otoczonego przez Bożych posłańców, gołębie i gołębicę, jakbym był jakimś świętym, wybrańcem niebios, więc podczas gdy inni śmiali się ze mnie — słyszałem śmiech, krzyk i docinki — ja byłem przejęty posłannictwem gołębi, i wtedy uwierzyłem, że znów niewiarygodne faktem się stało i że nawet gdybym miał dziesięć milionów i trzy hotele, te pieśczęty i pocałunki dziobków gołębi i gołębic są znakiem niebios, które sobie mnie upodobały, tak jak to widziałem na obrazach ołtarzy i malowidłach towarzyszących drodze krzyżowej, którą chadzaliśmy do swoich cel. Ale wtedy nie słyszałem niczego i niczego nie widziałem, tylko chciałem być tym, kim nigdy nie mogłem zostać, milionerem. I chociaż miałem już dwa miliony, multimilionerem byłem dopiero teraz, kiedy po raz pierwszy zobaczyłem, że te gołąbki są moimi przyjaciółmi, że zwiastują coś, co mnie jeszcze czeka, że teraz stało się to samo, co przydarzyło się Szawłowi, kiedy spadł z konia i zjawił mu się Bóg... Rozgarnąłem osiemset łopoczących skrzydeł, wyszedłem z wirujących piór niczym spod

gałązek płaczącej wierzby i pobiegłem po wózek z dwoma workami karmy i rondlami z resztkami warzyw. Gołąbki obsiadły mnie znowu, a ja w obłoku trzepoczących skrzydeł powoli ciągnąłem wózek w stronę podwórka i po drodze przewinął mi się nowy obraz. Zjawił mi się Zdeniek, nie jako aparatczyk, ale oberkelner z hotelu „Cichy Kącik”. Któregoś wolnego dnia poszliśmy na spacer i w brzozowym lasku zobaczyliśmy facecika z gwizdkiem, który biegał prędko wśród drzew, gwizdał, wymachiwał ręką, odpychał od siebie drzewa i pokrzykiwał na nie: — A cóż to znowu? Panie Rziha, jeszcze raz coś takiego i zlecisz pan z boiska! — I znowu ganiał wśród drzew. Zdeniek miał ubaw, ale ja nic z tego nie kapowałem, dopiero wieczorem Zdeniek powiedział mi, że to sędzia piłkarski, pan Sziba. Zbliżały się właśnie derby Sparta-Slavia i nikt nie chciał ich gwizdać, bo kibice zawsze mieszały sędziego z błotem, a w końcu pan Sziba zgodził się na to sędziowanie, więc teraz trenował w brzozowym lasku, biegał i siał wśród brzoź zamieszanie i upominał Burgra i Brainego, grożąc im wykluczeniem, ale najbardziej krzyczał na Rzihę, że jeszcze raz i zrzuci go z boiska... Tego popołudnia z zakładu dla łżejszych przypadków Zdeniek wziął na wycieczkę pełny autobus czubków, którzy dostali przepustkę do wsi, bo akurat był odpust, i ci w cylindrach i pasiastych ubraniach mogli jeździć na karuzeli i huścić się na huśtawkach, a potem Zdeniek kupił im w gospodzie beczkę piwa, pożyczył też pipę i kufle i zawiózł ich do brzozowego lasku. Tam nabili beczkę i popijali, a pan Sziba biegał między brzoźkami i gwizdał. Czubki się przyglądali i zaraz wykapowali, o co tu chodzi. Zaczęli dopingować, krzyczeli skandując te -wszystkie słynne nazwiska ze Sparty i Slavii, widzieli nawet, że Braine kopnął Planiczkę w głowę, i tak długo upierali się przy swoim, aż wykluczył Brainego... A wreszcie, kiedy sędzia Sziba trzy razy odepchnął od siebie Rzihę i tyle samo razy go upomniał, nie pozostało mu nic innego, jak wykluczyć zawodnika za brutalną grę. Czubki krzyczeli, a jak już dopijali tę beczkę piwa, wtedy nie tylko oni, ale i ja zamiast brzoźek widziałem biegające czerwone i łaciate kostiumy, wszystko w ostrym tempie gwizdków maleńkiego sędziego, pana Sziby... Miesiąc później Zdeniek pokazał mi w gazecie artykuł o sędzim Szibie, który wykluczył Brainego i Rzihę i w ten sposób jego energiczne gwizdanie uratowało cały mecz...

I tak z wolna niewiarygodne stawało się faktem, krąg zaczął się zamykać, zacząłem wracać do czasów swego dzieciństwa, lat młodości; znów byłem pikołakiem, a te moje oddalenia były jednocześnie powrotami. Jeszcze parę razy stanąłem sam przed sobą twarzą w twarz, ale nie dlatego, że tak chciałem, tylko wydarzenia zmusiły mnie, żebym przyjrzał się własnemu życiu. I widziałem, jak razem z babcią czekam przy otwartym oknie w jej pokoiku pod toaletami łaźni Karola, skąd w każdy czwartek i piątek wędrowni handlarze wyrzucali brudną bieliznę, która na czarnym tle wieczora czasem się rozpościerała — raz była to jakby ukrzyżowana koszula, kiedy indziej spodenki — a potem spadała na olbrzymie młyńskie koło, skąd babcia ściągała ją hakiem, żeby po wypraniu i zacerowaniu sprzedawać robotnikom na budowach.

W internacie dla milionerów rozeszła się wieść, że jesteśmy tam ostatni tydzień, bo zostaniemy skierowani do pracy, a najstarsi wrócą do domów. Urządziliśmy sobie wtedy ostatnią wieczerzę. Trzeba było zdobyć jak najwięcej pieniędzy, dostałem więc urlop i wraz z fabrykantem sztucznych

szczyk wybraliśmy się do jego wiejskiego domu, gdzie miał schowane pieniądze... To też było niewiarygodne przeżycie. Dotarliśmy do tej chaty dopiero w nocy, przy świetle latarki przystawiliśmy drabinę i otworzyli klapę w suficie. Fabrykant już zdążył zapomnieć, w którym kufrze zostawił tych sto tysięcy, więc otwierałem kuferki po kolei, wszystkie były jednakowe, a kiedy otworzyłem ostatni wielki kufer i poświeciłem do jego wnętrza, zgroza mnie zdjęła, chociaż u fabrykanta sztucznych szczyk można się było czegoś takiego spodziewać. W kufrze były same sztuczne szczyki i dziąsła, potworne ilości, same różowe podniebienia z białymi zębami, wyglądały niczym mięsożerne rośliny, jedne mocno zaciśnięte, niektóre rozchylone, inne szeroko rozwarłe, jakby ta sztuczna szczyka ziewała i miała wyskoczyć z zawiasów... I ja na drabinie tak się przeraziłem, że upadłem do tyłu wysypując na siebie te zęby, a na rękach i twarzy poczułem ich chłodne pocałunki. Wyłożyłem się jak długi na podłogę, latarka wypadła mi z rąk, a na mnie wciąż sypały się zęby. Leżałem przysypany, z pełną pierśią sztucznych szczyk, i takie mnie przy tym ciarki przeszły, że nawet krzyżeć nie mogłem... W końcu przekulałem się na brzuch i na czworakach prędko wybiegłem spod tych zębów; podobny do zwierzęcia, do pająka... A pieniądze były na dnie właśnie tego kufra. Fabrykant troskliwie pozbiierał wszystkie zęby, zamiótł je na łopatkę i wpakował do kufra, potem przewiązał kufer sznurem i wytaszczył go na powrót w to samo miejsce... Zamknęliśmy strych i w milczeniu wróciliśmy na stację.

Ta nasza ostatnia wieczerza była identyczna jak przyjęcia weselne w hotelu „Paryż”. Skoczyłem do swego praskiego mieszkania po nowy frak, a przede wszystkim wziąłem ten order, co go dostałem od abisyńskiego cesarza, i tę szarfę na piersi, nakupiliśmy kwiatów i parę wiązanek asparagusowych gałązek do przystrojenia stołu i przez całe popołudnie hotelarze Szroubek i Brandejs przystrajali stoły w refektarzu; pan Brandejs żałował, że nie może dostarczyć swoich złotych sztućców. I zaprosiliśmy wszystkich milicjantów, komendanta naszego lagru też, bo wielki był z niego pocziwina. Dzień wcześniej spotkał nas wieczorem we wsi i kiedy zapytał, dokąd idziemy, pan Brandejs rzekł: — Niech pan, komendancie, idzie z nami, potańczujemy. — Ale on nie poszedł, tylko pokręcił głową i oddalił się z karabinem, niosąc go jak wędzisko. Diabeł-nie mu ten giwer przeszkadzał, wcale do niego nie pasował, a on pewnie już tylko marzył, jak znów będzie zasuwiał w kopalni, tylko jeszcze musi zlikwidować ten nasz milionerski obóz... Znowu byłem kelnerem, włożyłem frak, ale czułem się w nim inaczej niż dawniej, jakby w kostiumie, jakbym był gdzieś indziej, i chociaż do połowy fraka przypiąłem gwiazdę i przepasałem się niebieską szarfą, to ani się nie wyciągałem, ani głowy nie zadzierałem, żeby być parę centymetrów wyższy. Wszystko było mi obojętne, nawet nie chciałem dorównać hotelarzom milionerom, cały oklapłem. Na samą ucztę też patrzyłem jakoś tak z boku, beznamiętnie roznosiłem dania, chociaż razem ze mną byli na rewirze hotelarze Szroubek i Brandejs, też we frakach. Nawet kiedy przypomniałem sobie swój hotel „Przełom”, wcale nie zrobiło mi się żal, że już nie jest mój, jak głosiło to urzędowe pismo. A w ogóle to wieczerza była smutna, wszyscy byli smutni i poważni, zupełnie jak podczas prawdziwej Ostatniej Wieczerzy, tak jak widziałem to na obrazkach, i tutaj też, w refektarzu, był taki obraz na całą ścianę. Jedliśmy na przystawkę salpikoni i

piliśmy do tego białe południowomorawskie wino i stopniowo, najprzód ja, a później i inni, podnosiliśmy wzrok na ten obraz z Ostatnią Wieczerzą, i z czasem coraz bardziej zaczęliśmy się upodabniać do tych apostołów. Przy strogonowie zrobiliśmy się melancholijni, ta nasza uczta zamieniła się w wesele w Kanie Galilejskiej. Im więcej milionerzy pili, tym bardziej jakby trzeźwieli, przy kawie i koniaku było całkiem cicho. Nawet milicjanci siedzący za naszym stołem, tym, przy którym jadali wykładowcy i profesorowie seminarium duchownego, nawet oni zrobili się smutni, bo wiedzieli, że będziemy razem tylko do północy i że dla nich to też był piękny okres, a niektórzy pewnie pragnęli, żebyśmy tak już zostali wiecznie... Naraz z klasztoru, gdzie z trzydziestu mnichów zostawili tylko jednego kulawego braciszka, rozległ się dzwon zwołujący na północną mszę. Ten kulawy braciszek odprawiał ją dla milionerów katolików. Było ich w tej kaplicy tylko paru, mieli już spakowane swoje walizy i plecaki. I kiedy ten kulawy braciszek pobłogosławił wiernych, ni stąd, ni zowąd odstawił monstrancję, uniósł rękę i zagrzmiały organy, a braciszek zaczął śpiewać: „Święty Wacławie, panie ziemi czeskiej...” Jego głos i grzmienie organów przenikały aż do refektarza, spojrzeliśmy wszyscy na obraz Ostatniej Wieczerzy Pańskiej i tak to wszystko zgrało się z naszym smutnym, żalobnym nastrojem, że jeden za drugim, katolik czy nie katolik, wstaliśmy i grupkami pobiegli przez dziedziniec, i przez otwarte wrota wbiegli w żółte światło świec do kaplicy, i nie uklękliśmy, tylko padli na kolana, właściwie nie padliśmy, ścięło nas coś silniejszego od pieniędzy, coś, co unosi się tutaj i czeka już od tysięcy lat... „Nie wódz na zgubę nas ni potomnych...” śpiewaliśmy na klęczkach, niektórzy padali na twarz. Klęcząc widziałem te twarze, byli to zupełnie inni ludzie, teraz bym ich nie rozpoznał, w żadnym obliczu nie było śladu miliona, za to wszystkie były rozpalone czymś wyższym i piękniejszym, tym najpiękniejszym, co człowiek chyba posiada... A ten kulawy braciszek jakby przestał kuleć, wyglądało to, jakby włókł za sobą ciężkie skrzydła, w tej białej sutannie podobny był do anioła kulejącego pod ciężarem ołowianych skrzydeł... Klęczeliśmy padając na twarze, a wtedy braciszek uniósł monstrancję między klęczącymi i wyszedł na dziedziniec, gdzie w ciemności jego sutanna świeciła jak fosforyzujący strój tego artysty, który ze skały pędził na kółku do jeziora, składał się w szczyryk, a potem pochłaniała go woda, tak jak ten braciszek pochłoniął hostię, przedtem nas jednak nią pobłogosławił... Wkrótce wybiła dwunasta i zaczęliśmy się żegnać. Przechodziliśmy przez otwartą bramę, milicjanci ze swoim komendantem podawali nam rękę, każdemu serdecznie ją uściśleli, oni wszyscy byli górnikami gdzieś spod Kladna, a myśmy zniknęli w ciemności kierując się na stację, bo obóz internowania został skasowany, a nam kazano udać się do domów, obojętnie, czy kto miał dziesięć lat, czy dwa, dziesięć milionów, czy tylko dwa... Całą drogę myślałem o tych dwustu parach gołębi, jak to o drugiej będą czekać, lecz ja się nie pojawię. I pojechałem z głową pełną gołębi do domu, ale nie do Pragi, tylko do „Przełomu”. Kroczyłem ścieżką; za lasem powinienem zobaczyć oświetlony hotel, lecz tam było ciemno... Doszedłem do rzeźb i młynów do kruszenia kamieni i nawet się nie wystraszyłem. „Przełom” był zamknięty, bramy wjazdowe też, nowa, zbita z desek brama główna zamknięta na duża kłódkę. Obszedłem plot i przez pagórek z kwitnącymi wrzosami dostałem się do serca „Przełomu”. Wszędzie bałagan, krzesła

upaćkane, przewracane... Złapałem za klamkę do kuźni — otwarte. Po restauracji ani śladu, wszystko chyba gdzieś wywieziono, tylko w palenisku tlił się jeszcze ogień; naczynia kuchenne przepadły, a zamiast nich było tylko kilka zwykłych kubków do kawy... Niemal z rozkoszą stwierdzałem co krok, że to jest ten dawny, piękny „Przełom”, za który sam Steinbeck chciał mi wystawić czek na pięćdziesiąt, sześćdziesiąt, osiemdziesiąt tysięcy dolarów, ale ja się nie zgodziłem i zrobiłem dobrze, podobnie jak dobre jest to, że jeśli nie mogę tu być za hotelarza, to niech wraz ze mną zniknie i ten hotel, z którego zrobili jakieś kąpielisko czy co, bo zamiast ścierek na rozciągniętym od kąta do kąta drucie wisiały ręczniki i kąpielówki... Jediną rzeczą, której tam przedtem nie było i którą uznałem za piękną, był zawieszony poziomo pod sufitem nagi kobiecy manekin z witryny jakiegoś magazynu z konfekcją... Przeszedłem przez korytarz — dywany zniknęły, szklane kinkieciki przy każdych drzwiach też. Ująłem za klamkę — otwarte. Zajrzałem do środka zapalając światło. Drżałem na myśl, że zastanę go takim, jaki opuściłem, ale pokój był pusty, i to też było dobre, wraz ze mną przepadł właściwie cały „Przełom” i nikt już nie będzie miał siły zrobić go takim, jakim ja go zrobiłem. Wszyscy, którzy go widzieli, kiedy weźmie ich na wspominki albo złapie chandra, będą mogli powspominać, jak to tutaj było, będą mogli w swych rojeniach umieścić mój „Przełom” i według własnych upodobań spotkać się w moim hotelu z najpiękniejszymi dziewczynami, albo też każdy z moich byłych bywalców będzie mógł w swych marzeniach na jawie zjechać na kółku z wysokości czterdziestu metrów i pośrodku nad jeziorem puścić pręt, na moment się zatrzymać, a potem zanurzyć głowę w toni, ponieważ w każdym marzeniu można sobie na coś takiego pozwolić — puścić pręt, zawisnąć w powietrzu nad jeziorem, a przy tym rozglądać się niczym trzepoczący skrzydłami ptak, tak jak to potrafi skowronek unoszący się dzięki powiewowi wiatru, a na przykład potem niby cofając film wrócić na krawędź skały, tam, skąd przed chwilą trzymając się pręta rękami zjechał w przepaść z lustrem wody na dnie...

Wyjechałem stamtąd zadowolony, a po przyjeździe do Pragi dostałem wiadomość, że mam do wyboru albo odsiadkę na Pankracu, albo roboty leśne, miejsce do wyboru do koloru, tyle że obowiązkowo na pograniczu. Po południu poszedłem do urzędu i zgłosiłem się na pierwsze roboty, jakie mi podsunęli. I byłem szczęśliwy, a moje szczęście było jeszcze większe, kiedy stwierdziłem, że zgubiłem gdzieś obcas, po prostu zdarłem ten kawałek skóry, pod którym miałem schowane ostatnie dwa znaczki, ostatnie duże pieniądze, pozostałość po mojej żonie Lizie, która te znaczki przywiozła ze Lwowa po spaleniu getta i likwidacji Żydów. Chodziłem po Pradze bez krawata i nie chciałem już być ani trochę wyższy, a spośród mijanych na Przykopcach i placu Wacława hoteli nie wybierałem już tych, które miałbym ochotę kupić. Co więcej, byłem diabło zadowolony, że moja droga naprzód jest teraz wyłącznie moją drogą: nie będę już musiał kłaniać się, witać i nie przegapić każdego „dzień dobry”, „moje uszanowanie”, „dobry wieczór” i „całuję rączki”; nie musiałem już pilnować personelu, a kiedy jeszcze sam byłem personelem, nie musiałem uważać, żeby mnie szef nie zobaczył, że na chwilę przysiadłem, zapaliłem papierosa albo wziąłem kawałek gotowanego mięsa... Teraz się cieszyłem, że jutro pojedę gdzieś daleko, daleko od ludzi, to znaczy ludzie pewnie tam będą, ale będzie tam też i to,

w co wierzyłem jak wszyscy pracujący w świetle żarówki: że kiedyś wybiorę się na łono natury, że kiedyś, gdy już będę na emeryturze, zobaczę, jak wygląda las i słońce, które cały dzień i całe życie będzie mi świecić w twarz, tak że będę musiał zasłaniać się kapeluszem albo uciekać do cienia. .. Kiedy jeszcze byłem kelnerem, kochałem wszystkie te portierki, stróży i palaczy centralnego ogrzewania, którzy przynajmniej raz na dzień wybiegali przed kamienicę, zadzierali, o tak, głowę i z wąwozu praskich ulic patrzyli na pas nieba, obłoki, zgadując według przyrody, a nie zegara, która to może być godzina. A niewiarygodne, które stawało się faktem, nie opuściło mnie, wierzyłem w to niewiarygodne, -w te zaskakujące niespodzianki, w te osłupienia. To była moja gwiazda, która towarzyszyła memu życiu chyba tylko po to, żeby przekonać się, że ciągle na nią czeka coś zadziwiającego, a ja, wciąż mając przed oczyma odbłask tej gwiazdy, wierzyłem w nią coraz bardziej, a to dlatego, że kiedyś wywyższyła mnie na milionera, a teraz, kiedy zleciałem z niebios na łeb na szyję, stwierdziłem, że ta moja gwiazda lśni mocniej niż przedtem i że dopiero teraz będę mógł zajrzeć wprost do jej serca, do samego środka, i że to wszystko, co dotychczas przeżyłem, musiało osłabić moje oczy tak, żeby mogły więcej przeżyć i więcej znieść. Znaczy, żeby zobaczyć i poznać, musiałem osłabnąć. Tak to było...

Przyjechałem na miejsce, ale musiałem iść na piechotę przez las z dziesięć kilometrów, daleko za Kraslicę, i kiedy zacząłem już tracić nadzieję, natrafiłem na rozwaloną leśniczówkę. Myślałem, że na jej widok oszaleję z radości, tak mnie ta leśniczówka rozczuliła. Była poniemiecka i wyglądała tak, jak to sobie wyobraża człowiek, który w mieście się wychował i żył, kiedy padnie słowo „leśniczówka”. Usiadłem na ławeczce pod zdziczałymi pędami winorośli opierając się o drewnianą ścianę i usłyszałem, że wewnątrz leśniczówki tyka prawdziwy szwarcwaldzki zegar, którego jeszcze nigdy nie -widziałem. Słuchałem jego drewnianych mechanizmów, trybików i chrzęstu łańcucha, łańcuszka ciągniętego przez ciężarek, i przez kotlinkę między dwoma pagórkami patrzyłem na okolicę pozbawioną pól, już po drodze zgadywałem, gdzie uprawiano kartofle, owies czy żyto, bo wszystko było zarośnięte, tak samo jak wsie, przez które przechodziłem, zupełnie jakbym kroczył przez Tamten Świat; zresztą na rozstajach zobaczyłem, że jedna z tych wsi tak właśnie się nazywała... A wszędzie z rozpadających się budynków i płotów sterczały potężne zdziczałe konary i liście dojrzewających porzeczek. Zdobyłem się na odwagę i chciałem wejść do kilku budynków, ale nie uczyniłem tego, zatrzymując się z zabobonną trwogą; nie umiałem przekroczyć progu tam, gdzie wszystko było rozbite w drobny mak, poprzewracane meble, krzesła, jakby je ktoś powalił na łopatki zakładając im podwójnego nelsona, gdzie siekiera ktoś rozłupał belki, a inna siekiera zamknięta skrzynię... W jednej wsi pasły się krowy, było południe i krowy szły pewnie do siebie, więc poszedłem za nimi. Krowy kroczyły aleja starych lip, zza których wзираła wieża barokowego zamku... A kiedy drzewa się rozstały, przede mną stał piękny zamek z mozaiką wyryta gwoździem w surowej zaprawie murarskiej, pomyślałem, że to chyba renesans. Przez wyłamane wrota krowy weszły do zamku, szedłem za nimi przekonany, że pewnie zabłądziły albo co, ale te krowy miały tam oborę... Wielka sala rycerska, do której prowadziły szerokie schody, a krowy były w tej sali na pierwszym piętrze,

stały pod kryształowym żyrandolem i sufitem z pięknymi scenami z życia pasterzy, wszystkie te malowidła odnosiły się chyba do Grecji, bo kobiece i męskie postaci ubrane były nie jak na tutejszą pogodę, musiało się to dziać gdzieś na południu Europy albo jeszcze dalej, w Ziemi Obiecanej, jako że wszyscy mieli takie odzienie, jakie nosił na obrazach Chrystus Pan i ludzie, którzy wtedy żyli. A między oknami były tam jeszcze duże lustra i krowy przeglądały się w nich długo i z upodobaniem, a ja stąpając po krowich plackach zszedłem cicho schodami na dół i wtedy właśnie stwierdziłem, że to tutaj jest początkiem kolejnego niewiarygodnego, które stało się faktem. I uznałem siebie za wybrańca losu, wiedziałem, że gdyby zamiast mnie był tu ktoś inny, to nie zobaczyłby niczego. A mnie pociągało to, co -widziałem, więcej nawet — ucieszyłem się, że widzę takie spustoszenie, które napawa mnie lękiem. To było coś takiego jak z każdym człowiekiem, który boi się występku i wystrzega się nieszczęścia, ale jak się czasem coś wydarzy, wtedy każdy, kto tylko może, idzie i gapi się na siekierę w głowie czy przejechana przez tramwaj staruszkę. Ale ja teraz kroczyłem naprzód i nie uciekałem, jak niektórzy, z miejsca nieszczęścia, cieszyłem się, że jest właśnie tak, jak jest, a w końcu stwierdziłem, że tego nieszczęścia i cierpienia, tej potworności jest dla mnie za mało, że nie tylko na mnie, ale i na świat mogłoby się tego zwalić więcej...

Siedziałem tak sobie przed leśniczówką, a potem przyszło dwoje ludzi i wiedziałem, że to są na pewno ci, którzy tu mieszkają i z którymi przyjdzie mi spędzić cały rok, a może i więcej... Powiedziałem, kim jestem i dokąd mnie wysłali, a mężczyzna z siwą brodą i jednym okiem oświadczył, a raczej burknął, że jest profesorem literatury francuskiej... Potem wskazał na śliczną dziewczynę, a ja od razu wyczułem, że jest z poprawczaka albo z tych dziewczyn, co to wystawały pod Prochową Bramą i przychodziły do nas po zamknięciu giełdy. Na podstawie jej ruchów wyobraziłem sobie nawet, jak wygląda naga, jakie kędziorki ma pod pachami, a jakie na brzuchu, co więcej, poczułem i uznałem to za dobry znak, po tylu latach ta ruda dziewczyna wzbudziła we mnie pragnienie, żeby ją powoli rozbierać, jeśli nie naprawdę, to przynajmniej oczyma. I powiedziała mi, że dostała się tu za karę, bo lubiła tańczyć, i że ma na imię Marcela, a fachu uczyła się u Marsznera, w fabryce czekolady „Orion”. Miała na sobie męskie spodnie upaprane żywicą i igliwem, we włosach też igliwie, cała była nim oblepiona... A ten profesor tak samo jak ona miał gumki, z których wyłaziła onuca, i też cały był oblepiony sosnową i świerkową żywicą; pachnieli oboje niczym smolne szczapy czy polana. Weszli do leśniczówki, ja za nimi, i takiego bajzlu nie widziałem nawet w tych rozwalonych poniemieckich budynkach, gdzie ktoś siekierą szukał skarbów albo wyważał zamki, żeby się dostać do szaf czy skrzyń... Na stole walały się pety i zapalki, na podłodze też, jakby ktoś łokciem zgarnął z blatu wszystkie odpadki. Profesor powiedział, że będę spał na pięterku, i zaraz mnie tam zaprowadził, otwierając klamkę gumową podeszwą, znaczy się nogą. Znalazłem się w pięknej izbie, całej w drewnie, z dwoma okienkami okolonymi gałązkami i wężami winorośli. Otworzyłem drzwi i wszedłem na galeryjkę, też drewnianą. Mogłem obejść wszystko dokoła i patrzeć na wszystkie strony świata, nieustannie smagany gałązkami zdziczałego wina... Usiadłem na rozbitej skrzyni, złożyłem ręce na kolanach i chciało mi się pisać z radości, chciało mi się coś zrobić... Otworzyłem kuferek i na

część tego, co widziałem i co mnie jeszcze czekało, przypiąłem tę niebieską szarfę, a do polity marynarki pozłacaną gwiazdę i zszedłem do głównej izby. Profesor trzymał nogi na stole i palił, a ta dziewczyna czesała włosy słuchając tego, co jej profesor opowiadał. Zwracał się niej per „panno”, powtarzał to „panno” co chwilę i musiało się w tym słowie „panno” coś kryć, bo cały drżał. Wydawało mi się, że chce ją o czymś przekonać... Wszedłem, a ponieważ było mi wszystko jedno, przedefilowałem z teatralnie uniesionymi rękami niczym na jakimś pokazie, zaprezentowałem się ze wszystkich stron... Potem usiadłem i zapytałem, czy po południu mam z nimi iść do pracy... A profesor roześmiał się, miał piękne oczy i rzekł: — „Nasienie złe, głupie i występne...” — I jakby nie zauważywszy tego orderu dodał, że pójdziemy do pracy za godzinę... I wrócił do rozmowy z tą panią, a mnie wcale nie dziwiło, że wymawiał francuskie słówka, le table, un chaise... maison... Powtarzała je, ale źle akcentowała, a on niezwykle dobrotliwie mówił: — Ty głupia babo, bo zaraz zdejmę pasek i wyrnę cię w pysk, ale nie skórą, tylko tą sprzączką... — I znów czule powtarzał jej te francuskie słówka, cierpliwie, a oczyma i głosem jakby ją przy tym pieścił, tę dziewczynę z fabryki czekolady „Orion”, firma Marszner... Tyle że ona chyba ciągle źle wymawiała te słówka, wydawało mi się, że Marcela robi to z przekory, że nie chce się uczyć, że to zna i mówi tak specjalnie, żeby profesor łajał ją ciepło: — Nasienie złe, głupie i występne. — Kiedy zamykałem za sobą drzwi, profesor rzucił mi: — Dziękuję. — A ja wsunąłem głowę między futryny i powiedziałem: — Obsługiwałem abisyńskiego cesarza... — I przejechałem dłonią po niebieskiej szarfie.

Musieli mi pożyczyć zapasowe gumki, bo okolica była tu bardzo mokra. Rano było dużo rosy, opadała gęstą firanką i w kształcie takich różańców osiadała na każdym źdźble i liściu. Starczyło potrać gałązkę, i rosa skapywała niczym rozerwany naszyjnik. Moja praca już od pierwszego dnia była wspaniała. Poszliśmy pod świerk, piękny świerk, który już do połowy był obłożony sośniną i świerczyną, i ścinałmy gałęzie, coraz wyżej i wyżej, aż przyszło dwóch robotników z ręczną piłą. Profesor powiedział, że to nie jest taki zwyczajny świerk, tylko świerk rezonansowy, i na dowód wyjął z teczki stroik, uderzył nim o pień i przyłożył mi do ucha: cudnie ten stroik dźwięczał, wydając z siebie jasne tony gęste od kolorowych kręgów. Potem mi poradził, żebym przyłożył ucho do pnia i posłuchał tych rajskich dźwięków... I staliśmy obejmując świerk, a dziewczyna siedziała na pniaku i paliła z miną nie obojętną, ale znudzoną i zarazem wściekłą, podnosząc ku niebu oczy, jakby mu się żaliła, za jakie grzechy musi się tak nudzić. Osunąłem się na kolana i objąłem pień, w którym dudniło bardziej niż w słupie telegraficznym, a później, kiedy robotnicy uklękli, żeby go ściąć, wdrapałem się na te ułożone do połowy świerkowego ciała gałęzie i tam nasłuchiwałem, jak piła wrzyna się, a w świerku rośnie głośna skarga, jak tę harmonijność, którą słyszałem, burzy dźwięk piły, jak pień skarży się, że wrzynają mu się w ciało... Profesor huknął na mnie, żebym zląził na dół, więc zląłem i po chwili świerk pochylił się, przez moment jakby się zawahał, a potem z jękiem runął, padając niczym w rozpostarte ręce na ułożone wcześniej gałęzie, które zamortyzowały jego upadek i, jak twierdził profesor, sprawiły, że się nie roztrzaskał i nie stracił tej muzyki świerkowego drewna, a takich świerków jak ten jest niewiele. I że teraz musimy go ostrożnie i zgodnie z planem, który ma przy

sobie, ociosać z gałęzi, pociąć i później, obchodząc się przez cały czas jak z jajkiem, na poduszkach z gałęzi odwieźć do fabryki, gdzie potną ten świerk na deski, deseczki, cienkie deszczułki, z których robią w fabryce skrzypce i wiolonczele, smyczkowe instrumenty muzyczne... A przede wszystkim poszukiwane są niektóre deseczki, które ciągle mają w sobie tę zakonserwowaną muzykę...

Byłem tam już miesiąc, później dwa, i wciąż mościliśmy gałązki, jak matka kładąca dziecko do łóżeczka, żeby muzyczne świerki rezonansowe położyły się nie łamiąc swoich tonów uwiecznionych w ich akustycznych pniach. Każdego wieczora wysłuchiwałem, jak nam pan profesor okropnie wymyśla, wyzywa od najgorszych nie tylko tę dziewczynę, ale i mnie, oboje byliśmy idioci i jełopy, hieny plamiste i śmierdzące skunksy, ale potem uczył nas francuskich słówek. Gotowałem kolację na kaflowym piecu i zapalałem naftówki słuchając pięknych słówek, które wciąż brzmiały źle w ustach dziewczyny zesłanej na te roboty tylko dlatego, że lubiła używać, że lubiła spać z coraz to innym chłopcem, do czego sama nam się przyznała. Jej spowiedź nie różniła się od tego, co słyszałem od podobnych dziewczyn z ulicy, tyle że ta dziewczyna lubiła to i robiła za darmo, z miłości, za chwilę radości z tego, że przez moment, może nawet przez całą noc ktoś ja kochał, i to jej wystarczało do szczęścia, za to tutaj musiała pracować i na dobitkę wieczorami uczyć się francuskich słówek; nie dlatego że chciała, tylko z nudów, bo nie wiedziała, jak w te długie wieczory zabić czas, i do tego z kim...

W drugim miesiącu profesor zaczął wyklądać literaturę francuską dwudziestego wieku i wtedy zaszła taka zmiana, że obaj się z tego uradowaliśmy... Marcelę to wciągnęło i profesor całymi wieczorami opowiadał jej o surrealistów i o Robercie Desnos, Alfredzie Jarry, Ribemontie Dessai-gnes, o ślicznotkach i elegantkach Paryża... A raz przyniósł coś w oryginale, *La rose publique*⁹ to się nazywało, i co wieczór czytał i tłumaczył jeden wierszyk, a podczas pracy żeśmy go roztrzäsali, obraz za obrazem. Wszystko było takie mętne, ale w trakcie analizy zaczynało nabierać sensu. Przysłuchiwałem się temu i po jakimś czasie sam zabrałem się do czytania książek, trudnych wierszy, których nigdy przedtem nie lubiłem. Czytałem i rozumiałem je, i nawet nieraz objaśniałem, o co w nich chodzi, a profesor mówił wtedy: — Bałwan, idiota, skąd pan to wszystko wie? — A ja czułem się jak kotek, którego drapią pod szyją, bo kiedy profesor komuś urągał, był to dowód uznania. Chyba zaczął mnie lubić, ponieważ wyzywał mnie identycznie jak Marcelę, z którą przy pracy rozmawiał wyłącznie po francusku... Kiedyś pojechałem z tym muzycznym drewnem do fabryki. Przekazałem towar, wziąłem wypłatę, kupiłem wałówkę, mąkę i jeszcze butelkę koniaku i bukiet goździków, ale przy wyjściu z fabryki zaczęło padać, więc schowałem się pod drzewo, a potem zwiąłem do starego szaletu, żeby się schronić przed ulewą bębniącą w deski, którymi obłożony był dach szaletu, a właściwie nie szaletu, to musiała być dawniej budka wartownicza. Zauważyłem, że dziury z boku budki też były załatane deseczkami, żeby nie 'wiało... I kiedy tak tam sobie siedziałem, rozejrzałem się i puknąłem w te deseczki, którymi wyłożony był daszek i boki... A jak deszcz ustał, zawróciłem do tej fabryki instrumentów muzycznych, dwa razy mnie wyrzucili, ale w końcu dostałem się do

⁹ *Róża publiczna*, tom poezji Paula Eluarda

dyrektora, którego poprowadziłem na tyły fabryki, tam za rozwalony magazyn, i wszystko się zgadzało — dziesięć cennych, kilkudziesięcioletnich deseczek, którymi przed laty ktoś wyłożył tę wartowniczą budkę, żeby nie wiało... — Jak pan poznał, że to drewno rezonansowe? — zdziwił się dyrektor. — Obsługiwałem abisyńskiego cesarza — odparłem, a dyrektor roześmiał się, poklepał mnie po plecach i krztusząc się ze śmiechu powiedział: — To się panu udało... — Śmiałem się i ja, bo najwyraźniej tak się zmieniłem, że nikt już we mnie nie widział tego, który rzeczywiście obsługiwał abisyńskiego cesarza...

A tak naprawdę nie powiedziałem tego serio, bo już stroiłem sobie żarty sam z siebie, już do tego dojrzałem. Zaczęła mi przeszkadzać obecność ludzi, czułem, że muszę rozmawiać sam z sobą, że moim najbliższym i najsympatyczniejszym towarzyszem będzie moje drugie ja, siedzący we mnie mój doradca i wychowawca, z którym z coraz większą ochotą wdawałem się w rozmowę. Było w tym na pewno coś z tego, co usłyszałem od pana profesora, który prześcigał sam siebie w wyzwiskach; żaden wozak nie potrafił tak wymyślać koniom czy ludziom jak pan profesor literatury francuskiej i estetyki... a przy tym opowiadał nam o wszystkim, czym się sam interesował, opowiadał co wieczór. Już otwierałem drzwi do siebie, a on przed zaśnięciem, zanim wszyscyśmy posnęli, do ostatniej chwili tłumaczył, co to takiego estetyka, a co etyka, i mówił o filozofii i filozofach. O filozofach twierdził zawsze — nie wyłączając Chrystusa — że to banda szubrawców, cwaniaków, zbrodniarzy i kanalii, że gdyby ich nie było, ludzkość miałaby się lepiej, ale ludzie to nasienie złe, głupie i występne... I pewnie to profesor utwierdził mnie w przekonaniu, że trzeba być samemu, że gwiazdy widać wieczorem, ale w dzień tylko z głębokiej studni... Zdecydowałem się więc i jednego dnia wstałem, podałem obojgu rękę, podziękowałem za wszystko i wróciłem do Pragi, bo i tak byłem tu prawie pół roku dłużej, niż należało, a profesor i jego dziewczyna rozmawiali z sobą wyłącznie po francusku i wciąż mieli sobie coś do powiedzenia. Profesor mówił nawet przez sen, zawsze i wszędzie przemyślał, jak by tu najbardziej skalać tę wyładniałą dziewczynę i znowu zasypać ją kolejnymi nowinkami, bo — jak widziałem — zakochał się w niej na tym odludziu na zabój, a jako że kiedyś obsługiwałem abisyńskiego cesarza, wiedziałem, że ta dziewczyna zgotuje mu kiepski los, ponieważ go opuści, kiedy już dowie się wszystkiego, co wiedział i czego się wbrew własnej woli nauczyła, co ja uświęciło i dzięki czemu wypiękniała... Raz nawet powtórzyła w zupełnie innym znaczeniu, a może i w tym właściwym, to, co jej pan profesor kiedyś powiedział, jakiś cytat z Arystotelesa, któremu zarzucano, że ściągał od Platona... I ten Arystoteles rzekł, że źrebię, kiedy wysie kobyłę, zaczyna wierzgać. I tak było.

Załatwiłem wszystkie formalności związane z moim ostatnim miejscem pracy przekonany, że będzie ostatnie i tak być powinno, bo znałem siebie i obsługiwałem abisyńskiego cesarza. Przechodzę ci ja kiedyś koło dworca, a z naprzeciwka idzie Marcela, zamyślona, z włosami upiętymi w warkocz przewiązany fioletową wstążką. Szła zadumana, patrzyłem na nią, ale ona minęła mnie z błędnym wzrokiem; przechodnie oglądali się za nią tak samo jak ja, pod pachą ta była dziewczyna z fabryki czekolady Marsz-nera „Orion” miała książkę... Zdażyłem wykrzywiając głowę przeczytać tytuł

książki: Histoire de la sunealisme. Roześmiałem się i ruszyłem rażnym krokiem, widziałem tę czupurną i nieokrzesaną dziewczynę, która z profesorem rozmawiała językiem, jakiego się nauczyła w swojej dzielnicy, a którą ten dobry profesor nauczył wszystkiego, jak na wykształconą damę przystało... Teraz minęła mnie z miną osoby, dla której biblioteka uniwersytecka to już chleb powszedni, a ja z całą pewnością wiedziałem, że ta dziewczyna nie będzie szczęśliwa, że jej życie będzie smutne i piękne, a dla mężczyzny życie z nią będzie jednocześnie udręką i spełnieniem... Ta Marcela, dziewczyna z fabryki czekolady „Orion” Marszner, zwidywała mi się często tak, jak spotkałem ją wtedy z książką pod pachą. Równie często myślałem o tej książce: co też z jej stron spłynęło do tej zadumanej, buntowniczej głowy? Przede wszystkim jednak widziałem tylko tę głowę z pięknymi oczyma, które jeszcze rok wcześniej nie były piękne, ale ten profesor, tak, to on uczynił z tej dziewczyny piękność z książką. Widziałem, jak jej ręce z pietyzmem, z szacunkiem rozwierają okładki, a czyste palce niczym hostię biorą stronę za stronę; widziałem, że zanim te ręce wezmą książkę, najpierw idą się myć, bo już sam sposób, w jaki niosła wtedy tę książkę, kłuł w oczy uroczystym, pełnym szacunku nabożeństwem. Wtedy, taka pogrążona w myślach, podobna była do rezonansowego świerku; cały jej urok tkwił wewnątrz, a na zewnątrz rozbrzmiewał w stroikach oczu, przez które można ją było ujrzeć taką, jaką niespodzianie się stała, w jaką się zmieniła, jak gdyby poprzez szyjkę butelki przeciekła na drugą stronę, na odwrotną stronę tej drugiej właściwości rzeczy, które są piękne. I ja przy każdym wspomnieniu tej poruszającej się figury czekoladowej dziewczyny okładałem ją, a gdybym mógł, naprawdę obłożyłbym całą płatkami piwonii i kwiatami, głowę gałązkami świerczyny i sośniny, i jemioła, ja — który w kobietach zawsze widziałem tylko i wyłącznie tę część od pasa w dół, nogi i brzuch — dzięki tej dziewczynie przesunąłem swój wzrok i pożądanie w górę, do pięknej szyi i pięknych rak otwierających książkę, do oczu, z których tryska to piękno, jakiego nabrała wskutek swojej przemiany, która uwidoczniła się na całej dziewczęcej twarzy, w każdej zmarszczce, zmrużeniu oczu, w leciutkim uśmiechu i potarciu nosa z lewa na prawo czarującym paluszkami. Wszystkie te detale twarzy ucłowieczonej przez francuskie słówka, i zdania, konwersacje, a wreszcie przez wgłębianie się w zawile, ale piękne teksty pięknych młodych mężczyzn, poetów odkrywających urok człowieka, wszystko to były dla mnie fakty, bo znów niewiarygodne stało się faktem... było czekoladową dziewczyną z firmy „Orion” Marszner, której główkę umiałem kwieciem, jakie tylko umiałem wymyślić, byle ją ozdobić...

W pociągu całą drogę myślałem o tej dziewczynie, uśmiechałem się, stawałem się nią. Na wszystkich stacjach, na wszystkich ścianach wagonów jadących lub stojących na sąsiednich torach przyklejałem jej plakat, a nawet splotłem dłonie i przycisnąłem je do siebie, jakby to były jej ręce. Przyglądałem się twarzom pasażerów, ale żaden nie mógł się zorientować, co wywożę z sobą i w sobie; nikt z mej twarzy nie poznał, co ze sobą wiozę, a kiedy wysiadłem na końcowej stacji, a potem jechałem autobusem przez cudowną okolicę, tak bardzo podobną do tej, gdzie ścinałem rezonansowe świerki, otulając je najprzód wysoko ułożonymi gałęziami niczym poduchami, myślałem o niej nadal wykańczając portret dziewczyny z firmy „Orion” Marszner, widziałem, jak jej znajomi pokrzykują na

nią, jak odnoszą się do niej tak, jak to robili, zanim zesłano ją na roboty, jak ją namawiają, żeby rozmawiała z nimi tak jak przedtem, tylko brzuchem i nogami, całą tą dolną partią oddzieloną cienką gumą jej majtek, i nikt nie pojmuję, że ona dała pierwszeństwo ciału powyżej tej granicznej gumki...

Wysiadłem z autobusu w Sarni, odszukałem zarząd budowy dróg i zgłosiłem, że to ja jestem tym, który będzie robił przy drodze cały rok gdzieś daleko, prawie w górach, na tym odcinku, którego nikt nie chce wziąć... Po południu wyfasowałem konika i wóz, poradzili mi, żebym sobie kupił kozę, i podarowali wilczurą. I pojechałem; swoje bagaże miałem na wozie, koza szła za nim na sznurku. Wilczur zaprzyjaźnił się ze mną, wcześniej kupiłem mu kiełbasy. Jechałem powoli drogą stającą pod górę; okolica odkrywała coraz to potężniejsze świerki i sosny, na zmianę z zagajnikami i poszyciem w rozpadających się ogrodzeniach szkółek leśnych, sztachety kruszejące niczym piernik, żerdki powoli murszejące i zmieniające się w humus, z którego wyrastały maliny i drapieżne macki jeżyn. Kroczyłem przy kiwającym się końskim łbie, musiał to być konik z tych, jakie miewają w kopalniach, tak mi się zdawało, że musiał być kiedyś pod ziemią, bo miał takie wspaniałe oczy, jakie widziałem u palaczy i ludzi pracujących za dnia przy świetle żarówek albo lampek, oczy, które wyjechały z kopalni lub zostawiły na chwilę piec centralnego ogrzewania, żeby popatrzeć w górę, jak piękne jest niebo, bo dla tych oczu każde niebo jest piękne. Wjeżdżając w coraz bardziej wyludnioną okolicę mijałem leśne domostwa niemieckich robotników, którzy stamtąd odeszli. Za każdym razem zatrzymywałem się i stawałem na progu, do piersi zanurzony w pokrzywach i zdziczałych malinach, przez które zaglądałem do zarastających już trawą kuchni i izdebek. Niemal w każdym takim budynku były żarówki, siedłem więc wzdłuż drutów aż do potoku, gdzie były szczątki maleńkich elektrowni z napędem na miniaturową turbinę, elektrowni zmajstrowanych przez robotnicze ręce, które ścinały tu lasy, przez robotników leśnych, którzy tu żyli i którzy musieli stąd odejść... To, że musieli odejść albo zostali wysiedleni bogaci, ci, co uprawiali politykę, których tak dobrze poznałem, ci chełpliwi, drapieżni, zarozumiali, brutalni i pełni buty, która ich w końcu zgubiła, to jeszcze rozumiałem, ale za nic nie pojmowałem, dlaczego musiały odejść te robotnicze, złote ręce i teraz nikt tu nie pracuje. Przecież szkoda tych ludzi, którzy nie mieli niczego oprócz tej harówki w lasach i poletek na zboczach, tych robotników, którzy nie mieli czasu na to, żeby się stać chełpliwymi czy butnymi, i na pewno byli pokorni, bo tego nauczyło ich życie tutaj, życie, w które zaglądnąłem i któremu jadę na spotkanie. Wpadło mi do głowy, żeby otworzyć walizę i wyjąć skrzyneczkę z tą złotą gwiazdą, a przez poły manchesterowej marynarki przepasać się jasnyniebieską szarfą. I ruszyłem dalej, gwiazda na mym boku błyszcziała, a ja maszerowałem w rytm kiwającej się szyi konika, który co chwila się obracał, zerkał na tę moją szarfę i rżał krótko, koza pomekiwała, a wilczur radośnie poszczekiwał na mnie próbując dosięgnąć szarfę. Znow się zatrzymałem, odwiązałem kozę i poszedłem obejrzeć kolejny budynek. Była to gospoda, dawny szynk w lesie, z olbrzymią salą, która, o dziwo, była sucha i miała małe okienka. Wszystko było tutaj chyba tak, jak bywało — na półkach zakurzone kufle, a na podeście z desek beczka z piwem i młotkiem do nabijania... Wychodząc poczułem czyjś wzrok. To była kotka, która tu została. Zawołałem ją, miauknęła. Poszedłem po kiełbasę i przykucnąwszy

wabiłem ją. Na pewno chciała, żebym ją pogłaskał, ale odosobnienie i obcy już zapach człowieka odpychały ją. Położyłem kielbasę i ona jadła ją łapczywie, ale kiedy wyciągnąłem rękę, kotka odskoczyła jeżąc się i sycząc... Wyszedłem na światło, koza napiła się z potoku, wziąłem wiaderko, nabrałem wody i dałem konikowi, a jak się już napił, ruszyliśmy -w drogę. Na zakręcie obejrzałem się, żeby popatrzeć, jak ta okolica „wygląda z tyłu — tak samo robiłem, kiedy minęła mnie piękna kobieta — i wtedy zobaczyłem, że idzie za nami kotka z tej gospody. Uznałem to za dobry znak, strzeliłem z bata i huknąłem z uciechy, jakaś dziwna radość rozgościła mi się w piersiach i ni stąd, ni zowąd zaśpiewałem. Czyniłem to nieśmiało, ponieważ nie śpiewałem przez całe swoje życie, przez całe życie, tych parę dziesiątków lat, na myśl mi nie przyszło, że miałbym ochotę śpiewać... a teraz śpiewałem wymyślając słowa i zdania, którymi zapelniałem dziury w tekstach piosenek... Wilczur zaczął wyć, usiadł i wył przeciągle, dałem mu kawałek kielbasy, a on otarł mi się o nogi. Ja jednak śpiewałem dalej, jakbym poprzez ten śpiew, już nie piosenki, jako że wydawałem z siebie skrzeki, które dla mnie były piosenką, a w sumie jednak podobne to było do wycia tego psa, że przez to śpiewanie wysypuję z siebie szkatułki i szufladki pełne nieważnych weksli, niepotrzebnych listów i widokówek, że przez usta wyfruwają mi strzępki starych, na wpół rozerwanych, przyklejonych jeden na drugim plakatów, które po zdarciu tworzą bezsensowne teksty, mieszankę afiszów meczów piłkarskich z ogłoszeniami koncertów, afisze z „wystaw pomieszane z reklamami występów orkiestr dętych, wszystko to osiadłe w człowieku jak papierosiany dym w płucach palacza. Śpiewałem więc, a czułem się przy tym, jak gdybym kaszlał i odpluwał osadzoną w krtani i przełyku flegmę, jak gdybym był przewodzącymi piwo rurkami, które knajpiarz wyparza i czyści strumieniem wody, miałem „wrażenie, że jestem pokojem, a z jego ścian ktoś zrywa naklejone jedna na drugą całe warstwy tapet, w których rodzina żyła przez dwa pokolenia... I tak jechałem tą okolicą, nikt nie mógł mnie już usłyszeć; gdziekolwiek spojrzeć, wszędzie była tylko przyroda, z pagórków widziałem same drzewa, a to, co pozostało po człowieku i jego pracy, powoli i systematycznie pochłaniał las. Na poletkach kamień na kamieniu, do zabudowań wdzierала się trawa i zarośla, a gałęzie czarnego bzu podwazywały cementowe podłogi i odwazywały je, rozpościerając nad nimi swoje liście i gałęzie. Czarny bez pracuje z większą siłą niż łomy, hydrauliczne podnośniki czy prasy.

Kierując się kupkami tłucznia i kamienia na podkład dojechałem do dużego budynku. Obszedłem go „wokół i stwierdziłem, że dobrze mi będzie przy tej drodze. Niby powiedzieli, że mam na drodze kłaść podkład i ją naprawiać, ale i tak na razie nikt po niej nie jeździ i nie będzie jeździł, bo to jest taka droga na wszelki „wypadek, no i do letniej wywózki drewna. Wtem usłyszałem ludzki głos, takie zawodzenie, potem dźwięk skrzypiec i znowu ten śpiewny płacz. Ruszyłem drogą w kierunku tego głosu i wcale nie zauważyłem, że konik, którego wyprzęgnąłem zarzucając postronki na chomać, że ten konik i koza, i wilczur szli ze mną. Doszedłem do grupki trojga ludzi. Byli to Cyganie, ci, których miałem zmienić, i widziałem... to, co zobaczyłem, było jak czary, znów niewiarygodne faktem się stało... Stara Cyganka jak wszyscy koczownicy siedziała w kucki przy ognisku, mieszając patykiem w rondlu opartym uchami na dwóch kamieniach. Jedną ręką mieszała, a drugą wspartą łokciem o kolano

trzymała w dłoni czoło; kosmyk splecionych czarnych włosów opadł jej na grzbiet dłoni... Na drodze siedział stary Cygan, nogi rozłożone, i silnymi uderzeniami młota wbijał w drogę wygładzony kamień, a nad nim pochylał się młody mężczyzna w czarnych, opinających biodra spodniach z rozkloszowanymi nogawkami i grał na skrzypcach jakąś namiętą dumkę, taką cygańską pieśń, która, zdaje się, pogłębiała chandrę starca, bo jęczył i kwilił w przeciągłym, żalonym płaczu i nagle pod wpływem tej muzyki wyrwał sobie garść włosów wrzucając je do ognia, a potem znowu walił w kamień, podczas gdy jego syn, może bratanek, grał na skrzypcach, a starowina pichciła coś do jedzenia. Ujrzałem wtedy, co mnie tutaj czeka — będę sam, nikt mi nie będzie gotował ani grał na skrzypcach, a towarzystwem będą mi konik, koza, pies i kotka, która chociaż w przyzwoitej odległości, wciąż jednak szła za nami... Zakaszlałem, staruszka odwróciła się patrząc na mnie jak pod słońce... starzec przestał pracować, a młody mężczyzna odłożył skrzypce i uklonił mi się... Powiedziałem, że przysłali mnie tu do roboty i właśnie zaczynam... Starzec i starowina wstali, uklonili się, podali ręce i stwierdzili, że wszystko już mają przygotowane, a ja dopiero teraz spostrzegłem, że w zaroślach stoi buda, ten cygański wóz z wysokimi tylnymi kołami, i powiedzieli jeszcze, że jestem pierwszym człowiekiem, jakiego zobaczyli w tym miesiącu... — Poważnie? — spytałem, ale i tak w to nie uwierzyłem. Młody mężczyzna wziął z budy futerał, otworzył i troskliwie ułożył w nim skrzypce, jak dziecko w kołysce, a jeszcze troskliwiej okrył je aksamitnym kocykiem, z wyhaftowanymi ozdobnie nutami i tekstem jakiejś pieśni... Popatrzył na skrzypce, pogłaskał kocyk i zamknął futerał, a potem „wskoczył na budę, ujął lejce, stary usiadł obok, starowinę wzięli między siebie i zjechali z uszkodzonej, naprawianej przez nich drogi stając przy budynku, z którego wynieśli jeszcze koce, pierzynę, parę garnków i kociołek. Namawiałem ich, żeby zostali chociaż na noc, ale im było spieszno, mówili, że już się nie mogli doczekać widoku człowieka, chcieli między ludzi... — A jak tu było w zimie? — mówię. — Ojo-joj, ojoj — zalabiedził stary Cygan — źle, zjedli my kozę, potem psa i kota. — Podniósł rękę wystawiając trzy palce na znak przysięgi. — Panie, trzy miesiące człowieka my nie widzieli... i śnieg nas zasypał... Starowina płakała powtarzając: — I śnieg nas zasypał... — Wybuchnęli płaczem, a młodzieniec „wyciągnął skrzypce i zagrał tęskną pieśń. Stary Cygan szarpnął lejcami, konik targnął uprząż, młody Cygan stojąc w rozkroku, ze smętną miną, energicznie grał cygański romans, a cygańska babina i starzec popłakiwali cichutko, zawodzili ukazując mi twarze pełne cierpienia i zmarszczek, i ręką dawali mi do zrozumienia, że mnie żalują, ba, kładą na mnie krzyżyk, obiema rękami przekreślają moje życie, jakby mnie grzebali, chowali... Na szczycie wzgórza starzec wyprostował się i znów wyrwał sobie kłębek włosów, buda zniknęła za wzgórzem i zobaczyłem już tylko, jak ręka wyrzuca tę kępkę włosów, chyba jako dowód ubolewania nad moim beznadziejnym losem... Wszedłem do dużej izby byłej gospody, żeby zobaczyć, gdzie mi przyszło pomieszkać, i kiedy tak chodziłem po obejściu zaglądając do obórki, drewnitni i szopy, nawet nie zauważyłem, że kroczy za mną konik, koza, pies, a na końcu kotka... Poszedłem do pompy po wodę, żeby się umyć, a za mną sunął z powagą konik, koza, wilczur i kotka... Odwróciłem się i spoglądałem na nie, a one patrzyły na mnie i już wiedziałem, że boją się, żebym ich tu nie zostawił.

Roześmiałem się i pogłaskałem jedno po drugim po łbie, kotka chciała też, ale siła płochliwości dosłownie ją odrzuciła...

Droga, która reperowałem wypełniając tłuczniem, który musiałem sam sobie przygotować, ta droga przypominająca moje życie zarastała zielskiem i trawą, zarówno przede mną, jak i za mną. Jedyne odcinek, na którym akurat pracowałem, nosił ślady moich rąk. Ciągłe deszcze i oberwania chmur sprawiały, że często grunt rozmakał, piasek i drobne kamienie zasypywały moją robotę, ale ja się nie złościłem, nie zlorzeczyłem, nie przeklinałem losu, tylko cierpliwie zabierałem się do pracy i całymi letnimi dniami wywoziłem łopata i taczka piasek i piarg, nie tylko żeby udoskonalić drogę, ale żeby móc przejechać wozem. Raz to się po deszczu oberwało całe usypisko i zleciał mi prawie równo tydzień, zanim przedostałem się do miejsca, gdzie wtedy pracowałem, ale z jeszcze większą zawziętością zabierałem się rano do roboty, bo ten „wyznaczony cel — dostać się na drugą stronę drogi — zmniejszał zmęczenie. A kiedy po tygodniu przejechał tamtędy mój wóz, z dumą przyglądałem się swojej pracy, której wcale nie było widać, bo tylko przywróciłem drogę do poprzedniego stanu. Nikt by mi w to nie uwierzył, nikt by nie pochwalił, nikt nie zaliczyłby mi tych sześćdziesięciu godzin pracy, tylko pies, koza, konik i kotka, tyle że one nie mogły tego poświadczyć. Ale ja już nie chciałem być oglądany przez ludzkie oczy i dostawać pochwał, to wszystko przeszło. I tak niemal przez cały miesiąc nie robiłem nic innego, tylko harowałem od wschodu do zachodu słońca, żeby utrzymać drogę w takim stanie, w jakim ją zastałem. A w ogóle życie przy tej drodze coraz bardziej kojarzyło mi się z drogą mojego życia, które widziałem wstecz tak, jakby należało do kogoś innego, jakby całe moje życie aż dotąd było powieścią, książką napisaną przez kogoś innego, z tym że do tej książki życia klucz miałem tylko ja, to ja byłem jedynym świadkiem swojego życia, chociaż i ta moja droga na początku nieustannie zarastała zielskiem. A wspomnienia, podobnie jak kilof i łopata, pozwalały mi utrzymać przejezdność drogi mojego życia, którą cofałem się do miejsc, jakie chciałem odgrzebać z pamięci.

Po pracy przy drodze klepałem kosę i ścinałem na zboczach trawę, suszyłem siano, później drugi pokos, a w ładną pogodę zwoziłem siano do szopy, żeby być przygotowanym na zimę, o której mi mówili, że trzyma tutaj prawie sześć miesięcy... Raz w tygodniu zaprzęgałem konika i wybierałem się na zakupy. Jechałem powoli drogą, po której oprócz mnie nikt nie jeździł, za mną zostawały ślady kół wozu, a po deszczu jeszcze odciski końskich podków. Mijałem dwie opuszczone wsie i wydostawałem się na porządną szosę, na której licu widziałem zmarszczki ciężarówek, a w kurzu i na poboczu odciski rowerowych i motocyklowych opon, środków transportu robotników leśnych i żołnierzy, którzy tędy wracali albo jeździli do pracy czy na patrole. Kiedy już kupiłem w sklepie konserwy, kiełbasę i duży bochen chleba, zaglądałem do gospody. Miejscowi i szynkarz przysiadali się do mnie wypytując, jak też mi się podoba tam w górach, w tej samotni. A ja z zachwytem opowiadałem o tym, czego nikt w życiu nie widział, a co właśnie tam było; opowiadałem tak, jakbym się tu wybrał na przejażdżkę samochodową albo wpadł na dwa, trzy dni; mówiłem jak wycieczkowicz, jak człowiek urzeczony przyrodą, jak mieszczuch, który zawsze, kiedy znajdzie się poza miastem,

ględzi bez sensu o romantyce pięknych lasów, o tym, jak cudne są zasnute mgłą górskie szczyty i że najchętniej zamieszkałby tam na stałe, bo jest pięknie... Rozwodziłem się nieskładnie w tej gospodzie o tym, że piękno ma jednak i drugą stronę, że na ten piękny bochen pejzażu trzeba patrzeć też inaczej, że trzeba kochać także wszystko to, co niemiłe, opuszczone: kochać pejzaż z tymi godzinami, dniami i tygodniami, kiedy pada, kiedy wcześniej się ściemnia, kiedy człowiek siedzi przy piecu i myśli, że jest dziesiąta wieczorem, a tymczasem dopiero wpół do siódmej; kochać rozmowy, to, że człowiek zagaduje do konika, psa, kotki i kozy, ale najchętniej rozmawia sam z sobą — najpierw po cichu, jakby bawiąc się w kino przesuwając w myślach obrazy z przeszłości, a potem, tak jak ja, zwraca się do siebie, radzi się i wypytuje, zadaje sobie pytania, przesłuchuje samego siebie chcąc się o sobie dowiedzieć tego, co najskrytsze, oskarża samego siebie niczym prokurator i broni się, i w ten sposób, poprzez tak zmienną rozmowę z samym sobą dociera do sensu życia, nie do tego, co było i wydarzyło się dawno, ale do tego, jak iść naprzód — jakąż to drogą, którą już przebyłem, a jaką jeszcze muszę przebyć, i czy mam jeszcze czas, żeby myśli osiągnęły taki spokój, który uchroni człowieka przed pragnieniem ucieczki od samotności, ucieczki od pytań najbardziej zasadniczych, bo człowiek powinien mieć siłę i odwagę, żeby je sobie zadawać... I tak oto ja, robotnik drogowy wysiadający w gospodzie w każdą sobotę do wieczora, im dłużej tam przesiadywałem, tym bardziej stawałem się wylewny, ale też tym więcej myślałem o koniku stojącym przed gospodą, o samotności iskrzącej się w moim nowym domu; widziałem, jak wszyscy ludzie zaciemniają mi to, co chciałem widzieć i wiedzieć, że wszyscy tylko zajmują się tym samym co i ja dawniej, odkładając na później to, o co i tak kiedyś muszą zapytać, jeśli spotka ich szczęście i będą na to mieli czas przed śmiercią... Właściwie zawsze w tej gospodzie utrzymywałem, że sens życia polega na pytaniu o śmierć: jak też się zachowam, kiedy nadejdzie mój czas, bo śmierć... Nie, owo wypytywanie się samego siebie jest właściwie rozmową pod kątem nieskończoności i wieczności i takie podejście do śmierci jest już początkiem myślenia w kategoriach piękna i o pięknie, bo upajać się bezsensownością tej swojej drogi, która i tak kończy się przedwczesnym odejściem, delektować się swoim upadkiem — to wszystko napędza człowieka goryczą, czyli właśnie pięknem. Cała gospoda -wysmiewała się ze mnie, ale ja wypytywałem każdego gościa, gdzie chciałby zostać pochowany. Najprzód wszyscy się zlekli, a potem zaśmiewali się do łez i z kolei pytali mnie, gdzie chciałbym być pochowany, jeżeli będę miał to szczęście, że znajdą mnie w porę, bo przedostatniego drogowca znaleźli dopiero wiosną; cały był już objedzony przez ryjówki, myszy i lisy, tak że pochowali tylko pęk gnatów, tak jak sprzedaje się szparagi albo kości na rosół. A ja opowiadałem z zapałem o swoim grobie, że jeśli umrę tutaj i pogrzebią ze mnie choćby tylko jedną nie obgryzioną kość, na przykład czaszkę, to chcę być pochowany na tym cmentarzu na górcie, tak jakby na grzbiecie tego cmentarza, i życzę sobie żeby moja trumna złożona na tej granicznej linii po jakimś czasie się przełamała, tak żeby to, co ze mnie jeszcze zostało, wraz z deszczem ściekało na dwie strony świata, żeby część mnie woda odprowadzała do strumyków w Czechach, a tę drugą część na przeciwną stronę, poprzez kolczaste druty na granicy do strumyków spływających do Dunaju, że po śmierci życzę sobie być obywatelem świata: Wełtawą

spłynąć do Łaby, nią do Morza Północnego, a druga moja część Dunajem do Morza Czarnego i przez oba morza dostać się do Oceanu Atlantyckiego... Goście w gospodzie cichli patrząc na mnie, a ja wstawałem, bo wtedy padały pytania, na które cieszyła się cała wioska, kiedy się tylko w niej pojawiłem. Na koniec zawsze stawiali mi pytanie, na które prawie za każdym razem odpowiadałem tak samo. Pytali: — A gdyby pan umarł w Pradze? W Brnie? Jakby pan zmarł w Pelhrzimowie, a jakby tak pana wilki zeżarły? — A ja zawsze miałem wszystko obmyślane według tego, jak nauczał profesor literatury, że człowiek jest niezniszczalny zarówno duchowo, jak fizycznie, że tylko podlega przemianom, przechodzi metamorfozę. Kiedyś robili z Marcelą rozbiór wiersza, poeta nazywał się Sandburg, a wiersz był o tym, z czego jest człowiek zbudowany, że ma w sobie fosfor, z którego byłoby dziesięć pudełek zapalek, żelaza ma tyle, że można by z tego wykuć gwóźdź, na którym mógłby się człowiek powiesić, a wody w nim tyle, że wystarczyłoby jej na ugotowanie dziesięciu litrów flaczków... Opowiadałem to wszystkim wieśniakom, a oni się bali, mnie też się bali i z obrzydzeniem myśleli o tym, co ich czeka... dlatego też woleli słuchać, co z nimi będzie, kiedy umrą tutaj. Jednego razu poszliśmy nocą na ten cmentarz na pagórku i tam pokazałem im te puste jeszcze miejsca, gdzie jeżeli zostaną pochowani, to jedna ich połowa dostanie się do Morza Północnego, a druga do Czarnego, byle tylko trumnę ułożyć w poprzek grobu, jakby na kalenicy... Wracałem potem do domu z zakupami i cała drogę zastanawiałem się, przez cały ten czas opowiadałem sobie, co też takiego w ciągu dnia powiedziałem i zrobiłem; i pytałem siebie, czy dobrze coś powiedziałem albo zrobiłem, a za dobre uważałem wyłącznie to, co mnie bawiło, ale nie tak, jak rozumieją to dzieci czy pijacy, tylko tak, jak mnie uczył profesor literatury francuskiej, zabawa jako potrzeba metafizyczna... „Bo jak człowieka coś bawi, to jest właśnie to, wy nasienia złe, głupie i występne”, powtarzał nam i tak wymyślał, żeby przyciągnąć nas do tego, na czym mu zależało, żeby bawiła nas poezja, piękne rzeczy i wydarzenia, bo piękno zawsze podąża ku transcendencji, to znaczy do nieskończoności i wieczności.

Na tej mojej kwaterze, w szynku, który był jednocześnie salą taneczną, kiedy już nie mogłem tego wytrzymać i zapragnąłem, żeby ktoś tam ze mną był, żeby zjawił się jakiś człowiek, więc jeszcze przed nadejściem zimy skupiłem we wsi duże, stare lustra, parę dostałem nawet za darmo, pozbyli się ich chętnie, mówiąc, że kiedy w nie patrzą, pojawiają się w nich Niemcy... Wyścieliłem wóz gazetami i kocami i przywiozłem je do siebie. Przez cały dzień wbijałem w ścianę kołki, na których potem umocowałem lustra, całą ścianę obwiesiłem lustrami... I już nie byłem sam, wracając z pracy do domu cieszyłem się na tę chwilę, kiedy sam sobie wyjdę na spotkanie, ukłonię się sobie w lustrze, powiem „dobry wieczór” i zanim pójdę spać, nie będę sam, bo będzie nas dwóch; nieważne, że wykonujemy identyczne ruchy, za to mogę sam siebie wypytywać, i to całkiem szczerze... Kiedy odchodzę, ten w lustrze, mój sobowtór, też odwraca się plecami, każdy w inną stronę, chociaż tak naprawdę tylko ja wychodzę z pokoju... Nie potrafiłem sobie wytłumaczyć, dlaczego wychodząc nie widzę siebie, dlaczego dopiero wtedy, kiedy odwrócę głowę, widzę znów swoją twarz, ale już nie plecy; pewnie musiałbym mieć jeszcze jedno lustro. I tak zaczynałem namacalnie odczuwać sprawy, które były

niewidzialne, a jednak niewiarygodne stawało się faktem. Wracając z sobotnich zakupów i z wypłatą zatrzymywałem się zawsze poniżej cmentarza na górze. Schodziłem do strumyka, do którego ze zbocza spływały struzki ze źródeł i jeszcze mniejsze strumyczki, bo tutaj w tej okolicy nawet skały nieustannie toczyły wodę, i za każdym razem myłem się, obmywałem sobie twarz. Woda była zimna i kryształowa, a ja widziałem, jak z góry z tego cmentarza, aż do samego strumyka wciąż ściekają soki tych pogrzebanych. Na pewno dotarły już do tego miejsca przefiltrowane przez piękną ziemię, co potrafi zwłoki przerobić na gwoździe, na których mógłbym się powiesić, i rozrzedzone przez tę kryształową wodę, w której obmywam twarz, tak samo jak po wielu latach gdzieś ktoś będzie przemywał sobie twarz moimi szczątkami, inny zapali zapałkę z fosforu mojego ciała... Za każdym razem nie mogłem się powstrzymać i piłem wodę z tego źródła pod cmentarzem. Najprzód smakowałem ją niczym kiper i tak jak znawcy rieslinga, doktorzy Badestube i Bernkasteller, łapią zapach lokomotyw przejeżdżających obok winnic ze sto razy na dzień albo ogniska, jakie winiarze rozpalają codziennie, żeby podgrzać sobie drugie śniadanie czy obiad, tak że ten dym jest wyczuwalny w łyku rieslinga, tak i ja smakowałem nieboszczyków pochowanych tam na górze na cmentarzu. Zdaje się, delectowałem się nimi podobnie jak lustrami, które dostałem tylko dlatego, że zachowały ślady spoglądających do nich Niemców, co odeszli już przed laty, ale ich zapach utkwiał w lustrze, w którym przeglądam się długo każdego dnia, w którym przechadzam się jak w wodzie potrącając ledwie widzialne portrety nieboszczyków, ale widzialne tylko dla człowieka, dla którego niewiarygodne stało się faktem, więc potykałem się o portrety dziewcząt w dirndlach, o stojące w tyle meble i obrazy niemieckich rodzin...

A ci moi wieśniacy, którzy podarowali mi lustra, ja zaś pozwoliłem im zajrzeć w lustro czekające ich na cmentarzu, tuż przed Zaduszkami zastrzelili mi wilczura. Nauczyłem go, a właściwie sam się tego nauczyłem — kiedyś wziął ode mnie torbę do pyska, że niby pójdzie ze mną na zakupy, ale w rezultacie pognął drogą ku wsi sam... Więc na próbę napisałem na papierku, czego potrzebuję, i on popędził, a po dwóch godzinach przybiegł i położył przede mną torbę z zakupami... Więc zamiast jeździć wozem, prawie co drugi dzień wysyłałem wilczura z torbą na zakupy... I kiedyś wieśniacy znowu daremnie na mnie czekali, a jak zobaczyli zamiast mnie wilczura niosącego sprawunki, zastrzelili tego psa, żeby mnie ściągnąć do gospody... Płakałem, cały tydzień oplakiwałem wilczura, ale w końcu zaprząłem konika, spadł już wtedy pierwszy śnieg, i wybrałem się po wypłatę i duże zakupy na zimę. I przebaczyłem wszystkim tym wieśniakom, bo oni stęsknili się już za mną, już nie nabijali się ze mnie, a jeśli nawet, to robili to na wyższym poziomie. Po prostu nie mogli się beze mnie w gospodzie obejść, nie mieli się już na co cieszyć. Powiedzieli też, że nie życzyli sobie, żebym umarł, tylko żebym przyjechał do nich ten jeden raz w tygodniu, bo do kościoła daleko, a ja opowiadam lepiej niż proboszcz... Ten mój wilczur jeszcze do mnie dobiegł, przestrzelili mu płuca, ale dobiegł wraz ze sprawunkami. Zdążyłem go jeszcze pogłaskać i przynieść w dowód uznania czy w nagrodę kostkę cukru, ale już nie wziął tej kostki. Położył mi łeb na kolanach i tak powoli umierał, a wraz ze mną pochylał się nad nim konik. Przyszły też goza i kotka, która z psem sypiała, ale nigdy nie pozwalała

mi się pogłaskać, co najwyżej na odległość. Jednak kochała mnie chyba najbardziej z nich wszystkich. Kiedy do niej przemawiałem, a ona leżąc na plecach wyginała się i wierciła, posyłała mi spojrzenia i wystawiała pazurki, jak gdybym ja głaskał pod szyją czy po futerku, lecz wystarczyło, że wyciągnąłem ku niej rękę, i wtedy zawsze ta dzika siła płochliwości odrzucała ją poza zasięg moich palców... Więc ta kotka przyszła i wtuliła się, jak to miała w zwyczaju, w sierść wilczura. Wyciągnąłem ku niej dłoń, ale ona wpatrywała się w gasnące oczy wilczura, więc ją pogłaskałem. Spojrzała na mnie i to, że ją pogłaskałem, było dla niej tak przerażające, że przełamała się właśnie w chwili śmierci swojego przyjaciela, zamknęła oczy i wcisnęła łeb w psie futro, żeby nie widzieć tego, co wprawdzie napawało ją przerażeniem, ale czego jednak pragnęła.

Pewnego późnego popołudnia szedłem zamyślony po wodę do studni i po drodze najpierw poczułem, a potem zobaczyłem, jak na skraju lasu, oparty ręką o drzewo, stoi Zdeniek, ten były słynny kelner, mój kolega z hotelu „Cichy Kącik”, który teraz bacznie mi się przygląda... A ja, który obsługiwałem abisyńskiego cesarza, wiedziałem, że przyjechał, żeby sobie na mnie popatrzeć, że nie tylko nie chce, ale nie potrzebuje ze mną rozmawiać, chce jedynie widzieć, jak też mi się wiedzie w tym samotniczym życiu, bo Zdeniek jest teraz wielką figurą życia politycznego, otacza go masa ludzi, a mimo to wiedziałem, że jest samotny mniej więcej tak samo jak ja... Pompowałem wodę, zwierzęta przypatrywały się mojej pracy, a ja czułem wciąż, że Zdeniek obserwuje wszystkie moje ruchy, więc starałem się pompować tak, jakbym go nie widział, dobrze jednak wiedziałem, że Zdeniek wie, że ja o nim wiem. Schyliłem się wolno i złapałem cebrzyki za uszy czekając, aż Zdeniek zrobi jakiś ruch, bo ja słyszę z odległości kilkuset metrów każdy ruch, każdy dźwięk. Pytałem w ten sposób Zdeńka, czy chce mi coś powiedzieć, ale on nie miał nic do powiedzenia, wystarczyło mu, że mnie zobaczył na tym świecie, ponieważ zatęsknił za mną, podobnie jak i ja często o nim myślałem. Uniosłem więc oba cebrzyki i ruszyłem w stronę budynku, za mną kroczył konik, a za nim koza i kotka. Stapałem ostrożnie, woda z cebrzyka chlustała mi na gumiaki, a ja wiedziałem, że kiedy postawię cebrzyki na progu i obejrzę się, Zdeńka już tam nie będzie, zadowolony wróci do rządowego samochodu czekającego na niego gdzieś za lasem, wróci do swojej pracy, pewnie cięższej niż moja ucieczka do tej samotni. Pomyślałem o profesorze literatury, o tym, jak mawiał Marceli, że człowiek prawdziwy, z klasą, to tylko taki, który potrafi zdobyć się na anonimowość, wyzbyć się fałszywego ja. Postawiłem cebrzyki i odwróciłem się — Zdeniek już sobie poszedł. Uznałem, że tak być musi, bo chociaż każdy z nas jest gdzie indziej, to tylko w ten sposób mogliśmy sobie pogadać, tą ciszą wyrazić to, co nam leży na sercu i jakie mamy poglądy na świat. , Tego dnia zaczął padać śnieg płatkami dużymi jak znaczki pocztowe, spokojny śnieg, który pod wieczór zmienił się w zadymkę. Struga kryształowej i wciąż tak samo zimnej wody ciekła w piwnicy do wyciosanego w kamieniu żłobu, obórka była w sieni przy kuchni. A koński gnój, który za radą wieśniaków zostawiłem w stajence, był ciepły i ogrzewał kuchnię niczym kaloryfery. Trzy dni patrzyłem na śnieg wirujący i szeleszczący jak małe motyle, jak jętki, jak spadające z nieba płatki kwiatów. Śnieg coraz bardziej zasypywał moją drogę, trzeciego dnia tak już ją zasypało, że zlewała się z otoczeniem i nikt by nie

odgadł, że tu kiedyś była. Tego dnia wyciągnąłem stare sanie i znalazłem nawet dzwoneczki, którymi pobrząkiwałem co godzinę. Śmiałem się przy tym, bo te dzwoneczki i ich podzwanianie pozwalały mi sobie wyobrazić, że zaprzęgnę konika i pojedę nad moją drogą, będę się nad nią unosić oddzielony tą śniegową poduchą, pierzyną, tym grubym białym dywanem, tym napompowanym białym prześcieradłem okrywającym całą okolicę... Reperowałem sanie i zanim się spostrzegł, jak śnieg dosięgnął okna, a później zasypał je aż do połowy. W chwili kiedy zobaczyłem i przestraszyłem się tej wzbierającej śniegowej powodzi, wyobraziłem sobie tę moją chatę wraz ze zwierzętami, jak z samego nieba zwisa na łańcuchu odcięta od świata, a mimo to po same brzegi pełna życia, zupełnie tak samo jak te lustra z utkwionymi i zapomnianymi, przyklejonymi delikatną błoną obrazami, które można na powrót przywołać i wywołać, lecz nie bardziej pełna życia niż obrazy, którymi te lustra wyścieliłem, albo mówiąc lepiej, którymi była wyścielona i usłana moja droga, teraz już zasypana śniegiem czasu, który przeminał, podczas gdy wspomnienie miało tę jedyną umiejętność, że w każdej chwili potrafiło, niczym doświadczona ręka szukająca tętna pod skórą, wyczuć i określić, którędy płynęło, płynie i w bliskiej przyszłości płynąć będzie życie... I w tejże chwili zląkłem się, że gdybym tak zmarł, wtedy to wszystko niewiarygodne, które stało się faktem, wszystko to by odeszło, bo —jak mawiał pan profesor estetyki i literatury francuskiej — lepszy jest taki człowiek, który potrafi się wyrazić... Poczułem wtedy potrzebę spisania tego, co się wydarzyło, tak żeby i inni ludzie mogli to sobie przeczytać i dzięki tej opowieści odmalować wszystkie te obrazy nawlekające się jak koraliki, jak różaniec, na długą nić mego życia, które niewiary godnie pojąłem dopiero tutaj, patrząc ze zdumieniem na śnieg sięgający chacie aż po pas... I tak każdego wieczora siedząc przed lustrem — a za mną na szynkwasiu siedziała kotka i łebkiem trykała w mój lustrzany obraz, jakbym tam był ja — przyglądałem się swoim ręką, podczas gdy na dworze niczym powódź huczała ta śniegowa zawierucha. I im dłużej przyglądałem się swoim ręką, nawet je podniosłem, jak gdybym się od siebie oddalał, i wpatrywałem się w lustrze na swoje ręce i poruszające się palce, tym wyraźniej widziałem przed sobą zimę, ten śnieg. Widziałem, że będę go odgarniał, odrzucał i szukał drogi, i tak codziennie, wciąż będę szukał drogi do wsi, a może i oni poszukają drogi do mnie... Powiedziałem sobie wtedy, że w dzień będę szukał drogi do wsi, a wieczorem pisał, szukał drogi powrotnej, żeby potem iść po niej i odgarniać śnieg, który zasypał moją przeszłość, by tak właśnie na piśmie i poprzez pisanie spróbować wypowiedzieć samego siebie.

W Wigilię znów padał śnieg i zawiąło drogę, której przez cały prawie miesiąc tak pracowicie szukałem i wypatrywałem. Powstał jakby rów wysoki aż po piersi, obwałowany takim murem ze śniegu ciągnącym się aż do połowy odległości od gospody i sklepu, gdzie ostatnim razem byłem na Zaduszki. Prószyny śniegu skrzyły się jak cekiny na starych ściennych kalendarzach, a ja przystroiłem choinkę i upiekłem ciasto. Zapaliłem na choince świece i wyprowadziłem z obórki konika z kozą. Kotka siedziała przy piecu na cynowym szynkwasiu. Wyjąłem też frak i zacząłem się ubierać, ale kiepsko mi to szło, guziki wyślizgiwały się ze sztywnych palców, a ręce zrobiły mi się od pracy tak niezdarne, że nie potrafiłem nawet porządnie zawiązać białej muszki. Z kufru wyjąłem jeszcze i

wyglansowałem lakierki, te trzewiki, które kupiłem za kelnerskich czasów w hotelu „Cichy Kącik”. A kiedy przepasałem się niebieską szarfą i przypiąłem gwiazdę, to ta gwiazda lśniła mocniej od choinki, co tak płoszyło konika i kozę, że musiałem je uspokajać. Później naszykowałem kolację, gulasz z konserwy z ziemniakami. Kozę obdarowałem w ten sposób, że do jej picia wkroiłem jabłka. Podobnie miał się konik, który tak jak w każdą niedzielę jadł obiad ze mną, stojąc przy długim dębowym stole wybierał z miski jabłka i chrupał je. Ten konik umyślił sobie, że go tu zostawię i odejdę. Gdziekolwiek się ruszyłem, on za mną, za nim przyzwyczajona do niego koza, a kotka, która była uzależniona od koziego mleka, kroczyła tam, dokąd zmierzało kozie wymię. I chodziliśmy tak razem do pracy i z pracy. Jesienią, kiedy ścinałem drugi pokos, chodziły za mną wszystkie; ba, nawet gdy szedłem do ubikacji, one mnie pilnowały, żebym nie uciekł... W pierwszym tygodniu, wtedy jak przywidziała mi się ta dziewczyna z fabryki czekolady „Orion” i tak bardzo za nią zatęskniłem, tak chciałem zobaczyć, czy chodzi jeszcze do pracy z książkami pod pachą, taka mnie za nią zżerała tęsknota, że spakowałem, co najpotrzebniejsze, i jeszcze przed brzaskiem ruszyłem do wsi. Czekałem tam na autobus i kiedy przyjechał, a ja stawiałem już nogę na pierwszym stopniu, wtedy zobaczyłem, jak od strony mojej drogi biegnie konik, za nim pies, a na końcu dyrdała koza... Przytruchtały te zwierzęta i popatrzyły na mnie z niemą prośbą, żebym ich tam nie zostawiał. Obstąpily mnie, a jak zjawila się jeszcze ta dzika kotka i wskoczyła na ławkę, gdzie ustawia się bańki z mlekiem, pozwoliłem autobusowi pojechać beze mnie i wróciłem ze zwierzętami, które od tej pory oczu ze mnie nie spuszczały, za to starały się mnie jakoś rozweselić — kotka dokazywała jak kocię, koza zachowywała się niczym baran i zabawnie podskakując na dwóch nogach chciała mnie tryknąć w głowę, tylko koń niczego nie umiał, ale co chwila chwycił mnie miękkimi chrapami za rękę i przyglądał mi się, a z jego oczu bił lęk...

Po kolacji, tak jak każdego dnia, konik wyciągnął się przy piecu i błogo wzdychał, koza położyła się przy nim, a ja znów zabrałem się do spisywania swych obrazów. Zamyśliłem się, bo z początku te obrazy były niejasne, nawet zanotowałem jakiś całkiem niepotrzebny, ale -wnet rozписаłem się zapelniając stronę za stroną, z tym, że zawsze ten obraz przesuwiał się przede mną prędzej, niż zdążyłem go zapisać, coraz prędzej; i tak się tym wyprzedzaniem przejąłem, że nawet nie słyszałem, czy na dworze hula zawierucha, czy też łapie taki mróz, że aż trzeszczą szyby w oknach. Dzień w dzień odśnieżałem drogę myśląc przy tym o swojej drodze wieczornej, jak to założę stalówkę na obsadkę i o czym będę pisał. Zawsze miałem to już obmyślane wcześniej, więc wieczorem opisywałem tylko to, o czym myślałem podczas pracy przy drodze. Na ten wieczór czekały też zwierzęta, bo i zwierzę lubi spokój. Wzdychały błogo te zwierzątka, westchnąłem i ja i pisałem dalej, podłożywszy kawałek pniaka do pieca. Płomienie cicho pomrukiwały, w kominie coś skuczało, a drzwiami wciskał się wiatr...

O północy pod oknami pojawiły się światła. Odłożyłem pióro i niewiarygodne stało się faktem. Wszedłem przed budynek i ujrzałem wieśniaków, którzy na saniach i z pługiem przekopali się do mnie z drugiej strony, paru tych zmizerowanych, znękanych miejscowych, którzy wysiadali w

gospodzie i raz zastrzelili mi wilczura, bo tak się za mną stęsknili, a teraz z pługiem i na saniach przedarli się do mnie... Zaprosiłem ich do środka, do mojego gospodarstwa. Przyglądali mi się, a ja domyśliłem się, co ich tak dziwi. — Skąd to masz? Kto ci to dał? Dla-czegoś się tak wystroił? — Siadajcie, panowie — powiedziałem — teraz wy jesteście moimi gośćmi, kiedyś byłem kelnerem. — Najwyraźniej bali się mnie i jakby żalowali swego przyjazdu... A ta szarfa, ten order, co to takiego? — To dostałem ileś tam lat temu — mówię — bo ja jestem tym, który obsługiwał abisyńskiego cesarza... — A kogo teraz obsługujesz? — spytali lękliwie. — Oto, jak widzicie, są moi goście. — Wskazałem na konika i kozę, te jednak już odeszły od stołu i na znak, że chcą wyjść, trykały w drzwi. Otworzyłem i jedno za drugim przez sień poszły do swojej obórki. Ale frak, połyskujący order i niebieska szarfa odstraszyły wieśniaków, bo nawet nie usiedli, tylko złożyli świąteczne życzenia, a potem zaprosili mnie na obiad w drugi dzień świąt. I poszli sobie, widziałem ich plecy w lustrach, a kiedy światła i latarnie w szybach oddaliły się, ucichły dzwoneczki i zanikło posapywanie śnieżnego pługu, stałem przed lustrem popatrując na siebie i im dłużej patrzyłem, tym większy ogarniał mnie lęk; miałem wrażenie, że jestem u kogoś obcego, kogoś, kto zwariował... Chuchnąłem na chłodne szkło tak, aż pocałowałem siebie samego, a potem odzianym we frak łokciem oczyszczałem się z mgielki, aż wreszcie znowu stałem w lustrze z płonąca lampą niczym z kieliszkiem wzniesionym do toastu. Drzwi za mną cicho się otworzyły, zdrewniałem... Wszedł konik, za nim koza, kotka wskoczyła na blat szynkwasu przy piecu, a ja się ucieszyłem, że wieśniacy do mnie się przedarli, że do mnie przyszli i że się mnie zlekli, bo jestem na pewno rzadki okaz, ponieważ naprawdę jestem uczniem pana obera Skowronka, który obsługiwał angielskiego króla, a ja miałem zaszczyt obsługiwać abisyńskiego cesarza, który na zawsze mnie wyróżnił dając mi order, a ten order dał mi siłę do opisanie czytelnikom tej historii, jak to niewiarygodne stało się faktem... Wystarczy wam? Tak, ale teraz to już naprawdę kończę.

* * *

Teksty te były pisane w ostrym letnim słońcu, które tak nagrzewało maszynę, że parę razy na minutę zacinała się i jękała. Nie mogąc patrzeć na jaskrawobiałe kartki papieru, nie miałem kontroli nad tym, co napisałem, zatem pisałem w powodzi światła metodą automatyczną. Słoneczne promienie oślepiły mnie tak, że widziałem jedynie kontury skrzęcej się maszyny, metalowy dach zaś był przez kilka godzin tak rozgrzany, że zapisane strony zwijały się pod wpływem gorąca w ruloniki. A ponieważ wydarzenia począwszy od minionego roku gonią jedno za drugim, tak że nawet nie miałem czasu odnotować śmierci matki, więc owe wydarzenia zmuszają mnie, bym pozostawił tekst w pierwotnym kształcie i wierzył, że kiedyś będę miał czas i odwagę, aby raz czy drugi przekopać się przez ten tekst i osiągnąć pewną klasycyzację lub też, pod wpływem chwili i zakładając, że mógłbym oszczędzić tę pierwotną spontaniczność obrazów, wziąć po prostu nożyczki i wyciąć te obrazy, które z perspektywy czasu zachowają jeszcze świeżość. A gdyby brakło mnie już na świecie, niech zrobi to któryś z moich przyjaciół. Niech z tego wykroi małą nowelkę albo większe opowiadanie. Tak.

PS.

Pisząc owego letniego miesiąca byłem pod wrażeniem „sztucznego wspomnienia” Salvadora Dali oraz Freudowskiego „stłumionego przeżycia znajdującego ujście w mowie”.

Kiedy jeszcze byłem kelnerem, kochałem wszystkie te portierki, stróży i palaczy centralnego ogrzewania, którzy przynajmniej raz na dzień wybiegali przed kamienicę, zadzierali, o tak, głowę i z wąwozu praskich ulic patrzyli na pas nieba, obłoki, zgadując według przyrody, a nie zegara, która to może być godzina. A niewiarygodne, które stawało się faktem, nie opuściło mnie, wierzyłem w to niewiarygodne, w te zaskakujące niespodzianki, w te osłupienia. To była moja gwiazda, która towarzyszyła memu życiu chyba tylko po to, żeby przekonać się, że ciągle na nią czeka coś zadziwiającego, aja, wciąż mając przed oczyma odbłask tej gwiazdy, wierzyłem w nią coraz bardziej, a to dlatego, że kiedyś wywyższyła mnie na milionera, a teraz, kiedy zleciałem z niebios na łeb, na szyję, stwierdziłem, że ta moja gwiazda łśni mocniej niż przedtem i że dopiero teraz będę mógł zajrzeć wprost do jej serca, do samego środka, i że to wszystko, co dotychczas przeżyłem, musiało osłabić moje oczy tak, żeby mogły więcej przeżyć i więcej znieść. Znaczy, żeby zobaczyć i poznać, musiałem osłabnąć. Tak to było...

Bohaterem tej powieści jest kelner, który dorabia się własnej restauracji, lecz traci ją, kiedy władza w Czechach trafia w ręce ludu. Jego przygody są tak niewiarygodne, że nie mogły zostać zmyślane, a tytuł powieści nawiązuje do zaledwie jednej z nich, niekoniecznie najważniejszej. Barwne opisy dojrzenia w lokalach gastronomicznych, tragicznej miłości w czasie wojny i groteskowych, powojennych represji wobec „burżujów” tworzą opowieść piękną i mądrą, opowieść o tym, co w życiu najważniejsze.